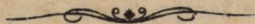


EMIL ZOLA.

DOKTÓR PASCAL.

POWIEŚĆ.

CZĘŚĆ I.



WARSZAWA.

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.

—
1895.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава 12 Іюня 1894 года.

W drukarni Przeglądu Tygodniowego, Czysta № 4.

I.

Dla powstrzymania skwaru lipcowego, zamknięto szczelnie okiennice sali, która, zabezpieczona w ten sposób od południowego gorąca, nęcący zapewniała spokój. Od trzech okien przemykały zaledwie cienkie smugi światła, filtrującego się przez szpary zestarzałych desek; wpośród pomroki rozproszone łagodne promienie oświetlały przedmioty w sposób niewyraźny i miły. Stosunkowo w sali było chłodno, na dworze bowiem panowało przygniatające gorąco a żar słoneczny rozpałił frontowe mury domostwa.

Przed szafą, naprzeciw okien, stał doktor Pascal Rougon i szukał notatki, po którą tu przyszedł. Na rozcież otwarta olbrzymia, dębowa, rzeźbiona szafa, zdobna w piękne i mocne okucia a wiekiem swym sięgająca zeszłego stulecia, okazywała teraz w głębokościach swego wnętrza zadziwiające stosy i pęki papierów, nagromadzonych jedne na drugich, osuwających się i bezładne tworzących kupy i zawały. Od lat trzydziestu doktor rzucał tu wszystko co napisał, począwszy od najdrobniejszej notatki, aż do dzieł całych, wchodzących w cykl jego pracy o dziedziczności. Odnaleźć papier potrzebny, niezawsze było łatwo. Cier-

pliwy z natury, szukał i uśmiechnął się, znalazłszy wreszcie, czego potrzebował.

Przez chwilę pozostał jeszcze przy szafie, odczytując notatkę pod promiennie-złotą smugą światła, płynącą ze środkowego okna. W tym świetlanym brząsku wyłaniała się postać jego o śnieżno-białej brodzie i włosach, krzepka, silna, chociaż do szóstego dobiegał krzyżyka. Twarz miał świeżą, rysy regularne, oczy o szczerości dziecka; opięty w orzechowe, aksamitne ubranie, czynił wrażenie młodzieńca z ubieloną pudrem czupryną.

— Klotyldo—wyrzekł wreszcie—przepiszesz tę notatkę, bo Ramond nigdyby nie zdołał odczytać mojej przeklętej bazgraniny.

I podszedł położyć papier przy młodej dziewczynie, która pracowała, stojąc przed wysokim stolikiem w framudze prawego okna sali.

— Dobrze, mistrzu! — odpowiedziała.

Nie odwróciła się nawet, tak była zajęta cieniowaniem pastelu. Przed nią kwitła w wazonie gałąź malwy, dziwnej, fioletowej barwy, żółto żebrowanej. Okrągła główka i profil dziewczyny uwydatniały się wyraźnie, jak również jasne, krótko ostrzyżone jej włosy. Profil miała śliczny i poważny, czoło proste, natężoną uwagą nieco ściągnięte, oczy błękitno-niebieskie, nos cienko narysowany, brodę znamionującą stanowczość. Karczek teraz nieco pochylony tchnął czarem młodości, wieńczące go pukle złotych włosów uwydatniały mleczną jego białość i świeżość. Miała na sobie długą, czarną bluzę, wydawała się w niej wyższą

i szczuplejszą. Piers jej drobna, ciało wiotkie, przypominało wysmukłość swą cudne rzeźby z epoki Odrodzenia. W rzeczywistości miała lat dwadzieścia pięć, lecz wyglądała zaledwie na osiemnaście.

— Uporządkujesz trochę w szafie — dorzucił doktor. — Nic znaleźć tam nie można.

— Dobrze, mistrzu — powtórzyła, nie podnosząc głowy — za chwilkę.

Pascal wrócił, by zasiąść napowrót przed swoim biurkiem, stojącym w drugim rogu sali, pod lewym oknem. Biurem jego był wielki, prosty, czarny stół, zavalony papierami i broszurami wszelkiego rodzaju. Cisza znów zapadła, cisza tem głębsza w panującym półcieniu, iż żar upału przeczuwać się dawał z zewnątrz. Obszerna komnata miała około dziesięciu metrów długości a sześciu szerokości, główne sprzęty, prócz szafy, były to ustawione w skrzydła półki biblioteki, przepełnionej książkami. Staroświeckie krzesła i fotele porozstawiane wszędzie po trochu; ściany oklejone papierem w gwiazdy, w stylu pierwszego cesarstwa, zdobne były jedynie w rozliczne pastele przytwierdzone gwoździami; widniały na nich dziwnych kształtów i kolorów kwiaty, rzadko dziś spotykane. Troje drzwi podwójnych, pierwsze prowadzące do sieni, drugie do pokoju doktora, trzecie, po przeciwnej stronie sali, do pokoju Klotyldy, miały futrowania z czasów Ludwika XV-go, z tejże również epoki pochodził gzyms, okalający zakopcony sufit.

Godzina tak upłynęła w ciszy zupełnej. Wtem Pascal, mimowolnym prawie ruchem wśród pracy swej,

rozerwał opaskę leżącego na biurku dziennika; był to „le Temps“ i nagle z lekkim zadziwieniem zawołał:

— Wyobraź sobie, że twój ojciec został mianowany dyrektorem „l' Epoque“, dziennika republikańskiego, wielkie mającego powodzenie, gdzie będą drukowane papiery, odnoszące się do Tuileries!

Doktór nie musiał się spodziewać podobnej nowiny, bo śmiał się teraz szczerze, na wpół z zadowoleniem a na wpół ze smutkiem i przyciszonym głosem ciągnął:

— Słowo daję, gdyby kto wymyśleć chciał, to jeszczeby rzeczywistości nie sprostał... Życie zadziwiająco składa się czasami... Jest tu artykuł bardzo ciekawy.

Klotylda nie odpowiadała nic, jakby o sto mil była od wątku słów wuja. On też zamilkł, wziął nożyczki i, przeczytawszy artykuł, wyciął, nakleił na arkusz papieru i nakreślił notatkę wielkimi, nieregularnymi literami. Następnie zwrócił się do szafy, by w niej złożyć nowy dokument. Pomimo wysokiego wzrostu, musiał wiaść krzesło, by podług klasyfikacyi złożyć papier na najwyższej półce.

Na tej wysokości widniały pod sznur ułożone olbrzymie pęki papierów, porządnie, systematycznie rozklasyfikowanych. Były tam dokumenty najróżnorodniejsze, arkusze zapisane, z pieczęciami urzędowymi, artykuły wycięte z dzienników a wszystko pozbierane w teki z grubego, niebieskiego papieru, z których każda opatrzona była nazwiskiem, wypisanem wielkimi literami. Wyraźnie doktor zajmował się temi doku-

mentami z wyjątkową pieczołowitością, musiał je przeglądać często i starannie układać, bo w szafie w tym tylko kącie panował ład i porządek.

Stojąc na krześle, Pascal wyciągnął najgrubiej napechaną papierami tekę, opatrzoną nazwiskiem „Saccard“, dołożył do niej wycięty świeżo artykuł i położył tekę na miejsce podług właściwej litery alfabetu. Chwilkę jeszcze stał, jakby w zadumaniu i poprawił starannie osuwający się nieco jeden ze stosów. Wreszcie zeskoczył z krzesła, mówiąc:

— Pamiętaj, Klotyldo, byś nigdy nie tknęła papierów na najwyższej półce, gdy porządkować będziesz w szafie.

— Dobrze, mistrzu! — odpowiedziała łagodnie, po raz trzeci z kolei temi samymi słowami.

Doktor, śmiejąc się wesołym swym z natury śmiechem, dodał:

— Wzbronione jest ruszać.

— Wiem o tem, mistrzu!

Zamknął teraz szafę na mocny spust i klucz rzucił do szuflady stołu, przed którym pracował. Klotylda dostatecznie była obezuaną z pracami doktora, by umiejętnie móżdż ułożyć rozrzucone jego papiery; chętnie przyzywał ją do pomocy, kazał jej przepisywać notatki w razie, gdy ktoś z przyjaciół, lub kolegów, jak doktor Ramond, prosili go o udzielenie jakiego dokumentu. Uczoną wszakże nie była, doktor zabraniał jej czytać rzeczy, które uważał za zbytteczne.

Widząc ją teraz zatopioną w pracy więcej, niż zazwyczaj, zapytał z zadziwieniem:

— Co ci jest, że ust dziś nie otwierasz? Czyż kopiowanie kwiatów do tego stopnia cię zajmuje?

Często jej powierzał tego rodzaju robotę. Rysunki, akwarele, przez nią robione, służyły do ilustrowania napisanego przez niego tekstu. Od pięciu lat zajmował się między innymi ciekawymi doświadczeniami nad całą kolekcją malw, posiadał już serye całe o nieznanym dotąd barwach a otrzymanych drogą sztucznego zapładniania. Klotylda kopiowała tego rodzaju okazy z wielką dokładnością rysunku i kolorytu; doktor zachwycał się tą subtelną dokładnością, mówiąc jej, „że ma w dobrej i okrągłej swej łepetynie ład i porządek“.

Tym razem wszakże, zbliżywszy się, by spojrzeć po za jej plecami na robotę, zawołał, komicznie wybuchając:

— Masz do licha! Pojechałaś błąkać się po nieznanym ci krainach! Podrzej mi to natychmiast!

Dziewczyna się wyprostowała, policzki jej zapalały, oczy iskry rzucać poczęły w obronie swej pracy i wreszcie, spuściwszy oczy na paluszki, zasmarowane czerwoną i niebieską farbą, rzekła tylko:

— Ohi mistrzu!

Lecz w tem słowie „mistrzu“, które wypowiadała zawsze z czułością i pieścizotliwym poddaniem się, którego używała zamiast mówić wuju, lub ojczu, bo ją i do chrztu trzymał, teraz po raz pierwszy zabrzmiała nuta stanowczego oporu, jakby zwiastunka buntu istoty, pragnącej wreszcie samodzielność odzyskać.

Blizko od dwóch już godzin zaniechała niewolni-

czego kopiowania stojącej przed nią malwy i rzucała na papier całe wiązki kwiatów fantastycznych, kwiatów wymarzonych, nieprawdopodobnych, lecz wspaniale pięknych. Czasami ogarniała ją taka żądza tworzenia dziwacznych kształtów, w chwili właśnie, gdy zajęta była wiernem oddaniem wzoru. Wtedy zadawała natychmiast ową żądzę, malując śmiało i z porywem kwiaty nadzwyczajne a obdarzona wielką fantazyą, tworzyła wciąż nowości, róże z zakrwawionemi sercami, zroszone jakby łzami siarki, lilie jakby urny z kryształu, wreszcie kwiaty o kształtach nieznanym, gwiazdzistych, o płatkach powiewnych jak chmurki.

Dziś leżał przed nią arkusz, zarysowany ostremi cięciami czarnego ołówka, tworzącymi jakby deszcz gwiazdzisty, jakby potoki płatków o bladych i miękkich tonach; w rogu arkusza, w dole, wykwitał kwieciany pęczek, cały zasuty roztwierającą się zaledwie osłonką.

— Przybijesz go tutaj! — powiedział doktor, pokazując miejsce na ścianie, licznie już zawieszonej tego samego rodzaju dziwnymi pracami Klotyldy. — Lecz powiedz mi, co to ma przedstawiać?

Dziewczyna spoważniała, odsunęła się nieco od stolika, by lepiej spojrzeć na swe dzieło.

— Sama nie wiem, lecz uważam to za piękne.

W tej właśnie chwili weszła do sali Marcyna, jedynasłużąca, lecz zarazem rzeczywista pani domu, skutkiem trzydziestoletniej swej służby u doktora. Marcyna ma obecnie przeszło lat sześćdziesiąt, lecz wygląda

znacznie młodziej, czynną jest i cichą a czarna wiecznie na niej suknia i biały czepiec na głowie czynią ją podobną do zakonnicy, dopełnia zaś tego podobieństwa blada, choć wywczasowana jej twarz, wśród której oczy wygasłe nabrały barwy wystygłego popiołu.

Nic nie rzekłszy, Marcyna usiadła na ziemi przed jednym z foteli, by zreparować dziurę pokrycia i powstrzymać przedostawanie się włosów. Wydobyła z kieszeni igłę, nici i zabrała się do roboty; od trzech dni korciła ją ta dziura a chwili czasu nie mogła upatrzyć, by złemu zaradzić.

— No, moja Marcyno, kiedy tu jesteś, to trzeba skorzystać z okazji — zaczął mówić żartobliwie doktor, biorąc w obie ręce głowę zbuntowanej Klotyldy — proszę, zeszyj mi tę łepetynę, bo przez szpary rozum umyka.

Marcyna podniosła blade, pełne bezgranicznego przywiązania oczy na swego pana.

— Dlaczego mi pan to mówi?

— Bo, moja poczciwa kobieto, zdaje mi się, że to ty wpakowałaś niepotrzebnie w tę dobrą, okrągłą łepetynę, w ładzie i porządku będącą, naleciałości przeróżne a w bigoteryi twojej zaczerpnięte.

Kobiety zamieniły z sobą spojrzenie wzajemnego porozumienia.

— O panie, religia nigdy nikomu nie zaszkodziła... Lecz gdy się poglądy nasze nie zgadzają, to lepiej zaniechać rozmowy o tym przedmiocie.

Zapanowało niemile milczenie. Była to jedyna przyczyna nieporozumienia, od czasu do czasu wybuchające

go pomiędzy temi trzema kochającemi się i żytemi z sobą istotami.

Marcyna miała lat dwadzieścia dziewięć, to jest o rok była starszą od doktora Pascala, gdy objęła u niego obowiązki służącej, w chwili, gdy rozpoczynając karierę doktorską w miasteczku Plassans, wynajął schludny, jasny domek, w nowo wzniesionej części miasta. W trzynastolat później, Saccard, brat Pascala, owdowiawszy, przysłał mu z Paryża siedmioletnią swą córkę, Klotyldę, chciał bowiem ożenić się powtórnie. Marcyna wychowywała dziewczynkę, prowadziła z sobą do kościoła, udzielając jej przytem swego zapachu religijnego. Doktor, posiadając umysł wielki i liberalny, dozwalał rozwijać się wierze dwóch kobiet, nie roszcząc sobie prawa do przeszkadzania im w szczęściu, jakiego mogą doznawać wierzący. Ograniczył się na pokierowaniu wykształceniem Klotyldy, dając jej ścisłe i trzeźwe poglądy. Od lat szesnastu żyją tak we troje, w domu, leżącym na przedmieściu zwanem Soulejade, o kwadrans drogi od katedry Św. Saturnina. Życie biegnie im szczęśliwie. Doktor oddany jest całej pracy i jedyne niezadowolnienie jego wypływa z utarczek, jakie staczać musi coraz częściej i coraz gwałtowniejsze skutkiem różniących się ich przekonań.

Pascal przechadzał się po sali nagle zasepiony. Wreszcie, jak człowiek, nie lubiący ukrywać prawdy, wybuchnął:

— Widzisz, moja droga, cała ta fantasmagorya tajemnicza popsuka ci zdrowy! twój umysł. Twój Pan

Bóg zupełnie cię nie potrzebował i powinien był zachować cię całkowicie dla mnie, o wiele lepiejby ci z tem było.

Klotylda, drżąca ze wzruszenia, patrząc mu stanowczo w oczy, rzekła:

— To tobie, mistrzu, byłoby lepiej, gdyś chciał patrzeć nietylko oczami twego ciała. Po za ciałem istnieje jeszcze coś innego, dlaczego nie chcesz tego widzieć?

Marcyna przybyła Klotyldzie z pomocą.

— To prawda, panie, że taki święty człowiek, jak pan, o czem wszystkim zawsze rozpowiadam, powinienby z nami chodzić do kościoła. Pewna jestem, że Bóg pana zbawi. Lecz na samą myśl, że mógłby pan nie trafić prosto do raju, dreszcze mnie przejmują.

Zatrzymał się przed nimi i patrzył na te dwie kochające i posłuszne kobiety, podbite jego dobrocią i wesołością a dziś zbuntowane. Już chciał usta otworzyć, by zgromić je ostro, gdy zastanowiwszy się nad bezużytecznością wszelkiej z nimi dyskusji, powstrzymał się i wyrzekł tylko:

— Dajcie mi święty spokój. Pójdę lepiej pracować do siebie... Proszę tylko, by mi nikt nie przeszkadzał.

Szybkim krokiem skierował się do swego pokoju, w którym mieściło się jego laboratorium. Gdy się tam zamknął, nie wolno było mu przeszkadzać. O pracach, które tam wykonywał, nie mówił nigdy nikomu. Prawie natychmiast kobiety posłyszały regularny stuk tłuczka o moździerz.

— Już rozpoczął dyabelską swą kuchnię, jak mówi babka.

Rzekłszy to, Klotylda zaczęła kopiować uważnie stojącą przed nią malwę.

Młoda dziewczyna starała się teraz rysować z matematyczną ścisłością, odnalazła właściwy odcień płatków fioletowych, żółto żebrowanych, zachowując najdelikatniejsze przemiany rozplywających się tonów.

— Ah! — szepnęła po chwili Marcyna, siedząca znów na ziemi i reparująca dziurę fotelowego pokrycia — co za nieszczęście, że taki święty człowiek dobrowolnie duszę swą zatracal... Bo przeczyć nie można, iż od trzydziestu lat, jak go znam, nikomu najlżejszej nawet nie uczynił przykrości. Złote serce, od ustby sobie odjął, aby się podzielić z drugimi... A grzeczny przytem, zawsze zdrów i wesoły, błogosławiony człowiek!... Nieszczęście prawdziwe, że z Bogiem nie chce się pojednać. Ale my go do tego zmusimy, wszak prawda, panienko?

Klotylda, zadziwiona tym niezwykłym potokiem słów ze strony Marcyny, odpowiedziała z powagą:

— Z pewnością, Marcyno, że go zmusimy. Wszak przysięgłyśmy sobie, że tak będzie.

Nastało milczenie, wkrótce przerwane odgłosem dzwonka przy drzwiach wchodowych na dole. Dzwonek tam umieszczony, obwieszczał mieszkańcom, najczęściej rozproszonym po obszernem domostwie, przybycie obcego. Służąca zadziwiła się i poczęła mruzczyć:

— Któżby to mógł przyjść w tak straszne gorąco?

Podniosła się z ziemi, otworzyła drzwi i przechyliła się przez poręcz schodów, by dojrzeć przybysza, poczem cofnęła się do pokoju, mówiąc:

— To pani Felicya.

Z żywością weszła stara pani Rougon. Mimo swych osiemdziesięciu lat, przebiegła schody z młodzieńczą lekkością; chuda, hałaśliwa, przypominała zawsze powierzchownością swoją ciemnego, polnego konika. Ubrana wytwornie w czarną jedwabną suknię, uwydatniającą szczupłą jej kibić, mogła być wziętą za młodą, namiętnością ku schadzce pędzoną kobietę. Twarz miała zaszuszoną, oczy tylko zachowały dawny płomień i uśmiech miała miły, gdy chciała.

— To babcia!—zawołała Klotylda, podchodząc na powitanie. — Ależ to upiec się dziś można na słońcu!

Felicya pocałowała ją w czoło i śmiać się poczęła.

— Słońce, to mój przyjaciel!

Drobnemi, szybkimi krokami podeszła ku oknu i poczęła roztwierać zasuwkę okiennicy.

— Choć troszkę światła trzeba wpuścić!... Zbyt smutno żyć w takiej ciemności... U siebie pozwalam słońcu gospodarować dowolnie.

Przez uchyloną okiennicę wpadło jaskrawe światło, jakby rozżarzony snop migotliwy. Zabłyśło niebo, powleczone łuną fioletowo-niebieską, zawisłe nad obszarem spalonej ziemi, uśpionej, czy martwej, skutkiem padającego na nią żaru; na prawo, ponad różowemi dachami, wznosiła się dzwonnica kościelna Ś-go Saturnina, cała jakby złota, szkielet jej tylko zarysowywał się olśniewającą białością kości.

— Tak — mówiła dalej Felicya— wybieram się zaraz do Tulettes, chciałam się przekonać, czy Karola niema u was, bo zabrałabym go z sobą... Ale widzę, że go tu niema. Innym razem go wezmę.

Podczas gdy wyjaśniała powód swego przybycia, oczy jej przetrząsały wszystko wokoło. Porzuciwszy przedmiot rozmowy i nieczekając odpowiedzi, zaczęła mówić oswym synu, Pascalu, słysząc rytmiczny stuk tłuczka, bezustannie dochodzący z sąsiedniego pokoju.

— Ah! on zawsze zajęty swoją dyabelską kuchnią! Nie uprzedzajcie go o mojem przyjściu, nie mam mu do powiedzenia.

Marcyna, reparując dalej fotel, potrząsnęła znacząco głową, jakby dla zapewnienia, że nie widzi najmniejszej racyi, aby pana swego niepokoić. Wśród tego chwilowego milczenia słychać było drobne stąpanie Felicji, obiegającej salę jakby w poszukiwaniu czego, Klotylda zaś wycierała o gałganek poplamione farbami palce.

Od lat dwóch blisko pani Rougon była wdową. Mąż jej, który roztył się tak dalece, że nie mógł się ruszać swobodnie, zmarł z niestrawności 3 września 1870 r., skutkiem wrażenia, jakie na kilka godzin przed śmiercią wywarła na nim wieść pogromu i katastrofy pod Sedanem. Chętnie się uważał za jednego z założycieli cesarstwa, wieść przeto o upadku rządu piorunem go raziła. Felicja siliła się, by wykazać, że przestała się zajmować polityką i że obecnie żyła, jak królowa pozbawiona tronu. Wszyscy dobrze wiedzieli, że w roku 1851, dzięki tylko rodzinie Rougonów, nie było zaburzenia na ulicach miasta Plassans, bo zdołali oni opinię publiczną utrzymać w karności wobec zamachu stanu 2 grudnia a w kilka lat później ujarzmili tak da-

lece umysły, że z wyjątkiem kandydatów republikańskich i legitymistów, głosy padły na rzecz posła bonapartysty. Aż do wojny 1870 r. cesarstwo wszechpotężnie zawładnęło opinią mieszkańców Plassans a w czasie plebiscytu olbrzymią już zyskało przewagę. Od czasu pogromu miasto nabierało przekonania republikańskich; dzielnica, okalająca kościół Ś-go Saturnina, wrzała intrygami rojalistycznymi; stare zaś i nowe miasto wybrało do Izby człowieka liberalnego, lekko zabarwionego orleanizmem, lecz skłonного stanąć po stronie Rzeczypospolitej, jeżeli tryumf jej zapewnionym zostanie. Dlatego to Felicja, jako kobieta, wielkim obdarzona sprytem, odsunęła się od polityki i zgodziła się na rolę zdetronizowanej królowej świeżo upadłej formy rządu.

Wysoka to jeszcze była pozycja, otoczona pełną melancholii poezją wielkości przebrzmiałej, panującej ongi wszechwładnie przez lat osiemnaście. Legenda dwóch salonów pani Felicji: salonu żółtego, w którym dojrzała myśl zamachu stanu 2 grudnia i salonu zielonego, gdzie dokonane zostało ostateczne zawładnięcie umysłami mieszkańców miasta Plassaus, wzmagała się pięknem epoki dawno przebytej i na zawsze utraconej. Felicja władała zawsze pozostałym jej wielkim majątkiem. Potrafiła zachować wiele godności mimo swego upadku, nie skarżyła się i jakby niczego nie żałowała a osiemdziesięcioletnia jej postać uosabiać się zdawała tak długi szereg żądz namiętnych, wstrętnych nadużyć i olbrzymich zadowolnień, że potężną i szanowną być się wydawała. Radość jej

stanowiło obecnie spokojne używanie bogactw posiadanych, oraz wspomnienia dawnej swej władzy; jedną już tylko miała żądzę: strzedz i pilnować, by do historii jej rodu nie przyłgnęły zakaźne pierwiastki, mogące rzucić nań plamy w przyszłości. Duma jej zwarła się cała w pościgu tego dwoistego celu, widocznego dla wszystkich; usilność swą wyteżęła, by pozostały w całości świetne i jasne tylko wspomnienia tej legendy, którą opromieniona, odbierała hołdy całego miasta, jak przystało zrzuconej z tronu monarchini.

Felicja podeszła ku drzwiom pokoju, nasłuchując odgłosy mózdzierza, nieustannie się odzywające. Potem, zafrasowana, zwróciła się do Klotyldy:

— Co on tam przyrządza, Boże kochany! Czy wiesz, że on bardzo szkodzi sobie tym nowym lekiem. Opowiadano mi, że temi dniami o mało nie uśmiercił jednego ze swoich chorych.

— Ach, babciu! — zawołała żałośnie młoda dziewczyna. Lecz Felicję trudno już było powstrzymać.

— Tak, upewniam cię! stare baby gorsze jeszcze roznoszą o nim plotki... Idź i rozpytaj się na przedmieściach. Powiedzą ci tam, że Pascal tłucze w swym mózdzierzu kości zmarłych, polewając krwią nowonarodzonych niemowląt!

Tym razem i Marcyna przeczyć zaczęła a Klotylda stała gniewna, dotknięta do żywego rzuconą potwarzą.

— Ohi babciu, nie powtarzaj szkaradzeństw takich... Mistrz tak wspaniałomyślne ma serce, tak myślał o szczęściu drugich przepelnione!

Widząc, że oburzyła i jedną i drugą, Felicja zmiarowała się w słowach i przymilać się poczęła:

— Ależ, koteczko moja, to nie ja wymyśliłam te potwarze. Powtarzam ci tylko obiegające miasto głupstwa, abys wiedziała, że Pascal źle czyni, nie licząc się z opinią publiczną. Przypuszcza, że znalazł nowy środek leczniczy, tem lepiej! Pierwsza chcę wierzyć, że wszystkich uzdrowi tak, jak się tego sam spodziewa. Tylko dlaczego otacza się tajemnicą, dlaczego nie mówi głośno o tem, co robi, dlaczego, zamiast leczyć i próby robić na pospólstwie starego miasta, lub wiosek okolicznych, nie sprobuje uzdrowić kogoś, mającego stanowisko, dlaczego nie przedsięwzięje postawić na nogi takich chorych, którzy, przyszedłszy do zdrowia, sławyby mu przysporzyć mogli? Nie, widzisz, kochaneczko moja, ten twój mistrz nigdy nie mógł nie robić tak, jak inni, tylko zawsze po swojemu.

Wymawiając te słowa, Felicja przybrała minę niezadowolnioną i przyciszyła głos, jakby niechętnie odstawiając ukrywaną starannie ranę serdeczną.

— Chwała Bogu, nie brak nam ludzi znakomitych w naszej rodzinie, drudzy synowie niemają stanowią dla mnie pociechę. Wszak przeczyć temu nie można? Twój wuj, Eugeniusz, przez dwanaście lat był ministrem—cesarzem prawie! A twój ojciec jakiemiż milionami obracał! Brał udział we wszystkich robotach, które postać Paryża zmieniły! Nie mówiąc już o twoim bracie, Maksymie, tak bogatym i wykwintnym, ani o twoim kuzynie, Oktawie Mouret, przekształcającym tory nowoczesnego handlu, ani o naszym drogim

i świętym księdzu Mouret!... No, powiedz mi, dlaczego więc Pascal, zamiast iść śladem ich wszystkich, upiera się tkwić w swojej norze, jak stary oryginał i półgłówek?

Klotylda burzyć się znów poczyniała, co widząc Felicja, zamknęła jej usta czułym ruchem ręki.

— Nie, nie! Pozwól mi skończyć... Wiem dobrze, że Pascal nie jest głupi i że prace jego znakomity zyskały rozgłos w Akademii medycznej, czyniąc go sławnym wśród uczonych... Lecz cóż to znaczy wobec rojeń, jakie dla niego snułam? Tak! obiecywałam sobie, że zdobędzie całą bogatą klientelę miasta i zbierze wielki majątek, order legii honorowej a w ślad za tem idące zaszczyty postawiłyby go narówni z innymi członkami, godnie rodzinę naszą w świecie reprezentującymi. Ah! tak, kochaneczko moja, tem ja się smucę najwięcej, że Pascal dobrowolnie odłącza się od rodziny i tak postępuje, jakby nigdy do niej nie należał. Słowo daję, jeszcze małem był dzieckiem, gdy często musiałam mu mówić: „Zkąd się ty wzięłeś? Ty nie nasz chyba jesteś!“. Ja poświęcałam zawsze wszystko dla dobra rodziny naszej, posiekać dałabym się chętnie, gdyby to familii sławy przysporzyć mogło!

Felicja prostowała się i rosła, wymawiając słowa, oddające wiernie wytyczną myśl jej i jedyną już dziś żądę używania owoców, checiwą ambicyą całozyciową zdobytych. Zaczęła znów krążyć po sali, gdy naraz spostrzegła z niepokojem leżący na ziemi numer „Tempsa“, rzucony przez doktora po wycięciu artykułu i dołączeniu go do teki, opatrzonej nazwiskiem

„Saccard“; na widok luki w pośrodku arkusza, osunęła się na krzesło, jakby nagle uświadomiona o tem, czego pragnęła się dowiedzieć, przybywając w te progi.

— Ojciec twój został mianowany dyrektorem dziennika „l'Epoque“?!—zagadnęła z gwałtownością.

— Tak—odpowiedziała spokojnie Klotylda—mistrz mi to mówił, wiemy z dziennika.

Zuwagą i niepokojem śledziła teraz Felicya wnuczkę, objęte bowiem przez Saccarda stanowisko świadczyło o jego złączeniu się z nowym rządem, z Rzeczpospolitą, co w umyśle Felicji przybierało doniosłość niepomiernej wagi. Po upadku cesarstwa, Saccard nie zawahał się wrócić do Francji, mimo ciężącego na nim wyroku sądowego, po słynnem i kolosalnych rozmiarów bankructwie „Banku wszechświatowego“, którego był dyrektorem na parę lat przed wojną. Nowe u rządu wpływy, jakieś nadzwyczaj zręczne intrygi, zdołały go widocznie postawić na nogi. Nietylko został ułaskawiony, lecz zarazem i dopuszczony do zacierpnięcia w zbiorowisku olbrzymich interesów, postawiony bowiem na czele wielkiego dziennika, miał sposobność pobierania należnych łapówek. W mgle wspomnień Felicji majaczyły nieporozumienia, wiecznie dawniej wybuchające pomiędzy braćmi: niejednokrotnie Saccard kompromitował piastującego tekę ministra, brata swego, Eugeniusza Rougona, teraz, ironiczmem zrządzeniem losu, protegować on może dawnego ministra, dziś zwyczajnego deputowanego, z uporem i zaciętością broniącego spadłego z tronu cesarza, tak jak ich matka bronić zwykła dobra rodzi-

ny. Felicja ulegała posłusznie woli najstarszego syna, nawet gdy orzeł powstrzymany został w swym locie; lecz Saccard, mimo to wszystko, najbliższym był jej serca, tak dalece łączyła ich wspólna żądza powodzenia; dumną była z Maksyma, brata Klotyldy, który po wojnie osiadł na nowo w pałacu swym przy Avenue du Bois de Boulogne i zjadał spokojnie pozostawioną mu przez żonę fortunę, ostrożny był i wstrzeźmięzliwy, jak przystało na człowieka chcącego żyć, pomimo nurtującej go choroby, grożącej paralizem.

— Jest dyrektorem „Epoki“—powtarzała Felicja—czy wiesz, że zdobyta przez twego ojca pozycja równa się nieledwie władzy ministra... Zapomniałam ci powiedzieć, że napisałam do twego brata, namawiając, by nas odwiedził. Rozerwie się trochę, co na dobre mu wyjdzie. Wreszcie, jest tu jego dziecko—biedny Karol...

Felicja nie zatrzymała się na tem dłużej, była to bowiem jedna z ran, dumie jej zadanych; Karol był synem siedemnastoletniego wówczas Maksyma i służebnej dziewczyny, teraz miał lat piętnaście, niedołączony umysłowo wałęsał się w Plassans, przebywając u jednych lub drugich członków rodziny. Przez chwilę Felicja wyczekiwała odpowiedzi Klotyldy, przypuszczając możność przerwania się następnie ku żywo interesującej ją sprawie. Widząc wszakże zupełny spokój Klotyldy, w milczeniu składającej papiery na stoliku, postanowiła wprost przystąpić do rzeczy i rzuciła tylko okiem ku Marcynie, reparującej wciąż machinalnie fotel, jakby głuchą była i niemą.

— Więc wuj twój wyciął artykuł z „Tempa“? Klotylda się uśmiechnęła.

— Tak, mistrz przyłączył go do papierów w tekach. Ileż on tam zagrzebuje papierów! Akta urodzin, śmierci, najdrobniejsze wydarzenia codziennego życia, wszystko w teках wspólnie spoczywa. Jest tam również drzewo genealogiczne, wiesz babciu, sławne drzewo genealogiczne naszej rodziny, uważnie w właściwym czasie dopełnianie!

Oczy starej pani Rougon płomiennie błyszczeć poczęły. Wpiła je w Klotyldę.

— Czy znasz te papiery?

— O nie! Mistrz nigdy mi o nich nie mówi a ruszać nie pozwala.

Felicja nie wierzyła.

— Przyznaj się, masz je pod ręką, musiałaś coś kiedy przeczytać.

Z prostotą, nacechowaną uczciwością, Klotylda odpowiedziała z uśmiechem:

— Nie czytałam. Gdy mistrz zakazuje mi czegokolwiek, znaczy to, że ma ku temu słuszną rację, słucham więc bez wahania.

— Moje dziecko! — zawołała z wybuchem Felicja, ulegając wreszcie nurtującej ją oddawna myśli -- Pascal kocha cię bardzo, może cię posłucha, wyproś u niego, by spalił te szkaradne papiery, bo widzisz, gdyby on umarł i papiery wpadły w obce ręce, wszyscy szwank na honorze poniesiemy!

Ah! obmierzte te papiery! Męczyły one Felicję podczas bezsennych nocy; majacząc, widziała je całe za-

pisane historią prawdziwą rodziny, ognistemi zgłoskami świeciły i straszyły ją zestawieniem czynów wstrętnych, wad fizyologicznych, na członkach Rougonów ciężących, wyjawiały one odwrotną stronę sławy, wszystko to, co Felicja ukryćby chciała przed światem na zawsze, zagrzebać głęboko w grobowcach pradziadów! Wiedziała, że syn jej Pascal zbiera skrzętnie najdrobniejsze dokumenty, do swej familii odnoszące się i to od chwili, gdy powziął myśl skierowania swych badań naukowych na dziedziczność skłonności przyrodzonych, zauważył bowiem, iż własna jego rodzina dostarcza mu typowych okazów, dobitnie świadczących na korzyść odkrytych przez niego praw naturalnych. Dlaczego nie miał skorzystać z gruntu, tuż pod ręką będącego i który znał w najdrobniejszych szczegółach? Dla dobra nauki doktor uznawał, że wahać się nawet nie godzi, od lat więc trzydziestu zbierał najdrobniejsze szczegóły o członkach swej familii, układał i klasyfikował dokumenty, ułożył drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów a teki, wyładowane papierami, zawierały i stanowiły drzewa tego komentarze, poparte dowodami.

— Ah! tak—mówiła dalej pani Rougon z zapalem— w ogień, w ogień te szpargały, mogące oczernić nas wszystkich!

Marcyna, słysząc, jaki obrót bierze rozmowa, powstała z ziemi i chciała się usunąć, lecz Felicja zatrzymała ją żywo.

— Nie, nie! zostań z nami, Marcyno! nie przed tobą nie mamy skrytego, uważamy cię już teraz za członka naszej rodziny.

Zatrzymawszy Marcynę, głosem, pałającym nienawiścią, mówiła:

— Bo czemuż są te szpargały, jak nie zbiorowskiem fałszu, kłamstwa, potwarzy, rzucanych na nas przez zawistnych naszemu powodzeniu nieprzyjaciół, przywiedzionych tryumfem naszym do wściekłości Pomyśl nad tem, moje dziecko. Papiery te zawierają same okropności o twoim ojcu, o twojej matce, twoim bracie, o mnie wreszcie!

— Okropności, powiadasz, babciu, lecz zkąd i jak wiedzieć o tem możesz?

Felicja zmieszana się na chwilę.

— Oh! domyślam się tego! Bo czy jest jakakolwiek familia, którejby niepowodzenie nie zostało zaraz na złe przez ludzi wytłomaczone? Oto naprzykład matka nas wszystkich, ta droga i czcigodna ciotka Dida a twoja prababka, czyż nie musiała być zamkniętą przed dwudziestu jeden laty w domu zdrowia w Tulettes? Bóg dozwolił jej w łasce swej wielkiej dożyć do lat stu czterech, lecz srodze ją dotknął, odejmując jej rozum. Naturalnie, wstydzicie się tego nieszczęścia nie potrzebujemy, tylko przeraża mnie przypuszczenie, jakie inni uczynić mogą, że choroba umysłowa pospolitą jest w naszej rodzinie i temu zapobiedz trzeba... No, a stary Macquart, czego też ludzie na niego nie wymyślili! Macquart popełnił niejeden błąd, broń go nie będę. Lecz dziś, czy nie siedzi sobie spokojnie w domu swym w Tulettes, o dwa kroki od zakładu leczniczego, by czuwać nad matką, jak na dobrego syna przystało? Wreszcie, weźmy jeszcze jeden przy-

kład. Twój brat Maksym wielką popełnił niedorzeczność, zawiązując romans z prostą dziewczyną, tem więcej, że biedny Karol pozostanie smutnym niedołęgą umysłowym. Lecz mniejsza o to, powiedz mi tylko, czy przyjemnieby ci było, gdybyś na każdym kroku słyszała, że siostrzeniec twój jest ciekawym okazem zwyrodnienia, w czwartem pokoleniu bowiem odziedziczył właściwości umysłowe prababki, drogiej naszej ciotki Didy, przy której Karol tak chętnie lubi przebywać? Nie, związki rodzinne stają się wprost niemożliwymi, jeżeli mają służyć za pole badań muskułów jednego a nerwów drugiego. Życie obrzydnąć może w takich warunkach!

Klotylda słuchała jej uważnie, stojąc przed nią w długiej swej czarnej bluzie. Twarz miała poważną, ręce zwisłe i oczy w ziemię utkwione. Zapanowało milczenie, wreszcie odrzekła powoli:

— Moja babciu, nauka i wiedza muszą mieć swoje prawa.

— Nauka! — zakrzyknęła Felicya, drepcząc niecierpliwie — ładna rzecz, ta ich nauka, burząca wszystko, co jest najświętszego na świecie! Gdy zniszczą porządek istniejący, cóż zyskają!... Zabijają poczucie szacunku, zabijają miłość rodzinną, zabijają świętość Boga...

— O! nie wymawiaj pani słów takich! — przerwała z boleścią w głosie Marcyna, dotknięta do żywego w swej pobożności. Niech pani nie mówi, że nasz pan zabija świętość Boga!

— Cóż na to począć, kiedy tak jest, zabija Go...

Powiem więcej, zbrodnią jest z religijnego punktu widzenia, dozwalać doktorowi, by zgubę wiekiustą sam dobrowolnie na siebie ściągał. Nie kochacie go chyba, słowo daję! nie, nie kochacie go, wy obie jesteście wierzące a nie, zgoła nie czynicie, by go na dobrą sprawadzić drogę... Oho! ja na waszem miejscu siekierą porąbałabym tę szafę, ogieńbym pod nią podłożyła, by spłonęły bluźnierstwa przeciw Bogu, w niej zawarte!

Felicja stanęła, jak wryta, przed olbrzymią szafą, mierząc ją pałajacem okiem, jakby chciała zdobyć twierdzę i na zagładę ją skazać. Po chwili z ironicznym rachem dodała:

— I gdyby jeszcze Pascal, dzięki swej wiedzy, mógł wszystko wiedzieć i zbadać!

Klotylda stała wciąż zadumana, z błędnymi oczyma. Półgłosem, jakby sama do siebie, rzekła:

— Prawda, nie może on wiedzieć i zbadać wszystkiego. Zawsze pozostaną rzeczy nieprzystępne, wyższe... Niejednokrotnie poróżniliśmy się z tego powodu; nie mogę tajemnic wiary na bok usunąć, tak jak on to uczynił; męczy mnie to niewymownie... Pozaświatowe istnienie ęci mnie tajemnicami swemi, siły nieznanne, niezbadane...

Głos jej coraz bardziej stawał się stłumiony, powolniejszy, wreszcie stał się niezrozumiałym już tylko szmerem.

Wtedy Marcyna, chmurna coraz bardziej, odezwała się z kolei:

— Gdyby jednak rzeczywiście tak było, że nasz

pan ztratę duszy sobie gotuje, gromadząc papierzy-ska obmierztel... Powiedz, panienko, czyż godzi się nam patrzeć na to obojętnie?... Gdyby mi pan kazał rzucić się z dachu, zamknęłabym oczy i rzuciła się natych-miast, bo wiem, że miałyby rację jakąś słuszną, wyda-jąc mi taki rozkaz. Lecz gdy idzie o jego zbawienie, to, gdybym mogła dopomóc mu ku temu, mimo jego woli, wszystkich sposobów chwyciłabym się z ochotą. Tak, niezawodnie, gdyż zbyt srogi ból sprawia mi myśl, iż w niebie razem z nim nie będziemy.

— Słusznie mówisz, moja Marcyno — potwierdziła Felicya. — Widzę, że rozumiesz, jak należy ci koch twojego pana.

Klotylda jedna między niemi wahać się jeszcze zda-wała. U niej bowiem wiara nie stosowała się ściśle z przepisami dogmatycznymi, uczucia religijne Klotyldy nie były ujęte w powszednią, materialną for-mułkę z nadzieją rajy w przyszłości, rajy pobytu roz-koszy w otoczeniu tych, których ukochaliśmy na zie-mi. Klotylda czuła raczej potrzebę wierzenia w siły niezbadane i pozaświatowe, przekonana, iż po za do-czesnością jest coś innego, z czem liczyć trzeba się koniecznie. Lecz stara jej babka, oraz wierna, przy-wiązana sługa, wstrząsnęły nią teraz i obudziły obawę o wuja. Może kochały go więcej, trzeźwiej, prawdzi-wiej o nim sądziły, pragnąc tak gorąco, by wyzuł się z narowów nabranych i stał się godnym stanąć pośród wybranych? Przychodziły jej na myśl oderwane zda-nia, w pobożnych wyczytane książkach, o bezustan-nej walce, którą z szatanem toczyć należy, o chwale,

spływającej z nawrócenia zatwardziałyeh grzeszników. Może warto, może trzeba, by stanęła i ona do walki w świętej sprawie zbawienia go, mimo jego chęci i woli! Uniesienie ogarniać poczęło dziewczynę, zarzewając jej umysł chciwy nadzwyczajności.

— Niezawodnie — rzekła wreszcie — szczęśliwą byłabym bardzo, gdyby mniej pracował umysłowo w obranym kierunku, gdyby przestał wycinać i zbierać papierki a natomiast, by zaczął chodzić wraz z nami do kościoła.

Pani Rougon, widząc, że Klotylda mniej już jest oporna, zachęcać ją poczęła do czynu, w czem dopomagała jej Marcyna, silny wpływ na dziewczynę mająca. Zbiły się teraz w gromadkę i głosem cichym, jakby knując spisek, przekonywać poczęły Klotyldę o cudownych skutkach i dobrodziejstwach jej wpływu na wuja, o rajskiej rozkoszy, która dom cały napełni, gdy nawrócenie dokonane zostanie. Cóżby to za tryumf był niezrównany, gdyby się dało Pascala z Bogiem pojednać! Jakąż radością niebiańską stałoby się życie ich wspólne, gdyby dusze ich jednoczył ten sam błogosławiony źródło wiary!

— Cóż więc mam czynić? — zapytała Klotylda, zwyciężona, podbita słowami niewiast.

Lecz w tejże chwili rozległ się w ciszy donośniejszy, niż poprzednio, stuk tłuczka, rytmem monotonym, nieustającym.

Felicja twarz swą, promieniejącą odniesionem zwycięstwem, zwróciła z niepokojem ku drzwiom, wiodącym do gabinetu doktora. Popatrzała chwilę i rzekła półgłosem:

— Czy wiesz, gdzie jest klucz od szafy?

Klotylda nie odpowiedziała, tylko mimowolnym ruchem wzdrygnęła się cała na myśl dokonania zdrady względem swego mistrza.

— Dziecinna jesteś! przysięgam ci, że nic nie zabiorę, nic nawet nie poruszę... Tylko ponieważ jesteśmy same a Pascal nigdy przed obiadem z pokoju swego nie wychodzi, warto byłoby przekonać się, co też się mieści w szafie. Słowo ci daję, że okiem tylko pragnę rzucić!...

Klotylda stała uparcie milcząca i oporna.

— A może mylę się — dodała Felicya — może nie niema takiego, o czem mówiłam.

Słowa ostatnie zdecydowały Klotyldę, pobiegła do szuflady biurka, wzięła klucz i na rozcież szafę rozwarła.

— Patrz, babciu, papiery rodzinne leżą na najwyższej półce.

Marcyna, milcząc, stanęła przy drzwiach pokoju doktora, nasłuchując uważnie odgłosu tłuczka, podczas gdy Felicya stała, ze wzruszeniem patrząc na osławione papiery. Nareszcie! oto one, te straszne dokumenty, jak zmora trująca, nad życiem jej ciężące! Widziała je teraz, mogła ich dotknąć, unieść! Prosto-wała się na drobnych nóżkach, podsadzana żądzą w górę ku papierom.

— Za wysoko leżą — wyrzekła. — Pomóż mi, kochaneczko, podaj.

— Co to, to nie, babciul... Weź sobie krzeselko.

Felicya ujęła krzesło i lekko nań wstąpiła. Lecz

jeszcze była zamąta. Wyteżywszy całą swą siłę, wyciągnęła się, by choć końcami paznogi dotknąć grubego, niebieskiego papieru, z którego teki były zrobione a przesuważąc palcami po nich, kurczyła je, jak szpony drapieżne. Nagle z wielkim hałasem coś spadło; był to kawał marmuru, jakaś próbka geologiczna, leżąca na niższej półce.

W tejże chwili odgłos tłuczka ucichł a Marcyna stłumionym głosem zawołała:

— Strzeżcie się, doktor idzie!

Felicya, uniesiona żądzą posiadania papierów, nie słyszała i nie widziała, gdy Pascal żywo wbiegł do sali. Myślał, że wypadek jaki się zdarzył, że ktoś upadł, lecz wszedłszy, stanął oniemiały na widok, jaki go uderzył: matka jego stała wyprężona na krześle, z rękoma w górę wzniesionemi. Klotylda zaś opodał, blada, ze spuszczonei oczami. Gdy wszystko odgadł, sam zbladł jak chusta. Gniew straszny wrzeć w nim poczał.

Stara pani Rougon nie wzruszyła się bynajmniej. Widząc, że na ten raz wszystko przepadło, zeskoczyła z krzesła i nie czyniąc nawet aluzyi do uczynku, na którym syn ją schwytał, rzekła:

— To ty?... nie chciałam ci przeszkadzać. Przyszłam, by uścisnąć Klotyldę; lecz widzę, że blisko dwie godziny zasiedziałam się u was, uciekam natychmiast. Muszą się niepokoić o mnie w domu... Do widzenia, do niedzieli!

Swobodna, uśmiechem pożegnała syna i wyszła, a on stał jeszcze niemy i mimo wszystko, z szacunkiem

przed matką. Oddawna milczeniem i szacunkiem matkę swą otaczał, wymógłszy to na sobie dla uniknięcia objaśnień, które mogły być bolesne, bał się ich Pascal i starannie unikał. Znał matkę swą dobrze, wszystko jej przebaczał, dzięki swej tolerancyi człowieka wiedzy, uwzględniającego prawa dziedziczności, wpływy otoczenia i okoliczności. Wreszcie matką była jego i to wystarczało; mimo bowiem strasznych odkryć, jakie poczynił, badając szczegóły życia członków swej rodziny, zdołał zachować dla nich wiele serdecznego ciepła.

Po wyjściu matki, gniew Pascala spadł cały na Klotyldę. Odwróciwszy oczy od Marcyny, utkwił je w dziewczynie, która śmiało patrzyła na niego, jakby mężnie chciała przyjąć na siebie całe brzemie zaszłych okoliczności.

— Tyl tyl — wyrzekł wreszcie.

Chwycił ją silnie za rękę, sprawiając jej ból wielki, lecz Klotylda uparcie patrzyła mu prosto w oczy, nieugięta w swej woli, zamknięta w swej myśli przewodniej. Zachwycająco piękną była wysmukła, szczupła postać dziewczyny w czarnej, długiej swej bluzie; jasnowłosa jej młodzieńczość, gładkie czoło i cienkich kształtów nos, pełna stanowczości broda, wszystko przybrało wdzięk jakiś wojowniczy, niesforny.

— Ty, którą wychowałem, wykształciłem, ty, moja przyjaciółka i siostra mej myśli, ty, w którą starałem się przelać serce i mózg mój własny! Ah, tak! zbłądziłem tem, że cię całkowicie dla siebie nie zagarnął, że dozwoliłem, byś część najlepszą swemu Bogu oddała!

— Oh, panie! przestań bluźnić, błagam, przestań bluźnić! — zawołała Marcyna, zbliżywszy już poprzednio, by część gniewu doktora przyjąć na siebie.

Lecz Pascal dostrzegać się jej nawet nie zdawał. Klotylda jedna teraz dla niego istniała. Zmienił się pod nawałą ogarniającego nim całym wzruszenia, mimo białych włosów i brody, piękna twarz doktora była łuną młodości, przywiedzionej do szału pod srogimi pociskami, w najdroższe uczucia godzącemi. Chwilę jeszcze stali tak, ogarniając się wzrokiem wzajemnie, nie ustępując sobie, patrząc oko w oko.

— Ty! ty! — powtórzył jeszcze wzburzenia pełnym głosem.

— Tak, ja!... Dlaczegoż, mistrzu, nie miałabym ciebie kochać tak, jak ty mnie kochasz? I dlaczegoż, wierząc w grożące ci niebezpieczeństwo, nie mam się starać o potrzebny tobie ratunek? Dlaczego trwożysz się nad myślami mojami i chcesz mnie skłonić, bym myślała podług twojej chęci?

Nigdy jeszcze Klotylda tak jawnie nie wystąpiła do buntu.

— Ależ ty dziecko jeszcze jesteś, dziewczyno, ty nie nie wiesz i nie znasz!

— Mylisz się w swej zarozumiałości, bo mam duszę, o której równie, jak ja, sam wiedzieć nie nie możesz!

Pascal puścił rękę Klotyldy, zatoczył ruch wielki ku niebu i nastąpiła zadziwiająca w swym rodzaju ciśsza, bo pełna słów poważnych i bezużytecznych, czezych zdań, utarczek, których doktor starannie unikał. Gwałtownem szarpnięciem otworzył okiennicę

środkowego okna, słońce chyliło się już ku zachodowi i w sali zmrok zapadać poczynął. Następnie wrócił na miejsce poprzednio zajmowane.

Lecz Klotylda zapragnęła powietrza, przestrzeni i podeszła ku otwartemu oknu. Ognisty deszcz słoneczny ustąpił teraz ostatnim blaskom rozpalonego, lecz błednąc już poczynającego nieba; ziemia żarem jeszcze płonęła, zionąc gorącem, jakby spragniona oddechu wieczornego.

W dole tarasu widniały szyny kolei żelaznej, zabudowania dworca i przystani; dalej, sznur drzew snuł się przez rozległą, wyschłą płaszczyznę, znacząc bieg rzeczutki la Viorne, po za nią wznosiły się pagórki Sainte-Marthe, ziemia ich czerwona usiana była drzewami oliwnymi, liczne mury powstrzymywały obsuwanie się gruntu i ciągnęły gradusami wzdłuż wysokości ścian o szczytach, pokrytych ciemnym borem sosnowym; zataczał się tu widok w amfiteatr obszerny, słońcem obłany, ceglastą swą barwą odbijający o ciemną koronę lasów, zieloną frendzlą odcinających się na niebie. Na lewo rozwierały się wąwozy de la Seille; olbrzymie łomy żółtych głazów stoczyły się na grunt krwawej barwy, wyżej sterczały skały, tuż jedna za drugą, jakby mur forteczny, lub grobla olbrzymów; na prawo, u skraju doliny rzeczki Viorny, rozsiadło się miasteczko Plassans, coraz wyżej piętrząc różowe wyblakłe dachy, ściśnięte na wzór starych grodów, gdzieniegdzie tylko strzelało wśród domostw wysokie drzewo a nad wszystkim panowała wyniosła wieża Ś-go Saturnina, samotna i pogodna, zanurzona cała w przezroczyście blaski zachodzącego słońca.

— Mój Boże! jakże strasznie trzeba być zarozumiałym—rzekła powoli Klotylda—by wierzyć, że wszystko ująć można w rękę, wszystko zbadać i poznać!...

Pascal wszedł właśnie na krzesło, by przekonać się bliżej, czy żadnej nie brakuje teki. Następnie pedniósł szczątki rozkruszonego upadkiem marmuru i położył na półce a gdy szafę zamknął energicznym ruchem, tym razem klucz włożył do kieszeni.

— Tak, trzeba się starać jaknajwięcej zbadać, lecz przedewszystkiem należy pamiętać o tem, by nie zaprzętać sobie głowy niepotrzebnie rzeczami, których nigdy znać się dokładnie nie będzie.

Marcyna znów zbliżyła się ku Klotyldzie, jakby w chęci utrwalenia jej w walce i dodania otuchy, że we dwie bronią wspólnej sprawy.

Pascal teraz dopiero ją spostrzegł i poczuł, że obie złączyły się w celach podboju. Po latach całych cichych zabiegów, tłumionych napaści, wojna wypowiedzianą więc została otwarcie, nastąpiła sroga chwila, w której mąż nauki widzi najbliższe dla siebie istoty przeciw sobie zwrócone. Niema gorszej męczarni, jak czuć wokoło siebie zdradę, być podpatrywanym, wywłaszczonym, unicestwionym przez tych, których się kocha i którzy kochają!

Nagle myśl ta jasno się zarysowała w umyśle Pascala.

— A jednak, wy mnie kochacie, więc czemu?...

Oczy kobiet zaszyły łzami, posmutniał doktor, mimo uroku kończącego się dnia pogodnego. Wesołość i dobroć Pascala tryskały naturalnie wraz z namiętną miłością dla życia.

— Moja droga Klotyldo i ty, poczciwa Marcyno, postępujecie tak dla mego dobra? Wszak prawda? Ale niestety, jakże nieszczęśliwymi będziemy wszyscy!

Nazajutrz, Klotylda zbudziła się przed szóstą zrana. Udała się na spoczynek pogniewawszy się z Pascalem, i unikając się nawzajem. Obudziła się teraz pod niemiłym wrażeniem, dokuczało jej głuche zmartwienie, rodziła się w niej przeto chęć natychmiastowego pogodzenia się, by co prędzej zważyć ciężar, tłoczący jej serce.

Żywo wyskoczyła z łóżka i pobiegła odemknąć okiennice u dwóch okien swego pokoju.

Słońce już było wysoko i wdarło się teraz dwoma złotymi pasami. Pokój, jakby zbudzony z uspienia, wionął cały tchnieniem młodości a jasny poranek przyniósł doń wesoly, orzeźwiający chłodem powiew; dziewczyna wróciła od okna i siadła w zamyśleniu na brzegu łóżka, wążka koszula, opinająca ciało, wiotszą ją jeszcze czyniła, obnażając smukłe nogi, uwydatniając zręczną kibić o piersiach okrągłych, o szyi, ramionach, rękach drobnych i jakby utoczonych; ciało miała prześliczne, białe, jak mleko, jedwabiste, gładkie nieskończenie delikatne. W epoce, zwanej wiekiem niewdzięcznym, u Klotyldy trwającym od lat dwunastu do osiemnastu, wydawała się zbyt wysoką, niezgrabną w ruchach, lubiła wtedy, jak chłopiec, drapać się na drzewa. Potem, z tego stworzenia o płci nieokreślonej, wyłoniła się kobieta, pełna miłosnego czaru.

Błędnym wzrokiem zapatrzyła się w ściany pokoju.

Dom, który zamieszkiwała z doktorem, nosił w swej budowie piętno zeszłego stulecia, musiał być wszakże na nowo umeblowany za pierwszego cesarstwa, gdyż ściany pokoju Klotyldy pokryte były płóciennem obiciem, malowanem w głowy sfinksów, wychylające się z girland zielonych liści dębowych. Tło obicia było kiedyś czerwone, teraz spelzło na kolor różowy, wpadający nieco w żółtawy. Takież same firanki otaczały okna i łóżko, przez pranie wszakże poblakły jeszcze widoczniej. Wypłowieła barwa purpurowa obicia odblaskiem jutrzeńki być się zdawała, zlewając się w tony miękie, delikatne. Łóżko było niegdyś do obicia dopasowane, lecz tak się latami zużyło, że dziś Klotylda sypiała na innem, z sąsiedniego pokoju pożyczonem, lecz i to nosiło na sobie piętno epoki pierwszego cesarstwa, niskie i szerokie, z mahoni, z ozdobami mosiężnemi, na czterech swych rogach unosiło głowy sfinksów, podobne do tych, jakie były na obiciu. Reszta umeblowania również była dobrana: wielka szafa z filarkami, komoda z białym marmurowym blatem, okrążoną galeryjką, wysokie lustro, monumentalnych nieomal rozmiarów, kuszетка o wydłużonych, sztywnych nóżkach, krzesła o grzbietach prostych, w formie liny. Kołdra tylko, rzucona w nogach łóżka, rozweselała majestatyczność umeblowania barwną swą kwiecistą materyą jedwabną, pochodzącą niezawodnie z jakiej starej spódnicy z czasów Ludwika XV-go; łóżko stało pod ścianą, naprzeciw okien; stopy poduszek, rozrzuconych po kuszecie, dodawały jej miękkości; stały jeszcze dwie etażerki

i stolik, przybrany w wzorzystą, staroświecką, jedwabną materję, wypadkiem odnalezioną gdzieś na spodzie szafy.

Klotylda wciągnęła wreszcie pończochy i zarzuciła biały pikowy szlafroczek; końcem nóg znalazłszy szare płócienne pantofelki, ozuła je machinalnie i pobiegła do przyległej umywalni, mieszczącej się w pokoju z oknami wychodzącemi na drugą stronę ogrodu. Gustem Klotyldy wybrane obicie z dymki szarej w niebieskie paski, przykrywało ściany, gotowalnia, dwie szafy, krzeselka były z prostego sosnowego drzewa. Mimo swej prostoty, pokój tchnął wdziękiem, wymownie świadcząc o wrodzonej kokieteryi niewieściej tej, która go urządziła. Pociąg do zalotności rozwinał się w Klotyldzie równocześnie z pięknością. Pozostało w niej jeszcze coś z dawnej samowoli chłopięcej, lecz coraz wyraźniej brała przewagę czułość kobieca, pragnąca uczucia wzniecać i dzielić. Klotylda, wśród nieograniczonej niczem swobody, systematycznie nauczyła się tylko czytać i pisać, reszta zaś obszernych wiadomości nagromadziła się w jego głowie po trochu sama, w miarę pomagania wujowi. Wychowaniu Klotyldy nie przewodniczył żaden plan z góry powzięty, Pascal bynajmniej nie miał zamiaru przeładowywania jej umysłu wiedzą, sama zaś z chciwością tylko garnęła się do historii naturalnej, co jej dozwoliło poznać dokładnie fizyologię ciała ludzkiego. Nieskazitelnność dziewiczą zachowała, jak owoc, żadnem dotknięciem niepokalany a stało się to dzięki bojaźliwemu, religijnemu oczekiwaniu miłości, uczuciu, właści-

wemu każdej kobiecie, by uchroniony dar całego swego jestestwa złożyć w ofierze mężczyźnie, którego ukocha.

Wysoko włosy zapiąwszy, Klotyllda cała w wodzie się wypluskiała; następnie, niecierpliwością powodowana, otworzyła cichutko drzwi od swego pokoju i na palcach, bez szmeru, puściła się przez salę, w której zwykle pracowała z Pascalem. Okiennice były jeszcze zamknięte, lecz światła wnikało dosyć, by mogła rozpoznać i nie potrącić o rozstawione meble. Przebywszy salę, stanęła pod drzwiami pokoju doktora, pochyliła się i słuchała, dech w piersi zatrzymując. Czy wstał już? Co też robić mógł teraz? Wyraźnie posłyszła drobne jego stąpanie, pewnie się ubierał. Klotyllda nigdy nie wchodziła do jego pokoju, doktor miał zwyczaj zamykania tam niektórych prac swoich, ustronność jego zakątką szanowano w domu, jak świątynię. Poczęła dziewczynę ogarniać obawa, by doktor nie roztworzył drzwi nagle i nie zastał ją po za niemi; duma jej na samą myśl buntowała się a wążąc się z uczuciem pokory i pojednania, jakie ją tu przywiódł, Klotyllda czuła się coraz trwoźniejszą. Przez chwilę, chęć corychlejszego pojednania się z Pascalem tak żywo nią owładnęła, że ledwie powstrzymać się zdołała, by nie zapukać do drzwi. Lecz kroki doktora poczęły zbliżać się w jej kierunku, pierzchnęła przeto z szalonym pośpiechem.

Do godziny ósmej Klotyllda wrzała coraz żywszą niecierpliwością. Co chwila spoglądała na zegar, stojący na kominku. Zegar również był z epoki pierw sze-

go cesarstwa, cały ze złoczonego brązu, unosił na wierzchu Amorka, wspartego o słupek i z uśmiechem spoglądającego na postać uspiętego Saturna. O godzinie ósmej bywało zwykle pierwsze śniadanie, które jadła w stołowym pokoju z Pascalem. W oczekiwaniu zaczęła się ubierać z drobiazgową starannością, uczesała się, zmieniła obuwie, włożyła białą, perkalową, w czerwone grochy suknię. Kwadrans czasu wolnego jeszcze jej pozostał, przypomniała sobie oddawna powzięty zamiar obszycia swej czarnej bluzki koronką naokoło szyi, by nadać nieco strojności temu zbyt dla niej mężkiemu ubraniu. Skoro tylko ósma wybiła, rzuciła coprędzej robotę i żywo z pokoju wybiegła.

— Panienska sama dziś będzie jeść śniadanie — powiedziała jej spokojnie Marcyna, krzątająca się w stołowym pokoju.

— Dlaczego?

— A tak; pan mnie zawołał, bym podała mu śniadanie i wziął je przez uchylone drzwi swego pokoju. Znów zajął się swoim móździerzem i filtrami. Nie zobaczymy go przed południem.

Klotylda zdrętwiała i pobladła. Wypiła mleko stojąc i wzięwszy bułeczkę, poszła za Marcyną do kuchni. Kuchnia i pokój stołowy zajmowały dolną część domu, prócz tego, był tam jeszcze opuszczony dziś salon, służący obecnie za skład przeważnie kartofli. Za lat dawniejszych, gdy Pascal trudnił się więcej praktyką doktorską, chorych w nim przyjmował; lecz obecnie meble nawet wszystkie przeniesiono gdzieindziej.

Z kuchni wchodziło się jeszcze do pokoju Marcyny, gdzie wszystko lśniło czystością, tak komoda z orzechowego drzewa, jak zasłane z klasztorną surowością łóżko, o białych firankach.

— Myślisz, że doktor wziął się do przyrządzania swego płynu? — zapytała Klotylda.

— Nic innego. Panienska wie dobrze, że gdy pana ogarnie ochota fabrykowania swoich leków, to jużby nie spał i nie jadł a robił.

Markotność wielka zawładnęła Klotyldą i cichutko, dla ulgi, szepnęła:

— Ah Boże, mój Boże!

Marcyna poszła na górę sprzątać pokoje a Klotylda, nie wiedząc, co z sobą począć do południa, zrozpaczona, zdjęła z kołka w sieni parasolkę i wyszła zjeść bułkę w ogrodzie.

Ogród i dom doktora Pascala znany był w okolicy pod nazwą la Soulejade, blisko siedemnaście lat temu, jak Pascal zakupił tę miejscowość za dwadzieścia tysięcy franków, poczem natychmiast się wprowadził, opuszczając domek swój miejski, w nowej dzielnicy Plassans położony. Kupił la Soulejade po części, by zadowolnić własne upodobanie samotności a po części jeszcze, by dać małej Klotyldzie, którą mu brat z Paryża przysłał w opiekę, potrzebną dziecku wiejską swobodę. Soulejada leżała na wzgórk, tuż po za bramami miasta. Roztaczał się ztąd szeroki widnokrąg na całą dolinę. Kiedyś, la Soulejade stanowiła wielką ziemską posiadłość; grunta, częściowo odprzedawane, znikły wreszcie zupełnie; ostatnia część pola zajęta

została pod budynki kolei żelaznej; dziś, pozostał tylko dom, otoczony dwuhektarowym parkiem. Nawet stary dom istniał w jednej już tylko połowie, pożar zniszczył drugą. Pozostałe skrzydło stanowiło czworobok o pięciu oknach frontowych i czerwoną dachówką pokrytym szczycie. Doktor kupił dom wraz z meblami, nie zmienił w nim nic, mur tylko, park okalający, kazał naprawić i uzupełnić, by spokojnie mógł zamknąć się u siebie. Klotylda rozkochana była w tym zakątku, stanowiącym jakby królestwo oddzielne; małe ono, w dziesięć minut obejść je można było, miejscami jednak nosiło ślady minionej swej świetności.

Dzisiejszego ranka nawet piękność parku nie przyniosła ulgi Klotyldzie. W pierwszej chwili przeszła się po tarasie przed domem. Po dwu przeciwległych jego krańcach wznosiły się wiekowe cyprysy, jak olbrzymie pochodnie, widzialne dla oka na trzy mile w promieniu. Spadzistość wzgórza ciągnęła się aż do toru kolei żelaznej; gdzieniegdzie mur, z polnych kamieni sklecony, podtrzymywał czerwoną glebę pagórka; na utworzonych w ten sposób olbrzymich stopniach krzaki winne zmarniały a długie szeregi drzew oliwnych i migdałowych nędzną i nikłą miały postać.

Nużące już było gorąco a jaszczurki, wygrzewające się na słońcu, rozpierzchały się w szczeliny za zbliżeniem Klotyldy. Wreszcie, jakby zmęczona rozległością horyzontu, dziewczyna przebyła sad i ogród warzywny, pielęgnowany przez starą Marcyne, która, mimo lat swych podeszłych, ledwie dwa razy na tydzień wynajmowała pomocnika do cięższej roboty; Klotylda

wspięła się dalej, na prawo ku sosnom, które zwarły się tu w lasek gęsty, stanowiący ostatnią cząstkę olbrzymich kiedyś borów, pokrywających szczyty wzgórz blizkich i dalekich. Lecz i tu nie znalazła ukojenia; zeschę igły sosnowe zbyt trzeszczały pod jej stopami a może balsamiczna woń żywicy zbyt była dusząca. Przebiegła wzdłuż muru obwodowego, minęła bramę, po za którą widniała droga, wiedąca do Fenouillères, oraz do Plassans, dopadła wreszcie do starego klepiska w polu, wyłożonego kamieniami; sam obszar klepiska świadczył wymownie o wielkości dawnego gospodarstwa rolnego w Sulejadzie. Ah, to stare klepisko, wybrukowane okrągłemi kamieniami, podług starodawnego rzymskiego obyczaju! Stanowiło dziś ono placyk spacerowy, suchą, krótką trawą pozłocistą, z pomiędzy krzemieni wyrosła, wysłany jakby kobiercem wełnistym—ileż miłych chwil życia Klotyldy związanych z niem był! Ileż się ona po niem nabiegała w dziecinnych swych latach, jakże lubiła bawić się na niem, lub leżać godzinami całemi, zapatrzona w zmroku wieczornym w ukazujące się gwiazdy wśród niezgłębionych otchłani niebios!...

Roztworzyła parasolkę i wolnym krokiem przeszła klepisko. Znalazła się teraz na lewej stronie tarasu, okrążywszy park całkowicie. Cofnęła się w tył, do cieniściego jaworowego gaju, tuż po za domem. Tu wychodziły okna pokoju doktora. Podniosła oczy, bo przyszła do gaju w nadziei, że natychmiast ujrzy Pascala. Lecz okna były zamknięte; zaboląło ją to gwałtownie; jakby obrazą osobistą dotkniętą została. Wte-

dy dopiero spostrzegła, że dotąd trzymała jeszcze w ręku niezjedzoną bułkę; weszła w cień i rwać ją zaczęła niecierpliwie młodemi swemi zębami.

Gaj ze starych jaworów, regularnie w gwiazdę sadzonych, był również zabytkiem odległych, świetnych czasów Sulejady i stanowił rozkoszne ustronie. Pod olbrzymiemi drzewami, o pniach potwornie powyginanych, panował chłód miły; ciemno tu było prawie, nawet w najbardziej jaskrawe dnie lata zaledwie trochę zielonkawego światła się przedzierało. Za dawnych czasów musiał istnieć w tem miejscu ogród w stylu francuzkim, o klombach bukszpanem obsadzonych — dziś bukszpan rozrósł się samowolnie i w drzewka przemienił. Niezrównanego uroku dodawało gajowi źródło, ujęte w zwykłą metalową rurę, osadzoną w kamiennej kolumnie; strumyk wody wciąż sączył się przezroczystym sznureczkiem, nie ustając w swym biegu nawet wśród ogólnej suszy, płynąca zaś z niego woda skierowaną była do poblizkiego basenu, wyłożonego kamiennemi łomami, porośłemi obficie zielonym mchem, gdyż co lat kilka zaledwie bywał oczyszczany. Zdarzało się, że wody brakło we wszystkich okolicznych studniach, źródło wszakże w Sulejadzie było wciąż jednakowo a jawory zawdzięczać mu musiały swą czerstwą starość i jego synami mienić się mogły. Dniem i nocą, od wieków niepamiętnych, szemrał ten strumyk bezustannie swą piosnkę przezroczystą, o kryształowym dźwięku.

Klotylda snuła się czas jakiś pomiędzy bukszpanami, ramion jej sięgającemi, poszła potem do domu

a przyniosłszy robotę, poczęła haftować, usiadłszy przy kamiennym stole, obok źródła. Stały tam porozstawiane ogrodowe krzesła, Pascal bowiem lubił tu pić czarną kawę po śniadaniu. Postanowiła teraz nie podnosić głowy od roboty, jakby całkowicie w niej była pogrążona. Gdy rzucała od czasu do czasu spojrzenie, można było przypuszczać, iż skierowane jest ku odległym słonecznym blaskom, nisko wśród pni drzewnych usłanym a z klepiska, w żarze promieni południowych wrzącego, aż tutaj przesłanym. W rzeczywistości zaś, wzrok jej, z po za rzes osłony sięgał ku oknom pokoju Pascala. Nikt się tam nie ukazywał, cień nawet nie odbijał. Ogarniał ją smutek i żal coraz głębszy, czuła się opuszczoną, wzgardzoną, świadczyło o tem osamotnienie, w jakim pozostawiał ją dziś Pascal, mimo ich wczorajszego wieczornego nieporozumienia. Ona przecież zerwała się dziś z pościeli z gwałtowną potrzebą natychmiastowego pogodzenia się! Jemu więc pilno do tego nie było. Nie kochał jej, kiedy mógł żyć spokojnie, chociaż był pogniewany z nią! Chmurzyła się posepniata; utrwalając się w myśli stawiania oporu, postanawiała na jotę nie ustępować w niczem.

Około godziny jedenastej, przed postawieniem śniadania na ogień, nadeszła na chwilę Marcyna, robiąc pończochę, jak zwykle w czasie wypoczynku.

— Czy wie panienka, że pan jeszcze od siebie nie wyjrzał? Siedzi, jak wilk, zamknięty i kuchnię swoją wciąż warzy.

Klotylda ruszyła ramionami, nie podnosząc głowy od roboty.

— Żeby panienka wiedziała, co też ludziska o tem gadają! Pani Felicja zupełną miała rację, mówiąc wczoraj, że jest się czego ze wstydu spalić... W oczy mi dziś rzucono, tak, mnie, jak mnie panienka tu widzi, że pan nasz uśmiercił starego Boutiera, wie panienka, tego biednego starego, co to miewał konwulsje, otóż padł na drodze i już nie żyje!...

Zapanowało milczenie. Dziewczyna stała się posępniejszą a stara służąca, coraz ochoczej migając drutami roboty, znów się odezwała:

— Nic ja tego nie rozumiem, co pan fabrykuje, lecz złości mnie to bardzo... A panienka co mówi o kuchni, przyrządzanej przez pana?

Klotylda podniosła raptem głowę i folgując wzburzonym swym uczuciom, wybuchnęła:

— Nie znam się też na tem, co Pascal przyrządza, lecz głębokie mam przekonanie, iż przysporzy sobie tylko niemało kłopotu... On nas nie kocha...

— Nie, panienko, owszem, on nas bardzo kocha.

— Nie, nie, nie kocha nas tak, jak my go kochamy!... Jeżeliby nas kochał, to byłby teraz z nami, nie zamykałby się na górze u siebie, zatracając tym sposobem duszę swoją, przywiązanie nasze, szczęście swoje gubi, chcąc świat cały uszczęśliwić.

Spojrzały po sobie obie kobiety a oczy ich błyskawice rzucały, skutkiem jednakowo wezbranej zazdrości i niechęci, żywionej dla zajęć Pascala. Milcząc, zajęły się robotą, całe w cieniu zatopione.

W pokoju swoim na górze, doktor Pascal pracował ze spokojem i prawdziwą radością. Powróciwszy ze

studyj medycznych z Paryża, zaledwie przez lat dwa-
naście zajmował się praktyką doktorską, to jest do
dnia, w którym przeniósł się na stałe siedlisko do Su-
lejady. Zadowolnił się uzbieraniem coś około stu ty-
sięcy franków, kapitał ulokował rozważnie i cały się
poświęcił ulubionym studjom, lecząc jedynie przyja-
ciół, chociaż rad swych nie odmawiał, gdy był we-
zwany do chorego, rachunku tylko nie przedstawiał
nigdy. Jeżeli mimo tego przysłano mu należne honora-
ryum, rzucał pieniądze do jednej z szuflad swego biur-
ka, uważając je za pieniądze kieszonkowe i opłacając
niemi swe zachcianki, lub koszta laboratoryjne po za
dochodem stałym, wystarczającym mu na utrzymanie
domu. Postępowaniem takim wyrobił sobie opinię
dziwaka, lecz śmiał się z tego szczerze, szczęśliwym
będąc jedynie wtedy, gdy mógł się cały oddać bada-
niom, w kierunku, który po nad wszystko umiłował.
Dla wielu z jego kolegów, dziwnem było niesłychanie
zamknięcie się tego uczonego w mieście, jak Plas-
sans, gdzie musiało mu nawet na niezbędnych mate-
ryałach do pracy zbywać. Pascal tłumaczył, że jest
wprost przeciwnie, znalazł potrzebny przedewszyst-
kiem spokój zupełny, dalej niezwykle podatny grunt
do śledzenia objawów dziedziczności, która zajmowa-
ła go przedewszystkiem. Znał on tutaj każdą rodzinę,
mógł więc śledzić objawy w najgłębszej skrywane ta-
jemnicy, czyniąc spostrzeżenia na dwóch a czasami
trzech pokoleniach. Nęciło go również niezbyt od
Plassans oddalone morze, nad brzegami którego spę-
dzał co lato czas jakiś, badając życie u źródła samego

i obliczyć się niedające rozmnażanie jego w głębinach i obszarach wodnych. Była wreszcie przy szpitalu w Plassans sala dysekcyjna, do której prawie on jeden tylko uczęszczał a sala była widna i cicha; od lat dwudziestu wszystkie trupy, przez rodziny opuszczone, przeszły w niej pod jego skalpelem. Skromny z natury, chętnie pozostawał w cieniu, zadawałnając się korespondencją z dawnymi swymi profesorami, lub niektórymi z kolegów, gdy chciał przesać Akademii medycznej w Paryżu coś ciekawszego z poczynionych spostrzeżeń. Ambicyi zdobycia sławy nie posiadał żadnej.

Do całkowitego poświęcenia się badaniom praw, rządzących objawami dziedziczności, przywiodły doktora Pascala pierwotne jego prace embryologiczne. Wypadek popchnął go w tym kierunku, dostarczając mu znaczny poczet trupów kobiet, zmarłych na cholerę w czasie ciąży. Później, dla ścisłego zbadania zarodka, oraz każdodziennego przetwarzania i formowania się płodu, w dalszym ciągu klasyfikował trupy, dopełniając seryę, zapełniając pozostałe luki, aż wreszcie mógł zestawie katalog całkowicie uzupełnionych spostrzeżeń. Z chwilą tą stanęło przed nim do rozwiązania zadanie samego poczęcia się płodu, drażniąc jego umysł niezbadaną swą tajemnicą. Dlaczego i jak poczynano się nowe jestestwo? Jakie prawa rządzą wydzieleniem się życia, tego potoku istot świat tworzącego? Badał wszakże nietylko trupy; rozprzestrzenił działalność swą dysekcyjną i na ludzi żyjących, uderzony niektórymi faktami, ustawicznie powtarzają-

cepi się wśród swoich klientów; spostrzeżenia swe zwrócił zwłaszcza na własną rodzinę, która stała się dla niego głównem polem doświadczalnem, tak dalece ciekawe i same w sobie pewną całość tworzące zdarzały się wśród niej objawy. W miarę nagromadzania się faktów, klasyfikował notatki, by móżdż, wsparty na nich, ogólną o przejawach dziedziczności ułożyć teorię, tłumaczącą wszystkie pojedyncze wypadki.

Trudne to było do rozwiązania zadanie, od lat też całych przerabiał je i uzupełniał. Postawił najpierw prawo twórczości i prawo naśladownictwa, czyli rozmnażanie się i dziedziczność istot pod wpływem tożsamości, oraz rozmnażanie się i wyradzanie istot pod wpływami różnorodnemi. Dziedziczność podzielił na cztery kategorie: dziedziczność wręcz bezpośrednią, czyli odtwarzanie się natury moralnej, lub fizycznej, ojca albo matki — w dziecku; dziedziczność pośrednią, odtwarzającą dalszych członków rodziny: wujów, ciotki, kuzynów; dziedziczność wsteczną, odtwarzającą przodków o jedno, lub kilka pokoleń odległych; wreszcie dziedziczność wpływów, odtwarzającą z uwzględnieniem dla poprzednich związków płciowych, na przykład na korzyść, czyli podobieństwo do samca, który pierwszy zapłodnił samicę, pozostawiając jej po sobie ślad niezatarty, któremu uledez może płód późniejszy, chociażby z innego pochodził ojca. Dziedziczność i wrodzoność podzielił każdą na działą, w dziedziczności przedstawiały się dwa wypadki, przewaga natury ojca, albo matki, u dziecka, czyli przewaga danej indywidualności, lub też mieszanina natu-

ry obojga rodziców, mieszanina taka trojako mogła się ujawnić, podobieństwem częściowem, rozproszonem, zespolonem, czyli od stanu podobieństwachwiejnego do ostatecznej dochodząc doskonałości; wrodzoność przedstawiała jedną tylko możliwość, to jest łączność zupełną, powstałą na tej samej zasadzie, co związki chemicznej kombinacyi dwóch ciał odmiennych, wytwarzających ciało nowe, w niezem niepodobne do tych, z których powstało.

Takim był wynik olbrzymiej ilości nagromadzonych spostrzeżeń, czynionych nietylko na gruncie właściwej antropologii, lecz zoologii, pomologii, ogrodnictwa. Trudność wielką, wobec nagromadzonych zapomocą analizy różnorodnych faktów, stanowiło zestawienie syntezy, sformułowanie teoryi, objaśniającej wszystkie.

Pascal czuł, iż staje wtedy na ruchomym gruncie hipotezy, mogącej inną przyoblec formę za każdym nowem odkryciem; prawda, iż dążył on, ludzką wiedziony zarozumiałością, do rozwiązania trudności, formułując wynik ostateczny, lecz światły jego umysł wciąż go od tego wstrzymywał. Zdawał sobie wtedy sprawę, iż teorya jego znikomą z czasem stać się może i należy ją uważać jako objaśnienie przejściowe, zadawalniające jedynie w obecnym stanie rzeczy, gdy badanie nad pochodzeniem źródła życia rozpoczętem jest zaledwie a którego przyczyna na zawsze może dla umysłu naszego tajemniczą siłą pozostanie.

Dziedziczność najczęściej była przedmiotem jego rozmyślań. Zauważył w tym kierunku rzeczy niespo-

dziewane, zadziwiające, dlaczego podobieństwo dzieci do rodziców tak jest rozmaite a nigdy zupełne, matematycznie ściśle? Pascal zestawił drzewo genealogiczne swojej rodziny i logicznie podział uczynił, uwzględniając z pokolenia na pokolenie wpływy ojca i wpływy matki. Rzeczywistość wszakże kłamała często teorii. On sam, tak różnym, tak innym będąc od całej swej rodziny, czyż zachował podobieństwo do jakiego odległego, nieznanego pradziada? Powątpiewał o sile atawizmu i mimo ciekawego przykładu w własnej rodzinie, był zdania, że podobieństwo zatraca się w drugim lub trzecim pokoleniu, skutkiem tysiącznych możliwych i krzyżujących się wpływów i okoliczności. Istniało więc bezustanne odradzanie i przekształcanie za pomocą siły udzielonej i przekazanej, tego drgającego podmuchu życia, przenikającego materię, by życiem samem stać się naówczas. Narzucały się wtedy rozliczne pytania. Czy postęp fizyczny i umysłowy istnieje i czy potęguje się z biegiem czasu? Czy skutkiem coraz rozszerzających się horyzontów wiedzy mózg się rozwija? Możnaż mieć nadzieję, że w przyszłości suma ogólna rozsądku i szczęścia się zwiększy? Inne jeszcze poszczególne problematy stawały przed umysłem Pascala, żądając rozstrzygnięcia, a między temi, tajemnica, która długo pokoju mu nie dawała: Dlaczego, czemu przypisać w poczęciu różno-pleciowość płodu? Czyż nigdy naukowo nie da się przewidzieć a chociażby wytłomaczyć przyjście na świat chłopca lub dziewczyny? O przedmiocie tym Pascal napisał ciekawą rozprawę, pomieścił w niej szereg

wybitniejszych spostrzeżeń i faktów, lecz kwestyi nie rozstrzygnął, prócz przyznania się szczerego do zupełnej nieświadomości, mimo usilnych poszukiwań.

Pascal z namiętnością oddał się badaniom w tym kierunku, albowiem żywą wyobraźnią obdarzony, czuł pociąg ku tej niezbadanej, tajemniczej gałęzi wiedzy, w zawiązku dopiero będącej. Ostatnie swe badania skierował ku dziedziczności suchot, przy tej sposobności zbudziła się w nim niespodziewanie chęć szlachetna, lecz szalona, wynalezienia środka, uzdrawiającego i odradzającego ludzkosć całą.

Doktór Pascal w jedno tylko wierzył niezłomnie — wierzył w siłę żywotną, w życie. Życie było dla niego jedynym objawem cudowności. Życie było dla niego Bogiem, siłą i duszą wszechświata. Życie zaś nie miało innego sposobu objawienia się, jak tylko za pomocą dziedziczności, dziedziczność więc tworzyła świat; gdyby zatem można zbadać ją dokładnie, w karby ujęty tem samem świat odtworzyłoby można było dowolnie. Jako doktor, znał, jakie choroby i bóle ludziom dokuczają, wiedział, co to jest śmierć i litość pobudzona pchała go do zwalczania tego zła. Ah! usunąć choroby, bóle i niemoce, kres śmierci odsunąć! Marzenie jego krystalizowało się myślą: iż możnaby przyspieszyć pochód ku szczęściu ogólnemu, ku pozyskaniu dobra i doskonałości moralnej, mogąc zapewnić posiadanie fizycznego zdrowia. Gdy wszyscy będą silni, zdrowi, inteligentni, narody się zleją w jeden lud doskonały, mądry i szczęśliwy. Czyż w Indyach nie postawiono sobie za możliwą rzeczywistość dojście

stopniowe w siedmiu pokoleniach z najniższej warstwy społecznej do najwyższej, najdoskonalszej, brańskiejskiej? W badaniu suchot doszedł do przekonania, iż choroba ta nie jest dziedziczną, tylko że dzieci suchotników podatny dla niej grunt przedstawiają; starał się też teraz grunt taki wzmacniać, dostarczyć mu odpowiedniego zasobu siły odpornej do zwalczania groźących pasorzytów, do zniszczenia i unicestwienia fermentów, podkopujących organizm, jeżeli w nim istniały, jak to przypuszczał, o wiele wcześniej przed pojawieniem się teoryi o mikrobach. Głównem zadaniem przeto było danie siły; wraz z nadaniem siły, nadawało się wolę, potęgowały się władze mózgu, dzięki wzmocnieniu innych organów.

W czasie, gdy myśli w tym kierunku pojawiać się poczęły u Pascala, wpadła mu w ręce książka medyczna z XV-go stulecia, wielkie na nim wywierając wrażenie. Według zawartych w niej przepisów, dla wyleczenia chorego organu należało także organ zdrowy wyciąć z wołu lub barana, zgotować go i dać do spożycia. Teoryę zatem stanowiło: naprawienie organu chorego za pomocą takiegoż organu zdrowego; w chorobach wątroby, twierdziła stara księga, lek taki nigdy nie zawodził. Przeczytawszy te teorye, Pascal opędnął się nie mógł natłokowi myśli, poddawanych mu przez żywą wyobraźnię. Dlaczego nie mam poprobować? Chciał przecież odrodzić dziedzicznością nadwątlone siły, chciał spotęgować lub nadać im moc odporną; czemuż nie miałyby sprobować dojść do tego celu, zapożyczając na ich korzyść zdrowej, normalnej

substancyi nerwowej, której im udzieli? Wygotowywanie wszakże organów zdrowych podług zaleceń księgi śmiesznem mu się wydało, postanowił miazdżyc w mózdzierzu mózg i mózdzek barani, skrapiając go wodą dystylowaną, następnie płyn zlać i przefiltrować otrzymany tą drogą wyciąg. Pierwiastkowo próby doświadczalne z wyciągiem swym czynił, dając go do picia chorym z przymieszką wina malagi, skutki nieostrzegalnemi wszakże pozostały. Znięchecenie ogarniać go już poczęło; w tem nagle błysło mu natchnienie pewnego dnia, w chwili gdy za pomocą szprycki Pravaza wstrzykiwał morfinę chorej kobiecie, skarżącej się na bóle wątroby.

Czyby nie spróbować podskórnych zastrzykiwań wyciągu? I natychmiast, ledwie wrócił do domu, spróbował tego Pascal, zadając sobie ukłucie w okolicach krzyża, powtarzając je następnie co rano i co wieczór. Pierwsze dozy, gram obejmujące, nie wywarły żadnego skutku. Zdwoił więc, następnie potroił dozy i pewnego ranka, wstając, poczuł z uciechą wielką, że jest rażny, jakby mu połowę lat ubyło. Zwiększając wciąż dozy, doszedł do pięciu gramów, zaczął wtedy oddychać swobodniej i mógł długo pracować bez znużenia umysłowego, z łatwością i trzeźwością, jak przed laty wielu. Przepęłniała go teraz siła żywotna, zdrowie, przywiązanie do życia. Gdy nadeszła z Paryża obstalowana przez niego szprycka, pięć gramów obejmująca, doświadczenia swe począł uskuteczniać na chorych, którzy po kilku dniach odzyskiwali zdrowie i siły, jakby skąpani strumieniem życia-

dawczym. Prawda, że metoda działała dobrze, lecz zupełnie empirycznie, Pascal lękał się przytem różnych niebezpieczeństw postronnych, przeczuwał, że istnieć one muszą, bał się przedewszystkiem zakażenia krwi, w razie, gdyby wyciąg czystości żądanej nie posiadał. Przypuszczał jeszcze, że chorzy, odzyskujący tak stanowczo energię, zawdzięczają ją w znacznej części gorączce, wywołanej zastrzykiwaniem. Lecz postanowił uważać się tylko za pioniera, torującego drogę dla przyszłości; metoda z czasem udoskonaloną zostanie; czyż nie powinien się był zadowolnić, widząc powstających z łoża chorych, powracających do sił suchotników, szaleńców, odzyskujących chwilowo przytomność? Wydawało się teraz Pascalowi, iż jest nowoczesnym alchemikiem i niczem już niehamowana porывała go nadzieja radosna, iż jest twórcą doskonałego leku, eliksiru życia, który ożywi zwątląłe siły ludzkie a zatem usunie przyczynę całego zła na ziemi; zdawało mu się, że odkrył prawdziwe siłodawcze źródło, które, nadając zdrowie i energię, przemieni ludzkość istniejącą na inną, lepszą, o wiele wyżej moralnie stojącą.

Dziś rano właśnie, w pokoju swoim, na północ wychodzącym i przyémionym jeszcze cieniem rosnących tuż pod jego ścianami starych jaworów, Pascal, w otoczeniu skromnych swych mebli, składających się z żelaznego łóżka, mahoniowego biurka i stołu, na którym stał móździerz i mikroskop, kończył z niesłychaną starannością przyrządzanie flakonu eliksiru. Od wczoraj stłuczone, rozmiążdżone substancje skrapiał wodą,

odlewał i filtrował. Oto wreszcie otrzymał pełną butelkę wyciągu mętnego, opalowego koloru, połyskującego niebieskawymi świątełkami, patrzył nań pod światło, jak posiadacz skarbu, posiadacz krwi odrodzenia i zbawienia świata.

Lekkie szturkanie do drzwi i głos, nagłący z zewnątrz, wyrwały go z marzenia.

— Panie, do kiedyż tego będzie, już kwadrans po dwunastej, czy pan nie chce dziś jeść śniadania?

Rzeczywiście, śniadanie stało gotowe w wielkim i chłodnym pokoju jadalnym. Okiennice zostawiono zamknięte, jedna z nich tylko była nieco uchylona. Komnata wabiła swą wesołością, zdobna w jasno-szare, drewniane gzemsy, lamowane niebieskimi prążkami. Stół, kredens, krzesła, pochodziły również, jak meble w innych pokojach, z czasów pierwszego cesarstwa; na jasnych ścianach odbijały wybornie mahoniowe sprzęty, silnie czerwono połyskując. Wisząca lampa mosięzna, zawsze świecąca, błyszczała, jak słońce; na czterech zaś ścianach wisały cztery wielkie pastele, przedstawiające laki, gwoździki, hyacenty, róże.

Wesoły, rozradowany, wszedł tu nareszcie doktor Pascal.

— A tak, wyznaję, zapomniałem o godzinie, chciałem ukończyć robotę... Ale oto jest świeży, czysty eliksir, cuda nim można będzie tym razem wywoływać...

I pokazywał flaszkę, którą przyniósł z sobą, nie mogąc się w swej radości rozstać z nią na chwilę. W tem

spozrzegł Klotyldę, stojącą w milczeniu, poważną. Oczekiwanie na niego ze śniadaniem rozdrażniło ją ostatecznie i chociaż rano pragnęła gorąco rzucić mu się na szyję, stała teraz nieruchoma, sztywna, jakby obca.

— Dobryś!—zawołał, nie tracąc wesołości—kaprysimy jeszcze w dalszym ciągu. To bardzo nieładnie! A więc ty nic a nic nie podziwiasz mojego czarnoksięskiego eliksiru, który umierających wskrzesza?

Usiadł do stołu. Klotylda, zajmwszy miejsce swoje naprzeciw niego, poczuła, iż należy koniecznie coś odpowiedzieć.

— Wiesz dobrze, mistrzu, że podziwiam wszystko, co zrobisz... Chciałabym tylko, by inni również ciebie podziwiali. A właśnie śmierć tego biednego Boutina...

— Oh!—zawołał Pascal, nie pozwalając jej kończyć—umarł skutkiem uderzenia krwi!... W złym jesteś dziś humorze, więc lepiej o tem nie mówmy, boś gotowa mi popsuć radość, której doznaję.

Na śniadanie były jaja, kotlety i krem. Wśród panującego teraz milczenia jedli a Klotylda, mimo zadąsanej jeszcze twarzy, apetyt miała dobry, jak zwykle, z czem nigdy się nie skrywała. Pascal zwrócił na to uwagę, śmiejąc się:

— Uspokajasz mnie wszakże tem, że żołądek masz dobry... Marcyno, podaj panience chleba...

Podług przyjętego zwyczaju, Marcyna zawsze była obecna, gdy jedli, patrząc na nich poufale i spokojnie. Często brała nawet udział w rozmowie.

— Proszę pana—powiedziała, ukroiwszy chleba— rzeźnik przyniósł rachunek, czy mam go zapłacić?

Doktór podniósł głowę i spojrział na nią zdziwiony.

— Dlaczego się o to pytasz? Przecież zazwyczaj płacisz, nigdy się do mnie nie odwołując?

Rzeczywiście tak było, iż Marcyna rozporządzała pieniędzmi, wyznaczonemi na utrzymanie domu.

Suma, złożona u pana Grandguillot, notaryusza w Plassans, przynosiła okrągłe sześć tysięcy franków rocznego dochodu.

Co kwartał notaryusz oddawał tysiąc pięćset franków przybywającej po nie Marcynie a ona rozporządzała nimi wedle własnego uznania; wszystkim było z tem dobrze; Marcyna targowała się przy każdym kupnie, bo skąpą była z natury, żartowano ogólnie z tej przywary starej sługi.

Klotylda wydawała na siebie mało i nigdy nie przyszło jej nawet na myśl, by poprosić o wyznaczenie stałej pensyi.

Co zaś do doktora, to ten brał na potrzeby osobiste leżące w szufladzie biurka pieniądze, z honoraryów odesłanych tam nagromadzone, a wynoszące trzy do czterech tysięcy franków rocznie; ile kiedy było w szufladzie złota i biletów bankowych — Pascal nie wiedział nigdy, nie troszcząc się wcale o te pieniądze.

— Zapewne, panie, że płacę rachunki gospodar-
skie—odrzekła Marcyna—ale płacę je wtedy, gdy sama coś kupiłam; tym razem rachunek jest duży z powodu tych wszystkich mózgów, co pan kazał dla siebie przynieść rzeźnikowi...

Pascal przerwał jej, mówiąc:

— Moja Marcyno, czyż i ty będziesz dziś niezadowolona ze mnie? Doprawdy, tego już zawiele! Wczoraj, obiedwie dokuczyłyście mi i zmartwiły, do złości byłem przez was doprowadzony. Ale trzeba temu koniec położyć, bo nie chcę, aby się dom w piekło miał zamienić. Dwie kobiety mieć przeciwko sobie i to dwie jedyne, co kochają mnie choć trochę! Jesliby tak trwać miało dalej, to wolę wynieść się z domu zupełnie.

Słowa te płynęły mu z ust bez gniewu, śmiał się przy nich, lecz z lekkiego drżenia głosu łatwo można było widzieć, że wzruszony i zaniepokojony był bardzo. Dodał jeszcze z zupełną już wesołością:

— Jeżeli się boisz, moja biedna Marcyno, że nie dociągniesz z pieniędzmi do końca miesiąca, to powiedz rzeźnikowi, aby mi przysłał rachunek osobny... O swoje grosze nie lękaj się, nikt nie żąda, abyś ich na potrzeby nasze dokładać miała, niech sobie śpią w supełku spokojnie.

Była to aluzya do kapitaliku, jaki Marcyna posiadała osobiście. Zasługi jej wynosiły czterysta franków rocznie, z tego uzbierała, w przeciągu lat trzydziestu, coś około dwunastu tysięcy franków, wydając na siebie niesłychanie mało; dziś kapitalik rozrósł się procentami do trzydziestu tysięcy franków; nigdy nie chciała go powierzyć notaryuszowi z Plassans, panu Grandguillot, pragnąc rozporządzać pieniędzmi dowolnie. Lokowała je, kupując dobrze procentujące papiery.

— Pieniądze, które leżą, to pieniądze uczciwe, nikomu krzywdy one nie przynoszą— odpowiedziała poważnie. — Ale pan ma rację, powiem rzeźnikowi, aby wprost do pana przyszedł z rachunkiem, bo przecież wszystkie te mózgi baranie nie do mojej szły śpizarni, tylko pan coś z nimi kucharował.

Rezonowanie Marcyny wywołało uśmiech na usta Klotyldy, zwykle bowiem bawiło ją skąpstwo poczciwej staruszki: koniec śniadania weselszy był, niż początek.

Doktór poprosił, by mu czarną kawę dano pod javorami; spędziwszy ranek w zamknięciu, czuł gwałtowną potrzebę odetchnięcia świeżem powietrzem. Podano więc kawę na stole kamiennym, około źródła. Jakże tu było rozkosznie, miło, w cieniu i przy śpiewnym szmerze wody, podczas gdy lasek sosnowy, klepisko, park i dom cały, wszystko gorzało ogniem południowego słońca!

Pascal i tu przyniósł z sobą flakonik dziś przyrządzonego eliksiru, postawił na stole i patrzył nań z przyjemnością.

— Tak więc, moja panno— rzekł z dobroduszną rubaszością — wierzysz w cuda, ale w eliksir mój życiodawczy wierzyć nie możesz!

— Mistrzu — odpowiedziała Klotylda — sędzę, że niepodobieństwem jest zbadać i wiedzieć wszystko.

Pascal machnął ręką z niecierpliwością.

— Ale trzeba się starać wszystko poznać... Czy zrozumiesz wreszcie, mały uparciuchu, że nigdy jeszcze nie zostało stwierdzone naukowo, by prawa nie-

zmiennie, wszechświatem rządzące, w czemkolwiek naruszonemi być mogły. Ludzie tylko, rozsądkiem swoim zmyleni, zmian różnych dopatrzeć się w nich pragną; szukaj a z góry ci ręczę, że nie znajdziesz innej potęgi, jak życie. Wolą jego świat istnieje, potężna jego wola wszystko do bytu wciąż popycha i życie coraz pełniejszym, doskonalszem się staje.

Doktor wstał teraz i wielkie zakreślając gesta, uniesiony ożywiającą go silną wiarą, mówił z zapałem młodzieńczym do zapatrzonej w niego Klotyldy.

— Chcesz, żebym ci powiedział moje credo, ponieważ uskarżasz się, że w twoje nie wierzę. Wierzę niezachwianie, że postęp i szczęście ludzkości od naukowego jej rozwoju zależą. Wierzę, iż pogoń za prawdą na podstawach naukowych jest najwyższym ideałem, jaki człowiek postawić sobie może i powinien. Wierzę, iż wszystko jest ułudą i próżnością, krom skarbnicy prawd, powolnie zdobytych a na wieczne przekazanie ustalonych. Wierzę, iż suma prawd zwiększać się musi bezustannie, zapewniając człowiekowi coraz potężniejszą przewagę, spokój, jeżeli już nie szczęście całkowite... Tak, wierzę w tryumf ostateczny życiodajnej siły.

Pascal, coraz bardziej zapałem uniesiony, zatoczył ręką, jakby horyzont cały brał na świadka swego wyznania, jakby powoływał się na całą krainę, w płomieniach słonecznych promienną, gdzie wrzeć się zdawały soki żywotne wszelkiego jestestwa.

— Ależ patrz, moje dziecko — dodał — cudem bezustannym są to te przejawy życia... Otwórz tylko oczy i chciej niemi widzieć!

Klotylda potrząsnęła głową niedowierzająco.

— Chociażbym oczy wciąż miała rozwarłe, to wszystkiego niemi nie dojrzę... To ty, mistrzu, uparty jesteś niepoprawnie, nie chcąc brać pod uwagę, iż jest coś nieznanego, czego nigdy poznać nie zdołasz. Oh! wiem dobrze, że zbyt wielki posiadasz rozum, byś nie wiedział o istnieniu tego czegoś. Tylko odsunęłeś myśl o tem na stronę, by nie stawała ci na przeszkodzie w twoich badaniach naukowych... Pomimo wszystko, co mi powiedziałeś i powiedzieć możesz o tem, że należy wychodzić z punktu znanego do zdobycia rzeczy dotąd nieznanych, ja nie mogę za tobą dążyć! Tajemnice wiary odciągają mnie w inną stronę, niepokojąc swemi niezbadanemi osłonami.

Pascal słuchał jej z dobrotliwym uśmiechem, rad, że się ożywiła i pogładziwszy ręką pukle jej blond włosów, odpowiedział:

-- Tak, tak, wiem, ty, zarówno z wielu innymi, żyć nie możesz bez kłamliwej ułudy... No, ale uspokój się, mimo dzielących nas poglądów, będziemy żyć w zgodzie. Bądź zawsze tylko zdrową, bo to znaczy posiadać część mądrości i szczęścia.

Potem dodał, zmieniając temat rozmowy:

— Słuchaj, czy pójdziesz ze mną obnieść dziś po chorych mój lek uzdrawiający?... Dziś mamy czwartek, jest to dzień moich wizyt doktorskich. Gdy się trochę ochłodzi, wyjdziemy razem.

Klotylda opierała się z początku tej wspólnej przechadzce; zgodziła się wreszcie, widząc, jak wielką przykrość sprawia Pascalowi jej odmowa. Zazwyczaj

towarzyszyła mu w tego rodzaju wycieczkach. Długo jeszcze siedzieli w cieniu jaworów, aż wreszcie doktor wstał i poszedł się przebrać w swoim pokoju na górze.

Gdy Pascal zeszedł, ubrany w czarny tużurek i jedwabny kapelusz o szerokich skrzydłach, zaproponował, by zaprządz Bouhomme, starego, wysłużonego konia, który przez ćwierć wieku woził go do chorych, po wsiach i miasteczkach, w okolicy Plassans leżących. Stare konisko oślepiło już prawie ze starości, lecz ze względu na położone niegdyś zasługi, przez wdzięczność i przywiązanie, Pascal obdarował go łaskawym chlebem i nigdy go już prawie nie zaprzęgało. Tego wieczoru Bouhomme bardziej był jeszcze śpiący, z oczami szklistymi stał, chwiejąc się na zreumatyzmowanych, krzywych od starości nogach.

Doktor i Klotylda, popatrzywszy na niego, obdarzyli pieśczętą i pożegnali życzeniem, by spokojnie legł i wypoczął na świeżej słomie, którą niosła mu właśnie Marcyna. Zdecydowali się iść pieszo.

Klotylda pozostała w tej samej białej perkalowej sukience w czerwone grochy, kapelusz tylko wielki słomkowy, bżem zdobny, włożyła na głowę; śliczną była ze swemi wielkimi oczami i białą, rumieńcem powleczoneą twarzą, ocienioną teraz szerokimi bardzo rondami kapelusza.

Gdy szli tak razem pod rękę, ona, pełna młodzieńczej wysmukłości i krasy, on, z twarzą pogodną, jakby białością swej śnieżnej brody rozjaśnioną, rzeźko podtrzymujący dziewczynę przy napotykanym nierównościach gruntu, ludzie odwracali się za nimi, tak

pięknymi przy sobie byli a przytem wiedziano, jak wielką była ich dobroć. Dziś, gdy mijali drogę, wiodącą do Fenouillères, by zagłębić się w ulicę Plassans, grono kumoszek, żywo z sobą rozmawiających, naraz umilkło, coś tak, jak za zjawieniem się króla za dawnych, minionych wieków, króla potężnego, niesłychanie dobrego, posiadającego dar wiecznej czerstwości, wspartego na postaci, młodość i piękność w sobie łączącej a na usługi z uległością mu oddanej.

Zwrócić się właśnie mieli z placu Sauvaire na ulicę de la Baune, gdy młody, około trzydziestu lat mieć mogący, brunet, zatrzymał ich powitaniem:

— Mistrzu, zapomniałeś o mnie na dobre, czekam i czekam na obiecane mi notatki o suchotach.

Był to doktor Ramond, od dwóch lat osiadły i doskonałą praktykę wyrabiający sobie w Plassans. Twarz miał piękną, jaśniał zdrowiem i siłą, kobiety za nim szalały, na szczęście Ramond nietylko był inteligentnym, lecz i bardzo ostrożnym.

— Jak się masz, panie Ramond! Nie, nie przypuszczaj, bym o tobie zapomniał. To ta oto dziewczyna jest jedyną winowajczynią, wczoraj jeszcze dałem jej potrzebną ci notatkę do przepisania, lecz leniuszek dotąd tego nie zrobił.

Młodzi ludzie powitali się uprzejmem uściśnieniem ręki.

— Dzień dobry, panno Klotyldo.

— Dzień dobry, panie Ramond.

Rok temu mniej więcej Klotylda zachorowała na zapalenie błony śluzowej, jakkolwiek choroba nie

przedstawiała się groźnie, Pascal stracił głowę i wątpiąc sam w siebie, wezwał do pomocy kolegę swego, doktora Ramonda. Od tej chwili żyli oni wszyscy troje w życzliwych i dość bliskich stosunkach.

— Będziesz pan miał swoje notatki jutro rano, przyrzekam—zawołała, śmiejąc się, Klotylda.

Ramond poszedł dalej z nimi, podprowadzając ich przez ulicę de la Baune, ku staremu przedmieściu, dokąd zdążali. Ze sposobu, w jaki pochylał się ku Klotyldzie, z wyrazu jego twarzy, łatwo dostrzedz można było, iż kochać się w niej musiał oddawna i oczywiście przywiązanie młodego doktora zwiększało się z dniem każdym, wyczekując spokojnie chwili właściwej do wypowiedzenia się, w celach zawarcia rozsądnego ze wszech miar małżeństwa. Z poszanowaniem wielkiem był dla Pascala, ceniąc wysoko jego wiedzę.

— Idziemy z Klotyldą do starej Guirande, wie pan, tej wdowy po garbarzu, zmarłym pięć lat temu na suchoty. Pozostała z dwojgiem dzieci; córka jej, Zofia, ma teraz już blisko lat szesnaście, na szczęście zdołałem na czas wysłać ją na wieś do ciotki, na cztery lata przed śmiercią ojca. Inaczej rzecz się ma z jej bratem, Walentym; mimo, że groziłem niebezpieczeństwem zarażenia się chorobą, matka, przywiązaniem wiedziona, uparła się zatrzymać go przy sobie. Otóż mam na tych dzieciach dowód, iż teoria moja jest słuszną; suchoty nie są chorobą dziedziczną, a tylko dzieci suchotników przedstawiają grunt dla niej nader podatny i dobrze przygotowany. Dziś Walenty ma dwadzieścia jeden

lat i jest suchotnikiem, żył bowiem przy boku ojca suchotnika, podczas gdy siostra jego, Zofia, wyrosła na wsi i jaknajlepszem cieszy się zdrowiem.

Pascal z radosną, tryumfującą twarzą dodał jeszcze:

— To nie przeszkadza, że mam nadzieję uratowania i Walentego. Odradzać się zdaje z dniem każdym, cięła mu przybyło sporo od czasu, gdy zacząłem zastrzykiwanie... Zobaczysz, panie Ramond, że i ty jeszcze leczyć będziesz, stosując zastrzykiwania mojego eliksiru!

Młody doktor zęgnąć się teraz począł, ściskając im dłonie i, oddalając się, powiedział:

— Ależ nie przeczę, mistrzu, iż twoja metoda zwyciężyć może. A ja na pewno nigdy temu przeszkadzać nie będę.

Pascal z Klotyldą, pozostawszy sami, przyspieszyli kroku i weszli w uliczkę Cauquoin, jedną z najścśniejszych i najbrudniejszych wśród starego przedmieścia. Mimo upalnego dnia, panował tu tylko zmrok ponury i przejmujący chłód piwniczny.

W jednym z domostw zamieszkiwała wdowa Guiraudé wraz z synem swym Walentym. Gdy nadeszła drzwi roztworzyć, ujrzeli przed sobą chudą, wyniszczoną jej postać; dotkniętą była ona oddawna chorobą, z rozkładu krwi pochodzącą. Od rana do wieczora pracowała, otłukując migdały ze skorupki, siedziała więc zawsze pochyłona nad kamieniem, między kolanami umieszczonym, uderzając grubą kością baranią po mechanicznym ruchu podsuwanych migdałach. Nędzny, z tej pracy otrzymywany zarobek, star-

czyć musiał na jej i syna utrzymanie, Walenty bowiem oddawna zmuszony był zaniechać wszelkiego zajęcia. Uśmiechnęła się wszakże, ujrawszy Pascala, szczęśliwą dziś była: Walenty po raz pierwszy od kilku miesięcy zjadł z apetytem kotlet na śniadanie.

Walenty, postaci nikłej, o rzadkich włosach i zarostcie, z policzkami wystającymi i krwią zaszłemi wśród woskowej swej cery, powstał na powitanie żwawo, jakby chciał pochwalić się i popisać powracającymi siłami.

Klotylda do łez była wzruszona powitaniem, jakie ci ludzie składali Pascalowi, patrzeli na niego, jak na zbawcę, jak na odkupiciela. Biedni ludziska ściskali mu ręce, gotowi całować jego nogi, oczy ich wyrażały wdzięczność bezmierną. Siłę więc miał on potężną, był dobrotliwym Bogiem, wskrzeszającym zmarłych!

Pascal śmiał się wesoło, otuchy im dodając, uradowany nadspodziewanie dobrym stanem zdrowia chorego. Niewątpliwie, że choroba zwalczoną jeszcze nie była, było to może chwilowe tylko polepszenie, w którym gorączka ważną grała rolę. Lecz samo przedłużenie, podtrzymanie życia, czyż nie nieznaną była rzeczą?

Klotylda stanęła przy oknie, odwrócona plecami do izby a Pascal na nowo zastrzyknął swoje lekarstwo Walentemu; gdy wychodzili, doktor zostawił na stole dwadzieścia franków na mięso dla chorego. Bardzo często się zdarzało, że nie chorzy jemu płacili, lecz on chorym.

Poszli potem kolejno odwiedzić trzech innych pacjentów na starem przedmieściu osiadłych, następnie skierowali się ku nowej dzielnicy miasta, gdzie doktor miał chorą a wyszedłszy ztamtąd, Pascal zaproponował:

— Jeżeli dzielna jesteś dziewczyną i nie obawiasz się zmęczenia, to przed pójściem do starego Lafouasse'a, puścimy się aż do Seguiranne, gdzie mieszka przy ciotce Zofia, siostra Walentego. Wielkąbyś mi zrobiła tem przyjemność...

Do Seguiranne nie było więcej, jak trzy kilometry, czas był prześliczny i spacerowi sprzyjający. Klotylda zgodziła się chętnie, zapomniała o porannem dąsaniu się, szczęśliwa i wesoła przytuliła się do Pascala, biorąc go pod rękę.

Godzina była piąta i słońce, ukośnymi promieniami padając, złociło ziemię jednakową pyszną powłoką. Gdy wyszli po za miasto, zapuścili się w zeschłą, nagą płaszczyznę, po prawej stronie koryta Viorny. Przecinający obecnie tę miejscowość kanał, nie ożywiał jeszcze obumarłej brakiem wody okolicy, woda, za pomocą systemu irygacyjnego, przekształcić miała ją zupełnie; tymczasem zaś przed oczami Pascala i Klotyldy roztaczała się szeroko ziemia czerwona, lub żółta, wypieczona słońcem, zrzadka porośła nędznymi migdałowemi, lub karłowatemi oliwnemi drzewami; bezustannie przyszczygane suche ich gałęzie pozbawiały drzewa właściwego im kształtu, tembardziej, że pozostałe gałęzie wiły się konwulsyjnie, jakby z bólu, lub skargi na los swój nieszczęśliwy. W oddali, na

ogółoconych pagórkach, widniały plamami zagrody, osłonięte, wedle przyjętego na południu Francyi zwyczaj, rzędem czarnych cyprysów. Mimo czuć się dającego braku drzew, falistość spustoszonego gruntu załamywała się w piękne, klasyczne linie, surowością swą imponujące. Na drodze pył drobny, biały, sięgał do kostek, najłżejszy podmuch unosił go tumanami, opruszając śnieżno-białym pudrem drzewa figowe i kolczaste zielska, po obu jej stronach rosnące.

Klotylda śmiała się i bawiła, jak dziecko, nasłuchując skrzypienia pyłu pod drobnymi swemi stopami; chciała teraz parasolką zasłonić Pascala od słońca.

— Słońce masz w oczy. Zbliź się na lewo.

Pascal pochwyił jej parasolkę, postanawiając sam ją nadal trzymać.

— Źle ją trzymasz, wreszcie męczyć cię to musi. Niezadługo już dojdziemy.

Pośród słonecznej płaszczyzny wyłaniać się zaczęła coraz wyraźniej, jakby wyspa zielona, gęstemi, wielkimi drzewami zarosła. Była to zagroda Seguiranne, do której zdążali, posiadłość ciotki Walentego i Zofii, gdzie pani Dieudonné gospodarowała wraz z mężem. Miejscowa ziemia, jakkolwiek słońcem przepalona, zadziwiała swą bujnością, gdziekolwiek najmniejsze źródółko lub strumyk ją orzeźwiał, zaścierał ją wówczas głęboki cień drzew olbrzymich rozmiarów, tworzących aleje, przewiewnym chłodem rozkoszne. Jawory, kasztany i wiązy zwłaszcza rosły wspaniale.

Pascal z Klotyldą szli teraz drogą, gęsto obrosłą karłowatemi dębami.

W pobliżu zagrody ciągnęła się łączka, wśród której dziewczyna odwracała siano; na widok Pascala i Klotyldy, rzuciła pośpiesznie widły i zabiegła im drogę. Była to Zofia, siostra Walentego, która co rychlej chciała powitać doktora i panienkę. Zofia kochała ich bardzo, lecz po pierwszym powitaniu, stała przed nimi splecioną i nieśmiała, niezdolna ująć w słowa uczuć, serce jej przepełniających. Z powierzchowności podobną była do brata; także same, jak on, miała wystające kości policzkowe, taki sam niski wzrost i wyblakło-blond włosy; tylko na wsi, zdala od zakaźnego powietrza swej rodzinnej, miejskiej izdebki, Zofia nabrała ciała, mocno trzymała się na rozrosłych nogach a włosy obficie piętrzyły się nad opaloną jej twarzą. Oczy miała piękne, świecące zdrowiem a w chwili obecnej wdzięcznością.

Ciotka Dieudonné, która również siano przewracała, teraz szła na powitanie gości, głośno i z wesołą rubasznnością krzycząc z daleka:

— Po co pan tu przyszedł, panie Pascal, my tu wszyscy zdrowi, doktorów nie potrzebujemy!...

Pascal, który właśnie przybył z nadzieją ujrzenia Zofii zdrowo i dobrze wyglądającej, pochwyciwszy w lot żartobliwy ton ciotki Dieudonné, przyświadczył jej:

— Masz pani rację, najlepiej nie potrzebować doktorów. Ale musisz się pani na to zgodzić, że Zofię uzdrowiliśmy we dwoje!

— Prawda najoczywistsza. Wie ona o tem dobrze, panie doktorze, i niema dnia, w którymby chociaż raz

nie powiedziała, że gdyby nie pan, to wyglądałaby teraz, jak Walenty.

— Kto to wie, co będzie z Walentym, może i on zdrowie odzyska. Ma się znacznie lepiej. Dopiero co od niego idziemy.

Zofia chwyciła rękę Pascala i ze łzami w oczach poczęła dziękować, lecz słowa zamierały jej na ustach, ledwie wyraźniejsze były:

— Oh! panie Pascall Panie Pascall

Więc wszyscy go kochali i jak kochali! Klotylda czuła, iż pod wrażeniem technienia ogólnej miłości i jej uczucie dla Pascala potężniało w piersiach. Przez chwilę rozmawiali jeszcze z Zofią i jej ciotką, wypoczywając w cieniu dębów. Zwrócili się następnie z powrotem do Plassans; Pascal miał jeszcze pacyenta do odwiedzenia po drodze.

Dwie drogi krzyżowały się z sobą; jeden ztąd powstałych kątów prostych, zajmowała uboga karczma, cała opylona białą kurzawą. Naprzeciw karczmy, w dawnych budynkach majątności zwanej Paradou, założony został młyn parowy. Karczmarz zarobek główny czerpał z robotników, w fabryce pracujących, lub też z chłopów, zwozących zboże do młyna. W niedzielę klientela karczmarza Lafouasse'a zwiększała się nieco, zwłaszcza dzięki sąsiedniej wiosce Artaud. Lafouasse rad byłby ze swego losu zupełnie, gdyby nie choroba, która, niewiedzieć z kąd od trzech lat przyplątawszy się, na chwilę opuścić go nie chciała; skarżył się na reumatyzm, lecz Pascal dopatrywał w jego niemocy rozwijać się poczynającą gorączkę nerwo-

wą. Lafouasse pogarszał swój stan zdrowia ciągłym wysiłkiem; opierając się wzięciu kogoś do pomocy, chwytając się ścian i sprzętów, sam klientów obsługiwał. Po dziesięciu iniekcjach, uczynionych mu przez Pascala, czuł się o wiele lepiej, uradowany rozpowiadał wszystkim o cudownem uleczeniu.

Barczysty i wysoki, stał teraz na progu karczmy. Twarz pałała mu ognisto, jakby oświetlona płomieniami jaskrawo-rudej jego czupryny.

— Oczekiwałem, wypatrywałem pana doktora. Dzięki panu, zbutelkowałem wczoraj dwie beczki wina i to bez najmniejszego zmęczenia!

Klotylda usiadła przed domem na kamiennej ławie a Pascal wszedł z karczmarzem do domu dla zastrzyknięcia lekarstwa. Głosy ich dolatywały uszu Klotyldy; karczmarz, chociaż na tęgiego chłopa wyglądał, skarżył się, że ukłucie szpryki boli go bardzo; tak, boli go, lecz warto cierpieć dla odzyskania zdrowia. Następnie począł nalegać, by doktor zechciał się czego napić, Pascal opierał się, wreszcie przystał, nie chcąc drażnić chorego.

— Panienska przecież nie wzgardzi i też się czego napije, chociażby naprzykład wody z sokiem.

Postawił stół przed kamienną ławą, na której siedziała Klotylda i wzniosł swój kieliszek z życzeniem.

— Na szczęśliwe zdrowie pana doktora i na zdrowie wszystkich biedaków, którzy, dzięki panu, chleb swój powszedni spożywać mogą!

Klotylda z uśmiechem myślała teraz o postyszanych i opowiedzianych jej przez Marcynę plotkach, o tym

starym Boutinie, który zmarł nagle i był niby ofiarą leków Pascala. Jasne miała teraz dowody, że Pascal nie tylko chorych nie uśmierca, lecz przeciwnie, uzdrowia, jakby cudem oczywistym. Klotylda odnajdywała na nowo wiarę w swego mistrza i uczucie miłości gorącej zalewało jej serce.

Gdy powstali, by wracać do domu, Klotylda czuła, iż znów jest całkowicie jemu oddana, że należy do niego duszą i ciałem, dowolnie do rozporządzenia jego na wszystko gotowa.

Lecz przypomniała sobie teraz, o czem przed kilku minutami myślała, siedząc na kamiennej ławie przed karczmą, o tej dziwnej, niejasno jeszcze przez nią znanej opowieści, która miała mieć miejsce przed laty w Paradou, w tych budynkach o wdzięcznych architektonicznych liniach zeszłego stulecia a dziś w młyn parowy przemienionych. Mury, pokryte obecnie czarnym pyłem węgla, lub białą mąką, były kiedyś świadkami namiętnej, dramatycznej miłości. Stawały przed pamięcią Klotyldy urywkowe szczegóły, opowiadane jej przez Marcynę, aluzye, czynione przez Pascala i sama teraz pragnęła wywołać je wszystkie, by poznać tragiczną miłość swego kuzyna, księdza Moureta a wówczas proboszcza w wiosce Artaud, miłość, którą wzniecił w sercu pięknej, dzikiej i namiętnej dziewczyny, mieszkającej w opuszczonej siedzibie w Paradou.

Szła teraz z Pascalem napowrót drogą ku Plassans i mimowoli prawie, ulegając swoim myślom, zatrzymała się, a wskazując ręką na obszerne, ponure rzyśka, uprawne pola i grunta odłogiem leżące, spytała:

— Mistrzu, wszak to tutaj ciągnęły się kiedyś olbrzymie ogrody? Kiedyś opowiadałeś mi o tem?

Pascal, cały jeszcze pod pomyślnemi wrażeniami dnia tego, spojrzął na nią, jakby nagle zbudzony, i uśmiechnął się dobrotliwie z wielką tęsknotą.

— Tak, tak, rosły tu kiedyś ogrody, należące do Paradou, ciągnęły się lasy, pola, łąki, sady, tryskały źródła, płynęły strumienie, zasilające Viornę swojemi wodami... Ogród, wypuszczony z ludzkiej opieki przeszło od wieku, zamienił się w dzikie, czarowne ustronie, jakby dziedzictwem był z bajki owej uspioonej pięknej królowny... Ale oto widzisz, co z niego teraz zrobili, drzewa wykarczowali, ziemię tarasów i pagórków ogrodowych zrównali, podzielili grunt na części i z licytacyi sprzedali. Źródła wyschły a z dawnych wód bieżących pozostało tylko cuchnące bagnisko... Ile razy tędy przechodzę, serce mi się ścisnęło!

Klotylda pytała dalej nieśmiało:

— Zdaje mi się, że kuzyn mój, Sergiusz, właśnie w Paradou poznał i pokochał Albinę, którą dobrze znałeś i lubiłeś?

Pascal, cały zatopiony w odtworzeniu wywołanych wspomnień, jakby zapomniawszy o idącej obok niego Klotyldzie, ciągnął dalej:

— Albina! mój Boże! widzę ją jeszcze w pośród ogrodu stojącą w słonecznych blaskach, do krzewu kwiatami woniejącego podobną, głowę miała w tył pochyloną, pierś tryskającą życiem i uciechą; szczęśliwą była wśród kwiatów, wplatała je sobie w długie swoje złote warkocze, girlandami kwiatów owijała

szyję, kibić, gołe ramiona... A gdy zapragnęła umrzeć, kwiatów wezwała na pomoc, udusiła się ich zapachem. Widzę ją, leżącą na śmiertelnem łożu, które sobie z kwiatów usłała. Bładość śmierci nie zgasiła jej rozkosznego uśmiechu, ręce miała złożone, zdawało się, że śpi wśród wonnych swych przyjaciół... Miłość była powodem jej śmierci. W rajskim ogrodzie, na łonie natury, Sergiusz i Albina kochali się, jak rzadko dozwolonem jest ludziom kochać się wzajemnie! Wszechwładna w ogrodzie natura, skusiła ich swą potęgą i przychylną była im spółniczką! Na jej łonie zerwali fałszem i obłudą nałożone pęta, by radosny hymn tryumfu życia odśpiewać...

Klotylda, cała wzruszona, słuchała namiętnych słów Paścala z oczami w niego zapatrzonemi. Nigdy dotychczas nie śmiała słówkiem chociaż zapytać go o inną miłosną przygodę, jego samego dotyczącą, o pięknej pani, którą jedną w życiu swem ukochał i która już dawno umarła. Mówiono, że Pascal pokochał ją, gdy była chorą i nigdy jej swej miłości nie wyznał. Teraz blisko sześć krzyżyków liczył a nigdy innej nie słyszała o nim przygody miłosnej. Praca i wiedza nieśmiałym go nawet wobec kobiet czyniły. Odczuwać można było wszakże, iż, mimo siwizny, serce miał ochoce i świeże, do namiętnej miłości skłonne.

— A ta, która też umarła, dotychczas żal nieutulony pozostawiając po sobie..

Klotylda urwała słowa, bo głos jej zadrżał i zapłoniła się sama, nie wiedząc dlaczego. Zwróciła mowę w inną stronę:

— Czy Sergiusz nie kochał Albiny — bo dlaczegoż umrzeć jej pozwolił?...

Pascal drgnął cały i jakby nagle do przytomności wróciwszy, spojrzął na idącą obok Klotyldę; zadziwił się jej pięknnością i pałającymi oczami, patrzącymi na niego z pod wielkich skrzydeł kapelusza. Jednakowe technienie przeszło po nich jednocześnie. Nie wzięli się już pod rękę, szli od tej chwili w pobliżu, lecz każde z osobna.

— Zbyt dobrze byłoby na świecie, gdyby ludzie wszystkiego nie psulił—mówił dalej Pascal. — Albina umarła a Sergiusz jest proboszczem w Saint-Eutrope, gdzie mieszka wraz z siostrą swą, Dezyderyą; dobre z niej stworzenie a po części i szczęśliwe, bo mało rozumiejące. Na pół idyotka. Sergiusz uważany jest ogólnie za świętego, nigdy temu nie przeczyłem... Można kogoś zabić a mimo to służbę u Pana Boga sprawić.

I mówił dalej Pascal w tym kierunku, nie dobierając słów dla odmalowania nędzy stosunków ludzkich, mówił rzeczy straszne i wstrętne, mimo to, uśmiech wesoły wciąż błąkał mu się na ustach. Życie, siłę życiową Pascal ukochał przedewszystkiem, uwydatniał teraz usilne parcie się tej siły ku lepszemu, ku zwalczaniu zła, jakkolwiek ohydne mogło ono przybierać formy. Samo namiętne przywiązanie do życia, istniejące u każdej jednostki niem obdarzonej i w najnieszczęśliwszych warunkach pozostającej, świadczy wymownie o potędze życiowej, kroczącej spokojnie na przód, nieustającej na chwilę w walce staczanej. Wie

dza, którą posiadał, dozwalała mu widzieć rzeczy jasno, nawet w oddalonej przyszłości, stosunki ludzkiego bytu nie przedstawiały się w jego umyśle w postaci idylli, wśród natury mlekiem i miodem płynącej; czem ludzkość była w stanie obecnym, wiedział on dobrze, badał jej ułomności fizyczne i moralne, katalogując je od lat trzydziestu; lecz wiara jego w siłę żywotną nie dozwalała mu wątpić w zwycięstwo ostateczne na korzyść dobra i wiara ta wystarczała mu ku wielkiemu, nieustającemu zadowolenieniu, z którego wypływała gorąca miłość bliźniego, braterska pobłażliwość i życzliwość, ujawniająca się na zewnątrz, widoczna dla każdego, mimo pozornej surowości uczonego, pracującego dla wzbogacenia wiedzy z zaparciem osobistych jakichkolwiek korzyści.

— Cóż zrobić! — dodał wreszcie i zwrócił się po raz ostatni ku ponurym obszarom pola — Paradou dawne istnieć przestało, ludzie go zniszczyli, zbrukali, zgładzili; lecz mniejsza z tem! Wzrosną na jego miejscu winnice, porośnie zboże, całe zasoby nowych i coraz odmiennych plonów i znów inni kochać się tutaj będą, dopóki ziemia rodzić nie przestanie... Życie jest siłą niespożyta, odmienia się w przejawieniach swoich, lecz z każdym nowem odrodzeniem wzmagą się i potężnieje.

Pascal ujął znów rękę Klotyldy i tak przytuleni do siebie wracali do domu wśród zamierającego światła dziennego; niebo ponad nimi tworzyło jakby jezioro niezmierzone, kąpiące w swych wód przezroczu fiołki i róże. Wracali do siebie; on, jakby król dawny, po-

tężny a dobrotliwy, wsparty na młodzieńczem ramieniu wiernego, pięknego pacholęcia a stare kobiety przedmieścia, siedzące przed progami swych domów, wiodły za nimi wzrokiem, śląc im życzliwe uśmiechy.

W Soulejadzie Marcyna wypatrywała ich z niecierpliwością i zdaleka powitała, wznosząc ręce do góry: czy obiadu dziś jeść nie chcieli—miało to wyrażać. A gdy się zbliżyli, powiedziała:

— Nie mogłam pieczystego upiec. Teraz muszą państwo trochę poczekać.

Pozostali na dworzu, używając z rozkoszą wieczornego powietrza. Lasek sosnowy, cały w zmroku już pogrążony, tchnął balsamicznie żywiczną wonią; z rozpalonego jeszcze klepiska potyskiwały ostatnie, drżące różowe blaski. Wszystko w około zdawało się oddychać swobodniej po całodziennym wysiłku, wątle drzewa migdałowe, poskręcane drzewa oliwne—słały westchnienia dziękczynne blednącemu jasnemu niebu; gaj jaworowy po za domem czerniał potężnie nieprzebytą masą swych ciemności, słychać w nim było szmer źródła, nucącego bezustannie kryształowych dźwięków melodyę.

— Patrzał — odezwał się Pascal — pan Bellombre już jest po obiedzie i używa wieczornego chłodu.

I mówiąc to, wskazywał na postać siedemdziesięcioletniego starca, siedzącego na ławce przed najbliższym od Soulejady domem. Starzec miał twarz długą, całą pooraną głębokimi zmarszczkami, oczy wielkie i nieruchome, szyję miał podwiązaną mocno krawatem, postać całą opiętą tużurkiem.

— Mędrzec to w swoim rodzaju— szepnęła Klotylda. — Musi być szczęśliwy.

Pascal oparł się stanowczo.

— On...! chcę wierzyć i wierzę, iż szczęśliwym być nie może i nie jest.

Pascal, w okółle życzliwie dla ludzi usposobiony, nie mógł znosić pana Bellombre, dawnego profesora gimnazjalnego, dziś z emerytury żyjącego w swoim małym wiejskim domku, w towarzystwie starszego jeszcze od siebie ogrodnika.

— To egoista, skąpy i bez serca! Czy ty wiesz, że on stchórzył w obec życia? Tak, stchórzył! Bał się życia! Kobiętę usunął na bok i stanowczo, bo się bał kosztów niepotrzebnych, lękał się, by trzewików zbyt wiele nie darła. Dzieci znał tylko cudze, dokuczyły mu one nieraz, ztąd powstała w nim nienawiść do dzieci w ogóle; potrzebne chyba są mu dlatego, by móżdż się znęcać nad bezbronnymi i plagi im wymierzać... Bał się dotknąć osobiście życia, bał się obowiązków, jakie ono wkłada, usunąć i zabezpieczyć się postarał przed zmartwieniem i nieszczęściem! Bał się bólów życia i dlatego wyrzekł się wszystkich jego radości! Takie nikczemne tchórzostwo oburza mnie nieprzejędnanie!... Bo żyć jest naszym obowiązkiem, żyć pełnią piersi, żyć przez żywot cały i przekładam cierpienie, chociażby samo tylko cierpienie, aniżeli takie rzeczenie się obowiązków, taką śmierć przed zgonem, takie pogrzebanie wszystkiego, co żywotnem w nas zawsze być powinno!

Pan Bellombre podniósł się teraz z ławki i powol-

nemi, drobnemi krokami przechadzał się po jednej z alei swojego ogrodu. Klotylda, milcząc, śledziła oczami jego ruchy, wreszcie rzekła:

— Wyrzeczenie się wszelkiego doczesnego dobra powinno radość przynosić każdemu. Wyparcie i zrzeniecie się szczęścia, jakie życie dać może, dla dobra i szczęścia wiekuistego, najwyższą radość świętych stanowiło.

— Lecz jeżeli byli oni trupami za życia, bo żyć nie chcieli — zawołał Pascal — to i świętości pozyskać zgoła nie byli godni...

W tem poczuł doktor, że Klotylda buntem wrzeć poczyna. Niepewności życia przyszłego pobudzają częstokroć ku nienawiści dla doczesnego żywota. Pascal, chcąc uniknąć sprzeczki, roześmiał się życzliwie i łagodząco.

— Nie, nie! dość na dziś tego gadania, nie sprzeczajmy się, kochajmy się, to lepsze... Ale oto i Marcyna nas woła, chodźmy na obiad.

Upłynął miesiąc. W czasie tym nieporozumienia pomiędzy Pascalem a Klotyldą coraz częściej się zdarzały. Klotylda zwłaszcza cierpiała, widząc, jak Pascal starannie zamykał teraz na klucz swoje szuflady. Nie pokładał już w niej dawnego spokojnego zaufania. Bolało ją to bardzo, bolało do tego stopnia, że gotowa była posłuchać podszeptów babki swej, Felicji, i, zastawszy szafę roztwartą, rzucić w ogień wszystkie znajdujące się w niej papiery. Dąsali się na siebie często, czasami przez całe dwa dni nie mówili z sobą.

Jednego ranka, gdy właśnie od onegdaj pogniwiali się wzajemnie, Marcyna, podając śniadanie, rzekła:

— Gdym dziś wyszła do miasta i przechodziłam przez plac Podprefektury, widziałam, że do domu, w którym mieszka pani Felicja, wszedł jakiś pan obcy, ale zdaje mi się, że go poznałam. Tak, pewną prawie jestem i gdyby to był brat panienki, nie zdziwiłabym się wcale.

Wiadomość, przez Marcynę przyniesiona, sprawiła, że Pascal i Klotylda przemówili do siebie.

— Twój brat! Czyż babka spodziewała się jego przyjazdu?

— Nie, nie myślę... Spodziewa się go wprawdzie od sześciu miesięcy. Wiem, że przed tygodniem znów do niego pisała.

Poczęli rozpytywać Marcynę.

— O! ja sama nie wiem, bo od czterech lat nie widziałam pana Maksyma a i wtedy ledwie parę godzin był u nas, wstąpiwszy przejazdem do Włoch; mógł się przez ten czas bardzo zmienić. Ale prawie jestem pewna, że go po plecach poznała.

Rozmowa potoczyła się dalej, Klotylda rada była, że zdarzył się wypadek, przerywający niespodzianie ciężkie milczenie, Pascal rzekł ostatecznie:

— Jeżeli to on, zobaczymy wkrótce, bo przecież do nas przyjść musi.

Maksym przyjechał istotnie. Po kilku miesiącach ociągania się, uległ nareszcie prośbom starej pani Rougon, chcącej z nim załatwić trapiącą ją sprawę rany familijnej. Dawne to były dzieje, lecz z dniem każdym coraz srodziej dające się jej we znaki.

Piętnaście lat temu, Maksym, mający wtedy lat pię-

tnaście, uwiódł służącą; z głupiej tej awantury przedwcześnie zepsutego smarkacza, ojciec Maksyma, świeżo ożeniony z piękną Reną, śmiał się tylko, macocha wraz z nim się śmiała, lecz i zgorszoną była do pewnego stopnia marnym wyborem kochanki; czyż nie mógł znaleźć coś lepszego?...

Uwiedziona służąca nazywała się Justyna Megot, była to siedemnastoletnia dziewczyna, posłuszna i łagodna blondynka, pochodząca z sąsiedniej wioski, ulokowano ją w Plassans, zapewniając stały dochód, sto franków miesięcznie, aby miała z czego wychować małego Karolka.

W trzy lata potem Justyna wyszła za siodlarza; Anzelma Thomasa, osiadłego na przedmieściu, był on dobrym robotnikiem i rozsądnym chłopcem, stały dochód zwabił go do dziewczyny. Prowadzenie Justyny po zamążpójściu było bez zarzutu, pozbyła się nawet kaszlu i utyłła, co niespodziewanym było objawem prawa dziedziczości, rodzice jej bowiem byli pijakami. Dwoje dzieci, z małżeństwa zrodzonych, dziesięcioletni chłopiec i siedmioletnia dziewczynka, były zdrowe, tłuste i różowe. Justyna byłaby najszczęśliwszą i poważaną kobietą, gdyby nie ten najstarszy jej Karol, który tyle już zmartwienia i nieprzyjemności domowych na nią sprowadził. Mąż Justyny, nie pomnąc na dochód, nienawidził tego syna, z innego zrodzonego ojca, często potracał Karola, nie bacząc na ból, jaki to sprawiało matce, cierpiącej w milczeniu i pokorze. Nieszczęśliwe położenie Karola sprawiało, iż Justyna, jakkolwiek namiętnie go kochała, chętnie byłaby go oddała rodzinie ojca.

Karol, mający rok piętnasty, wyglądał zaledwie na dwanaście a inteligencyą równał się dziecku pięcioletniemu. W zadziwiający sposób podobny był do swej pra-prababki, ciotki Didy, jak ją powszechnie w rodzinie nazywano; skutkiem obłąkania, mieszkała ona w domu zdrowia w Tulettes. Postać Karola była wysmukła i pełna wdzięku, wyglądał na ostatniego, o zużytej krwi potomka, jakiegoś rodu królewskiego; głowę jego wieńczyła korona jasnych, długich blond włosów, powiewnych i lekkich, jak jedwabna przędza. Wielkie, jasne jego oczy żadnego nie miały wyrazu a niepospolicie piękne rysy twarzy owiewało chłodne piętno śmierci. Mózg jego i serce zamarły od urodzenia, ocierał się o ludzi, jak narowne szczenie, do pieaszczot wszelkich skłonne.

Prababka Karola, pani Felicya, ujęta pięknością chłopca i przypisując ją domieszce krwi własnej, wzięła go pod swoją opiekę i umieściła w szkole jako pensyonarza; po sześciu miesiącach został odesłany babce, w szkole bowiem nie chciano go trzymać skutkiem trudno wyrazić się dających jego narowów. Trzykrotnie jeszcze pani Felicya umieszczala go coraz to w innym zakładzie naukowym, lecz zawsze z tej samej przyczyny oddawano jej Karola napowrót. Ponieważ nie chciał a z czasem już i nie mógł się uczyć, wszystko kalając naokoło siebie — umieścić go u obcych nie było sposobu, pozostał więc bez stałego siedliska, bawiąc kolejno u jednych lub drugich członków rodziny.

Pascal, wzruszony losem nieszczęśliwego chłopca, wziął Karola do siebie z myślą wyleczenia go, lecz po

roku zwątpił i oddalił go z domu, lękając się jego obecności dla Klotyldy.

Obecnie Karol, jeżeli nie był u matki swej, gdzie coraz rzadziej przebywał, to pozostawał u pani Felicyi, lub u kogoś z krewnych, ubrany wytwornie, osypany zabawkami, pędził życie dogorywającego dziedzica starożytniej, z tronu i władzy wyzutej rodziny.

Stara pani Rougon cierpiała, ilekroć rzuciła okiem na tego chłopca o królewskiej, jasnej czuprynie, chciała go wyrwać i uwieść daleko od Plassans, chciała pozbawić kumoszki miejscowe przyjemności rozpamiętywania nad losem dziecka, chciała, jednym słowem, nakłonić Maksyma, by wziął syna z sobą do Paryża. W ten sposób można było zatrzeć jedną z brzydkich kart historyi rodziny Rougon-Macquartów.

Maksym, nie chcąc psuć harmonii wygodnego swego życia, długo pozostawał obojętnym na wszelkie natarcia ze strony pani Felicyi. Po śmierci żony, odziedziczywszy wielki po niej majątek, Maksym, od czasu wojny 1870 r., zamieszkał w pałacu swym przy alei Bois de Boulogne, używając w spokoju posiadanego bogactwa. Trapiła go jedynie myśl, iż prawem dziedziczości krwi, żyć długo nie będzie, rozwiąłością lat swych młodzieńczych nabył przeświadczenia, jak dalece uciechy ciała ujmę zdrowiu jego przynoszą, wystrzegał się teraz nadużyć, jak również wszelkiego rodzaju wzruszeń i obowiązków, chcąc życie w sobie zatrzymać dłużej. Od jakiegoś czasu doznawać zaczął przykrego bólu w nogach, sądził, że ma reumatyzm; w chwilach takich widział się już w bli-

zkiej przyszłości zupełną niemocą dotkniętym, do fotela przykutym. Niespodziewany powrót ojca do Francji, oraz energia, z jaką Saccard rozpoczął nową swoją działalność, wywołały niemiłe wzruszenie w Maksymie, napełniając go przerażeniem. Znał on dobrze swego ojca, wiedział, z jaką łatwością topiły się w jego rękach miliony, drżał z obawy, widząc uprzejmość Saccarda, drżał na widok dobrodusznego uśmiechu i przyjacielskiego obejścia tego ojca. Jeżeli niemoc ogarnie go na dobre, czyż nie zostanie rozszarpany i wyzuty ze wszystkiego, teraz, kiedy tamten powrócił?...

Zaczęła go przerażać samotność, życie jego otaczająca, postanowił przeto zobaczyć swego syna w Plassans. Jeżeli syn ten okaże się dzieckiem łagodnym, zdrowym, inteligentnym, dlaczego ma go trzymać z dala od siebie? Wziąwszy go, zdobędzie towarzysza a zarazem obronę przeciw łupieżkim zabiegom własnego ojca. Powoli zdecydował się, iż weźmie Karola. Egoizmem swym zaślepiony, widział się już otoczony miłością i pieczyotami dziecka, służącego mu zarazem za tarczę obronną; pomimo wszystko, Maksym nie byłby się puścił w odległą podróż po syna, gdyby nie lekarze, nakazujący mu kurację u wód w Saint-Gervais. Tym sposobem Plassans było prawie po drodze, zaledwie kilka godzin potrzebował nadłożyć, wpadł niespodziewanie pewnego ranka do starej pani Rougon z zamiarem pożegnania jej tegoż samego wieczoru, byle mieć czas zobaczyć i rozpytać się o dziecko.

Okolo godziny drugiej po południu Pascal wraz

z Klotyldą kończyli pić czarną kawę w pobliżu źródła pod cienistemi jaworami, gdy przybyła pani Felicja w towarzystwie Maksyma.

— Klotyldo! Patrz, kochanko, jaką masz niespodziankę, przyprowadziłam ci brata!

Klotylda powstała na powitanie i drgnęła, tak strasznie wydał się jej Maksym zmienionym, chudym i żółtym, patrzyła nań, jak na kogoś obcego, prawie go nie poznając. Od roku 1854, to jest od chwili, jak na dobre losy ich się zmieniły, Klotylda widziała brata dwa razy, najpierw w Paryżu a potem w Plassans. W pamięci przechowała wszakże wyraźnie postać jego. pełną życia i wytworności. Teraz twarz miał zapadłą, włosy rzadkie, siwieć poczynające. Popatrzywszy nieco, odnalazła wszakże dawne, znajome sobie, piękne jego rysy twarzy, zatrważające swym niewieścim wdziękiem nawet teraz, gdy był przedwczesną już tylko ruiną.

— Jak ty zdrowo i doskonale wyglądasz, Klotyldo, lepiej odemnie!— powiedział na powitanie, pocałowawszy siostrę.

— Żeby tak wyglądać, pożyj na słońcu i na wsi.. Ależ jakże rada jestem, że ciebie widzę!

Pascal okiem lekarza obrzucił postać siostrzeńca. Pocałowali się na powitanie.

— Jak się masz, mój chłopcze?... Tak, tak, Klotylda ma rację, nie niema lepszego dla zdrowia, jak świeże powietrze i słońce. Jesteśmy tego żądni, jak drzewa!

Pani Felicja pobiegła tymczasem w głąb domu. Wkrótce wróciła, mówiąc:

— Więc Karola u was niema?

— Nie—odpowiedziała Klotylda.—Był u nas wczoraj. Zabrał go wuj Macquart z zamiarem, by kilka dni spędził u niego w Tulettes.

Pani Felicya wpadła w rozpacz. Przybyła tu z Maksymem, mając pewność zupełną, że zastanie Karola. Co teraz począć? Pascal, nie przejmując się bynajmniej wzburzeniem matki, zaproponował napisanie listu do wuja Macquarta, z prośbą, by natychmiast, najszybciej rano co najdalej, przybył do Plassans z chłopcem. Lecz na uczynioną uwagę, że Maksym chce stanowczo dziś jeszcze puścić się w dalszą drogę, Pascal podał myśl inną: każe sprowadzić z miasta wielkie lando i wszyscy czworo pojedą do wuja, by Maksym mógł zobaczyć syna.

Slicznego spaceru użyją zarazem. Godzinę, licząc na podróż do Tulettes, godzinę na powrót, pozostaje im godzin dwie, by pozostać na miejscu i wrócić na godzinę siódmą na obiad do Pascala. Marcyna obiad przygotowuje na czas i nie śpiesząc się z jedzeniem, Maksym będzie mógł zdążyć na pociąg wieczorny.

Felicya niezupełnie była jeszcze i tą radą zadowolona, niepokoiła ją widocznie wizyta u starego Macquarta.

— Nie, nie chcę! — wołała. — Co za ochota jechać w taką niepewną pogodę, bo z pewnością będzie burza... Najlepiej posłać kogo po Karola.

Pascal potrząsnął głową nad niepraktycznością tej myśli. Z Karolem niezawsze można było trafić do ładu; a jak nie zechce ruszyć się z Tulettes? Dziecko by-

to nierozsądne; często przecież, niewiadomo z jakiej przyczyny, biegał rozhukany, jak dzikie zwierzątko. Pani Rougon uledez musiała, lecz zła była bardzo, iż wszystkiego naprzód przygotować nie mogła, bo oto teraz nie wiedziała, jaki rzeczy wezmą obrót.

— Wreszcie zróbcie, jak chcecie! Ależ, Boże mój, jak się wszystko źle składa!

Marcyna wybiegła nając powóz i przed trzecią już wszyscy jechali drogą ku Tulettes; para koni rażno biegła po spadzistości pagórka, staczającego się ku dolinie Viorny. Przebywszy most, powóz zakręcił na lewo, blisko dwa kilometry jechali brzegiem rzeki, wijącej się wśród lasu. Droga zapuszczała się następnie w głąb wąwozu de la Seille, torując sobie przejście pomiędzy dwoma olbrzymimi murami skały, spieczonej i zrumienionej od słońca. W rozpadlinach skały, u szczytu, rosły gęsto sosny; gałęzie ich potężne, widzialne z dołu, lekką frędzlą trawy tylko być się zdawały a nie potężnymi drzewami, chylącemi swe konary ponad przepaścią. Miejscowość coraz dziksze przedstawiała obrazy, chaotyczne i jakby piorunami pozwalane, skały rozstępowały się chwilowo, ciemne i kręte tworząc korytarze, w szczelinach, pomiędzy złomami, widniały łachy czerwonego, krwistego gruntu, osuwając się ku dołowi strugami wążkami, niby rany zadane, pustkowię urozmaicał jedynie lot orłów gdzieś w oddali.

Pani Felicja wciąż milczała, cała pogrążona w myślach, zmęczenie widniało w całej jej postaci. Powietrze było rzeczywiście ciężkie, słońce piekło silnie,

wychylając się z po za chmur złowrogich. Jeden Pascal mówić nie przestawał na chwilę; uniesiony miłością dla piękności natury, silił się rozbudzić tenże sam podziw w strupieszalym swoim siostrzeńcu. Namiętne okrzyki Pascala, wywołane zachwytem nad potężną siłą przyrody, pozostawały bez echa; ukazywał on na drzewa figowe, migdałowe, na cierniste krzewiny, ze skały rosnąc się zdające, okruszyną ziemi zadowolnione, by życie swe ujawnić, wskazywał dalej na skały, szkielet tej ziemi stanowiące i jakby jej życiem ożywione, tchnieniem sobie właściwem.

Maksym obojętnie słuchał, niemile podrażniony ogromem dzikich skał, imponujących majestatem, czuł się wobec nich bezsilnym. Wolał patrzeć na siostrę, siedzącą naprzeciw niego w powozie. Zaczął podlegać urokowi, który roztaczała, Maksymu podziwiał jej wygląd zdrowy i szczęśliwy, podobała mu się jej okrągła główka, czoło proste i poczciwie myślące. Chwilami oczy ich spotykały się, Klotylda uśmiechała się słodko, co krzepić go się zdawało.

Dzikość krajobrazu słabnąć powoli zaczęła, skaliste mury rozstępowały się coraz szerzej, zniżając swe stopy, droga mknęła teraz wśród łagodnych pagórków o miękiej spadzistości, porośłych gęsto tymiankiem i lawendą.

W tem nagle droga zakreśliła się raptownie i powóz wjechał w dolinę des Tuilettes, żyzną, dzięki licznym źródłom i strumykom. W głębinie doliny ciągnęły się łąki, poprzecinane szeregami drzew bujnie rozrosłych. Wioska Tuilettes wznosiła się nieco wyżej,

na spadzistości wzgórza, pośród zieleni drzew oliwnych; dworek, należący do wuja Macquarta, stał trochę na uboczu, na lewo, cały w słońcu. Powóz musiał jechać drogą, przechodzącą około szpitala obłąkanych, widniały już teraz nawprost białe, frontowe mury gmachu.

Milcząca wciąż pani Felicja sposepniała jeszcze, tak dalece bowiem nie lubiła pokazywać komuś nie spodzianie starego Macquarta. O ten, gdy umrze, prawdziwą przysługę odda rodzinie! Gdyby był dbały o sławę rodu, to już oddawna w ziemi leżeć powinien! Lecz on ani myśleć chciał o tem, z uporem, pijakowi właściwym, zabierał się żyć jeszcze długo, pomimo osiemdziesięciu trzech lat, pijąc wciąż zapamiętałe, cały już przesiąknięty alkoholem, który zdawał się przechowywać go w całości.

W Plassans krążyły straszne legendy o życiu Macquarta; starzy ludzie szeptali o krwawej zbrodni i trupach, dzielących go przez czas dłuższy z Rougonami, dopuścił się zdrady w czasie zaburzeń grudniowych 1851 roku, wprowadził towarzyszków w zastawioną na nich zasadzkę i niejeden padł tam pod nożem, brocząc krwią ulice miasta. Później, gdy wrócił do Francji, pozyskawszy zapewnienie dobrej posady, rzucił ją, przekładając pobyt w dworku w Tuilettes, który pani Felicja za swoje pieniądze kupiła dla niego. Od tej chwili niczego sobie nie żałował, żył dostatnio, zaprzątnięty wiecznie myślą zaokrąglenia swojej posiadłości, wyczekiwał sposobności taniego kupna gruntu, chwytając w lot każdą ku temu okazyję i oto te-

raz dostało mu się pole, na które oddawna miał ochotę a kupiła mu je pani Felicya za oddane jej usługi, w czasie, gdy wyrwać postanowiła Plasans z pod wpływów partyi legitymistów; opowiadano sobie potajemnie dziwną i pełną grozy legendę o wypuszczonym z domu obłąkanych szaleńcu, który wśród nocy wolność odzyskawszy, pomścił się, paląc dom kiedyś swój własny; wraz z domem padły ofiarą płomieni aż cztery osoby. Były to na szczęście dzieje bardzo już dawne i dziś Macquart ustatkował się ostatecznie, zaniechał szerzyć zbrodnie, trwające całą rodzinę. Dbał nawet o dobrą opinię, starał się o nią z właściwą sobie przebiegłością, a z dawnych przyzwyczajęń zachował tylko śmiech szyderski, ze wszystkiego i ze wszystkich drwiący.

— Wuj jest w domu — powiedział Pascal, gdy dojeżdżali do siedziby starego grzesznika.

Dworek Macquarta niczem nie różnił się od zwykłych dworów południowej Francyi. Był o piętrze, pokryty spłowiałą dachówką, ściany miał malowane na kolor jaskrawo żółty. Przed frontem domu ciągnął się wązki taras, obsadzony staremi, strzyżonemi w szpaler, morwowemi drzewami. Macquart najchętniej palił tu fajkę. Posłyszawszy turkot powozu, wysunął się na przód tarasu. Wyprostowana jego postać przybrana była w czystą i porządną odzież z niebieskiego sukna, na głowie miał futrzaną czapkę, którą nosił zimą i latem.

Gdy poznał przybywających, zaśmiał się i zawołał:
— A to niespodziewani goście!... Bardzo jeste-

ście uprzejmi! Zaraz wam przyniosę czem gardło zwilżyć.

Zaintrygowany był obecnością Maksyma. Kto to był? Dlaczego się z nimi znajduje? Lecz gdy przedstawiono mu Maksyma, przerwał objaśnienia, dawane nad bliższymi, łączącemi ich węzłami familijnymi.

— To ojciec Karola, wiem, wiem!... Toż nie zapomniałem, że mój siostrzeniec. Saccard, miał syna, który ożenił się bogato a teraz jest wdowcem...

Przyglądał się pilnie Maksymowi i z pewnem zadowoleniem zatrzymywał oczy na pomarszczonej przedwcześnie twarzy i siwych włosach głowy i brody tego zniszczonego trzydziestodwuletniego mężczyzny.

— Ha! cóż począć, wszyscy się starzejemy!... Co do mnie, nie narzekam, zdrów jestem i silny.

Spoglądał przytem tryumfująco, prostował się coraz więcej, śmiejąc się twarzą pijacką, jak z ukropu prosto wyjętą, tak silnie czerwoną. Zwykła wódka oddawna już wydawała mu się bez smaku, jakby woda; spirytus tylko mógł jeszcze łechtąć nieco spalone jego gardło; pił go też zapamiętale, zalewał się nim do pełna, przesiąknięty był trunkiem nakształt gąbki. Przez wszystkie pory jego ciała ulatniał się alkohol. Oddech jego, gdy mówił, buchał wyziewami alkoholicznymi.

— Tak, zapewne, wuju, jesteś zdrów i silny! — potwierdził Pascal z niekłamanym podziwem. — Śmiać się z nas możesz, czerstwo wyglądając, mimo dobrowolnego psucia sobie zdrowia... Ot, jednej się tylko rzeczy dla ciebie boję, mój wuju, a mianowicie, abyś,

zapalając fajkę, sam się kiedy nie zapalił płomieniem, jak naczynie ponczem napełnione!...

Macquartowi żart się podobał i głośno śmiać się począł.

— Żartuj sobie, żartuj, mój paniczul... Ale bezwarunkowo mocniejszy jest kieliszek koniaku od wszystkich twoich obrzydliwych lekarstw... Wszyscy musicie się ze mną sztukać—zgoda? Trzeba, byście widzieli, że chcę was uraczyć. Kpię sobie z tego, co o mnie ludzie mogą opowiadać; zawsze mają złe języki! Mam wszystko, co mi potrzeba, mam zboże, mam z drzew moich oliwki i migdały, mam ich tyle, że niejeden zamężny burzua może mi pozazdrościć. Latem palę z rozkoszą fajkę w cieniu moich drzew morwowych; zimą palę ją, grzejąc się na słońcu pod tym oto murem. No, cóż? Przecież taki wuj, jak ja, wstydu rodzinie nie przynosi? Klotyldo, mam sok także w domu, może chcesz poprobaować?... A ty, kochana Felicjo, może anyżówki? Wiem, że ją lubisz. Widzicie, że u mnie wszystkiego w bród, tak, nie można inaczej powiedzieć, wszystko mam, o czem tylko można zamarzyć!

Rozprawiając w ten sposób, Macquart wymachiwał rękoma, jakby starając się określić wielkość zasobności starego, jak on, grzesznika, nagle w pustelni osiadłego; pani Felicja nie spuszczała go z oka, pilnie śledząc za jego słowami, gotowa w każdej chwili powstrzymać, już i tak zbyt czyny, niepokojący ją wylew słów; nie hamując się wreszcie, rzekła:

— Dziękujemy ci bardzo, lecz nie trudź się niepotrzebnie, niczem nas nie częstuj, bardzo mało mamy czasu... Ale, gdzież jest Karol?

— Karol? A tak, rozumiem, ojciec chce dziecko swe zobaczyć... Ale to nie przeszkadza, że musicie się czego ze mną napić.

Lecz raz mu jeszcze podziękowano, wymawiając się stanowczo. Macquart obraził się i gniewnie odpowiedział, parsknąwszy śmiechem ze złością:

— Karola tu niema, jest w szpitalu przy starej!

Zaprowadził Maksyma na drugą stronę tarasu i pokazując białe mury budynków szpitalnych, pomiędzy którymi zwarte ogródki czyniły wrażenie podwórek więziennych, rzekł:

— Patrz, mój siostrzeńcze, widzisz przed sobą trzy drzewa? Około drzewa, na lewo, jest w podwórzu studnia. Począwszy od studni, piąte okno na dole, po prawej ręce, to okno pokoju ciotki Didy. W tym pokoju znajduje się obecnie twój chłopiec... Wiem na pewno, bo niema godziny, jak zaprowadziłem go do starej.

Na odwiedzinę Karola, przedłużające się czasami dłużej, niż dozwalały przepisy, zarząd szpitala patrzył przez szpary. Może dlatego, iż nikt, nawet dozorczyńni, nie uskarżała się na ciotkę Didę, zamkniętą tu od lat dwudziestu jeden. Spokojnie i łagodnie siedziała zazwyczaj w swoim fotelu zamysłona dniami całymi; Karol lubił z nią przesiadywać, ona sama zdawała się być wtedy zadowolnioną, zamykano więc oczy na przekroczenie przeciw regule, pozostawiając z nią Karola po dwie lub trzy godziny, chłopiec bawił się zwykle wycinaniem obrazków.

Nowo wynikła zwłoka w odnalezieniu Karola osta-

tecznie wzburzyła i rozgniewała panią Felicję. Z wycuchem niezadowolenia przyjęła propozycję Macquarta pójścia razem całą bandą po malca do szpitala.

— Co za myśl! Idźże sobie sam i wracaj prędko... My nie mamy czasu do tracenia.

Niezadowolenie i guiew pani Felicji bawiły starego Macquarta; postanowił sprzeciwić się jej, nalegając, by szli razem.

— Cóż, moje dzieci, tym sposobem odwiedziłibyśmy i ciotkę Dide, starą matkę naszą. Toż my wszyscy od niej pochodzimy, ona nas zrodziła, czyż godzi się więc, będąc już od niej tak blisko, nie zająć i nie powitać? Toż Maksym z daleka przybywa, nieczęsto może iść do niej a może nawet jeszcze i nie był, od czasu jak musieliśmy osadzić ją w Tuilettes... O, co do mnie, to się jej nigdy nie zaprę! Bezwątpienia, że jest obłąkaną, ale mimo to, nieczęsto matki sprawiają nam radość dojścia do tak późnego wieku, warto, mówię wam, że warto, chociażby za to, przywiązanie jej okazać.

Zapadło milczenie. Dreszcz jakiś przeszedł po obecnych. Wreszcie, milcząca dotychczas Klotylda, rzekła wzruszona:

— Tak, wuju, masz rację, pójdziemy wszyscy.

Pani Felicja musiała się przyłączyć do ogólnego życzenia. Wsiedli do powozu, Macquart zaś usadowił się koło woźnicy. Zmęczona twarz Maksyma silniej teraz poblądła; z rodzajem ojcowskiej troskliwości rozpytywać począł Pascala o niepokoić go zaczynający stan ogólny Karola.

Pascal, czując w sobie utkwiony strogi wzrok matki,

starał się prawdę, o ile możności, łagodzić. Mój Boże! cóż na to poradzić! Prawda, że dziecko niezupełnie było zdrowe i dlatego właśnie tygodniami całemi pozostawiano je na wsi u wuja, lecz choroby, ściśle określić się dającej, Karol nie miał żadnej. Nie Pascal nie wspominał o tem, że marzył czas jakiś, by za pomocą zastrzykiwania substancyi nerwowej wywołać u Karola odrodzenie mózgu i mięskulów; nie mógł tego nigdy systematycznie przeprowadzić, albowiem najłżejsze ukłucie szprycą, sprowadzało upływy krwi niezmiernie, które trzeba było natychmiast tamować bandażowaniem; chłopiec posiadał zły ustrój tkanki skórnej, pot krwisty, jak różowa rosa, występował na niego z lada jakiej przyczyny, miewał ujścia krwi nosem tak silne i częste, iż bano się go samego na chwilę pozostawiać z bojaźni, by krew go nie uszła. Pascal dodał wreszcie, iż co do słabego rozwinięcia umysłowego Karola, to ma nadzieję, iż stan się jego poprawić zdoła w otoczeniu właściwym, mózg do szybszej działalności silniej podbudzającym.

Powóz zajechał przed gmach szpitalny. Macquart, który słuchał uważnie rozmowy Pascala z Maksymem, rzekł zsiadając z kozła:

— Chłopiec za to jest bardzo łagodny. A piękny przytem, jak anioł!

Maksym pobladł jeszcze bardziej i drżał cały, chociaż upał trwał ciągle; przestał nawet dalszego rozpytywania. Rozglądał się obecnie wśród budynków szpitala, którego skrzydła oddzielały małe ogródki. W oddzielnych pawilonach byli mężczyźni i kobiety,

furyaci również oddzielonymi byli od cichych i spokojnych. Panowała wszędzie czystość wielka, jak również wielka samotność, przerywana jedynie miarowymi krokami dozorców, potrząsających kluczami.

Stary Macquart znał wszystkich dozorców osobiście. Przytem drzwi szpitala stały zawsze otworem dla doktora Pascala, któremu pozwolono leczyć kilku z pensyonarżów. Przeszli więc galeryę i skręcili w podwórze.

Ciotka Dida zajmowała wielki pokój na dole o ścianach jasnych i skromnie umeblowany; stało tam łóżko, szafa, stół, fotel i dwa krzesła. Dozorczyui, której obowiązkiem było czuwać nieodstępnie nad staruszką, była nieobecną w tej chwili. Po jednej stronie stołu siedziała nieruchomie w fotelu obłąkana, po drugiej zaś, na krzeselku, siedziało dziecko, zatopione całe w wycinaniu kolorowych obrazków.

— Chodźcie, chodźcie—powtarzał Macquart do zatrzymującej się w progu rodziny.—Nie bójcie się, ona zawsze jest spokojna.

Matka rodu, Adelaida Fouque, którą cała, licznie rozrodzona familia, nazywała pieśczośliwie ciotką Dida, nie drgnęła nawet na odgłos wchodzących. W młodości jeszcze miewała objawy histeryi, które z czasem stały się przyczyną zupełnego rozstroju. Ataki histeryczne były u niej tem silniejsze, iż posiadała naturę gwałtowną, namiętą. W podeszłym już wieku, bo w osiemdziesiątym trzecim roku życia, doznała moralnego wstrząśnienia, tak bolesnego w skutkach dla rodziny nieszczęścia, iż popadła w zupełny obłąd umy-

słowy. Od dwudziestu jeden lat przeto inteligencya zagasta, siły ją opuściły, bez żadnej nadziei polepszenia. Dziś miała lat sto cztery, lecz żyła w zapomnieniu i odrętwieniu, z mózgiem jakby skostniałym, na zawsze obezwładniona i zdawało się, iż w tym stanie może żyć do nieskończoności. Z wiekiem wszakże muskuły jej schnąć poczęły. Lata zjadały powoli ciało, teraz już tylko skóra powlekała jej kości a siły opuściły tak dalece, iż do łóżka przenoszono ją z fotela na rękach. Sprawiała wrażenie żółtego szkieletu, zeschniętego na miejscu, jak usycha drzewo, korą swą jedynie podtrzymywane: ona również prosto się trzymała, podpierana wysokimi plecami i poręczami fotela; oczy tylko wśród długiej, chudej twarzy świadczyły, że żyje. Wpatrzona była w Karola.

Klotylda z niepewnością, prawie drżąca, zbliżyła się ku staruszce.

— Ciotko Dido, przyszliśmy cię odwiedzić... Nie poznajesz mnie? Jestem Klotylda, twoja wnuczka, która przychodzi czasami ucałować cię...

Zdawało się, że obłąkana słów tych nie słyszy. Nie spuszczała wzroku z Karola, który dawał ostatnie cięcie nożyczkami, by odczepić wystrzyżonego z obrazka króla, ubranego w purpurę i płaszcz ze złotogłowiu.

— Mamo — przemówił z kolei Macquart — nie udawaj, że nas nie widzisz. Dlaczego nie chcesz na nas spojrzeć? Ten oto pan, to twój wnuk, Maksym, przybył aż z Paryża, ażeby się z tobą zobaczyć...

Na głos Macquarta ciotka Dida odwróciła wreszcie

głowę. Oczy jej, bez wyrazu, prześlizgnęły się po obecnych i wróciły, by spocząć na Karolu; znów zapadła w zwykłą zadumę. Nikt się już do niej nie odezwał.

— Od chwili strasznego wzruszenia skutkiem nie-
szczęścia, które spowodowało jej stan obecny—zaczął
tłumaczyć Maksymowi doktor Pascal głosem zniżo-
nym— taką jest, jak ją widzisz; inteligencya oraz pa-
mięć, znikły, rzecz można, doszczętnie. Najczęściej mil-
czy; czasami bełkocze potokiem słów niezrozumia-
łych. Śmieje się lub płacze bez powodu, stała się mar-
twą na wszelkie troski... A jednak czasami nie śmiał-
bym twierdzić, aby noc zupełna w mózgu jej zapadła,
kto to wie, mogą istnieć wspomnienia niezupełnie
zatarte... Ach! biedna, stara matka, jakże mi jej żal
serdecznie, jeżeli nie doszła jeszcze do zupełnej nie-
świadomości! O czemże może ona rozmyślać od lat
dwudziestu jeden, jeżeli coś w pamięci jej pozostało?

Doktor uczynił ruch gwałtowny, jakby chcąc odpe-
dzić daleko straszne widziadła przeszłości, tej prze-
szłości, którą znał tak dokładnie.. I sięgnął pamięcią
w dawne lata, kiedy ciotka Dida była kobietą młodą
i wysmukłą, z twarzą bladą i oczyma zawsze wystra-
szonemi. Owdowiała wkrótce po zamążpójściu za Rou-
gona, ociążałego ogrodnika, którego prawie gwałtem
wzięła sobie na męża; jeszcze żałoby nie skończyła
po nim nosić, gdy padła w objęcia przemytnika Mac-
quarta, szalejąc za nim; jak wilczyca, oddała mu się,
nie pomyślawszy nawet o ślubie. Żyła z nim lat pie-
tnaście, wychowując dziecko po mężu razem z dwój-

giem dzieci nieprawych z Macquarta; wśród hałasów i swarów domowych dostawała cięgi, czerniące siniakami całe jej ciało. Wtem Macquart padł od kuli żandarma, zabity, jak pies, na drzędze; pomimo wszystko, był to cios dla niej wielki i na zawsze wesołość utraciła; oczy przejrzyste, jak źródłana woda, stanowią się zdawały jedyne już teraz ożywienie bladej jej twarzy. Wyniosła się do chałupy po zabitym kochanku pozostałej i tam przez lat czterdzieści żyła, jak w klasztorze, zamknięta, ulegając coraz silniejszym napadom histerycznym. Drugie, późniejsze nieszczęście dobiło ją do reszty, rzucając umysł jej na pastwę obłąkania.

Pascal pamiętał wybornie to okropne zdarzenie, był obecnym, gdy się to stało, widział jeszcze wyraźnie młodzieńczą postać Sylwera, wnuczka, przez ciotkę Dide przygarniętego, a który zginął od kuli żandarmskiej w czasie zaburzeń, wywołanych zamachem stanu 1851 roku; rzecz można, iż Sylwer padł ofiarą nienawiści i walki krwiożerczej, wśród własnej rodziny wynikłej. Znowu połała się krew, plamiąc rdzą krwawą opinię rodziny.

Pani Felicja podeszła do Karola, wciąż zajętego wycinaniem obrazków i bynajmniej ich przyjściem nie zaniepokojonego.

— Kochanku mój, to twój ojciec, ten pan... Idź go pocałować.

I wszyscy teraz zajęli się Karolem. Ubrany był wytwornie, w czarną aksamitną kurtkę i także spodnie, wyszyte złotym haftem. Bładym był, jak lilia i podo-

bnym do królewiczów, których lubił wycinać z obrazków; oczy miał wielkie i wyblakłe a jasna czupryna spadała mu obficie na ramiona. Z rysów twarzy uderzająco był podobny do ciotki Didy, jakkolwiek trzy pokolenia, dzielące ich od siebie, podobieństwa tego nie podtrzymawały; przeskoczyło ono raptownie, by teraz zestawieć zadziwiający widok twarzy przeszło stu-letniej, wyschłej i zniszczonej, obok twarzy dziecka, tak delikatnej, że prawie nieujętej; twarz Karola też starą, rozpływającą się być wydawała, jednocząc w sobie znamiona, właściwe potomkowi rodu zwyrodniałego i marniejącego z braku sił żywotnych. Piękne, niedołęzne swą głupotą dziecko, noszące piętno śmierci na twarzy, zdawało się uosabniać ostatni wyraz przeszłości, której przedstawicielką była stara, w zapomnieniu żyjąca prababka. Dwie te istoty wciąż siedziały w milczeniu naprzeciwko siebie.

Maksym się pochylił i pocałował Karola w czoło; serce rodzicielskie nie drgnęło w nim nawet, niezwykła piękność dziecka nie wzruszyła go bynajmniej; przeciwnie, nieprzyjemne wrażenie poczęło szybko rosnąć w Maksymie, strach go ogarniał, ze wszystkich kątów pokoju dostrzegał wyzierającą nędzę i ułomności ludzkie, wraz z powietrzem zdawał się wdychać obłąkanie, stałe tu mające siedlisko.

— Jakże piękny jesteś, mój synkul...—rzekł wreszcie.— Czy kochasz mnie choć trochę?

Karol spojrział na niego i nic nie zrozumiawszy, zajął się napowrót swojemi obrazkami.

Lecz stała się rzecz niespodziana. Twarz starej obłą-

kanej, nie drgnąwszy i nie zmieniawszy wyrazu, zalaną była łzami; ciotka Dida płakała, puszczać z oczu swych, jeszcze żyjących, potoki łez na obumarłe policzki. Oczów wciąż nie spuszczała z dziecka i płakała powoli, nienustająco.

Pascala wzruszył bardzo ten widok. Chwyć Klotyldę za rękę i tak mocno ścisnął nerwowo, iż dziewczyna nie zrazu nie mogła zrozumieć. Przed oczami doktora zjawił cały obraz potomstwa ciotki Didy, linia prawa, oraz linia dzieci naturalnych; oba te szczepy wyrosły z niej, gdy newroza silne w jej organizmie poczyniła już zniszczenia. Szereg pięciu pokoleń zebrany był obecnie...

Rougon, Macquart zmarli już, lecz uprzytomnieni i zjednoczeni w zapłodnianiu matki rodu a tu obecnej Adelaidy Fouque, drugie pokolenie uosabniał syn jej, złowrogiej opinii wuj Macquart, dalej Pascal, Klotylda i Maksym, wreszcie Karol. Pani Felicja przedstawiała zmarłego swego męża. Tak więc, bez przerwy żadoej, rozwijał się łańcuch następujących po sobie pokoleń, dzierżąc w spadku nieubłaganej logiki następstwa naturalnego prawa dziedziczności. Wiek cały rozwoju uprzytomnił się oczom Pascala w tym pokoju obłąkanej matki rodu, wszyscy tu zebrani nie-miłe musieli też wyciągać wnioski, drżeli bowiem coraz widoczniej, chociaż upał na dworze był wielki.

— Co ci jest, mistrzu? — zapytała cichutko Klotylda.

— Nic, nic—szeptem odpowiedział doktor.—Potem ci powiem.

Macquart jeden śmiał się i mówił; zaczął wymawiać matce, że łzami ich przyjmuje. Było to niegrzecznie, jego zdaniem, w ten sposób przyjmować ludzi, z daleka w odwiedziny przybyłych. Potem zwrócił się do Maksyma i Karola.

— No, wreszcie zapoznałeś się, mój siostrzeńcze, ze swoim synem. Nieprawdaż, że śliczny? Pomimo wszystko, rad z niego możesz być szczerze.

Pani Felicya, niezadowolniona z całego obrotu wizyty, pragnęła skrócić ją, o ile możliwości; na uwagę, uczynioną przez Macquarta, rzekła pośpiesznie:

— Nie ulega wątpliwości, że Karol jest śliczny, lecz i mądrzejszy jest, aniżeli przypuszczają. Patrz, Maksymie, jak zręcznie posługuje się swemi rękoma... Zobaczysz, jak on się rozwinie w Paryżu, bo weźmiesz go z sobą?... Posłuży mu to lepiej, aniżeli siedzenie w Plassans, bo cóż mogliśmy w takiej miejscinie zrobić dla niego więcej?

— Zapewne, zapewne — przebąkiwał Maksym. — Nie mówię, że go nie wezmę, lecz potrzebuję się zastanowić.

Sam nie wiedział, jak się wykręcić przed natarczywością pani Felicyi, wreszcie dodał:

— Przyjechałem umyślnie, żeby go zobaczyć... Ale dziś zabrać go z sobą nie mogę jeszcze, ponieważ muszę przebyć miesiąc u wód w Saint-Gervais. Gdy tylko wrócę do Paryża, napiszę natychmiast, co względem Karola postanowię.

Spojrzał na zegarek.

— Ho, hol już wpół do szóstej... Za nic na świecie

nie chcę się spóźnić na pociąg wieczorny, muszę być na dworcu kolejowym punkt o dziewiątej.

— Tak, tak! — pochwyciła pani Felicya — jedźmy. Nic już tu nie mamy do roboty.

Macquart starał się, lecz napróżno, zatrzymać ich, opowiadając przeróżne dykteryjki. Rozwodził się w opowiadaniu o dniach, w których ciotka Dida była wielomówną, utrzymywał, iż raz zastał ją śpiewającą piosenkę, którą lubiła w młodości. Postanowił pozostać jeszcze trochę przy matce, zaręczał, że powozu nie potrzebuje, by dojść do siebie wraz z Karolem, którego mu na czas jakiś postanowiono oddać pod opiekę.

— Pocałuj ojca — rzekł do chłopca — bo to niczego nigdy nie można być pewnym; dziś się widzicie a może już nigdy widzieć się nie będziecie!

Trochę zdziwiony, lecz obojętny, Karol podniósł głowę a Maksym, po raz drugi w życiu, złożył pocałunek na czole syna.

— Staraj się być grzecznym i zawsze pięknym, mój synku... I kochaj mnie trochę.

— Śpieszmy się, śpieszmy, nie mamy już chwili do stracenia! — powtarzała pani Felicya.

Lecz oto wreszcie dozorczyńni powracała do swej chorej. Młoda i tęga ta dziewczyna wyznaczoną była na wyłączne usługi około starej obłąkanej. Rozbierała ją, ubierała, myła, dawała jeść, utrzymywała w czystości, jakby z maleńkiem dzieckiem miała do czynienia.

Wszedłszy, zaczęła natychmiast rozmawiać z Pas-

calem, który pytał ją o różne szczegóły. Leczyc i uzdrawiać waryatów za pomocą swojej metody stanowiło gorące życzenie doktora Pascala. Dlaczegożby wstrzykiwana im substancya nerwowa nie miała dopełnić istniejących braków w organizmie?... Dodając im siły żywotnej a zatem i woli, możnaby niezawodnie oddziałać i na inne istniejące szwanki mózgu. Był czas, iż Pascal postanawiał spróbować swego leku na ciotce Didzie, lecz powstrzymał się następnie, zdjęty strachem, jakby przed spełnieniem świętokradztwa; oprócz tego nie wątpił, iż obłąkanie w tak późnej starości nie przedstawia żadnej nadziei wyleczenia. Próby wszakże nie zaniechał w szpitalu, czyniąc od pewnego czasu doświadczenia na niejakiem Sarteur, z rzemiosła kapeluszniku, który rok temu sam przyszedł błagać, by go w szpitalu zamknięto, chroniąc od popełnienia jakiej zbrodni. W napadach szaleństwa bowiem taka żądza morderstwa opanowywała go, iż o mało nie rzucił się na przechodniów. Sarteur był wzrostu małego, brunet, o czole spłaszczonem, ptasim wyrazie twarzy, nos miał wielki, brodę krótką a policzek lewy o wiele większy od prawego. Doktor otrzymywał zadziwiająco dobre rezultaty, lecząc swą metodą tę naturę, łatwo ulegającą nadanemu kierunkowi; od miesiąca Sarteur nie popadł w obłąd ani razu. W tej chwili Pascal wypytywał dozorczynię o swojego chorego, która mu odpowiedziała, że Sarteur jest coraz spokojniejszy i coraz zdrowszy.

— Czy słyszysz, Klotyldo!—zawołał doktor uradowany.—Dziś nie mam czasu go obejrzeć, lecz wrócimy

jutro. Jutro właśnie wypada dzień moich wizyt... Oh, gdybym miał odwagę i gdyby tylko młodszą była...

I przy tych słowach zwrócił oczy na ciotkę Dideę. Lecz Klotylda, uśmiechając się z jego uniesienia, rzekła łagodnie:

— Nie, nie, mistrzu, życia odtworzyć nie zdołasz... Chodźmy. Wszyscy już wyszli, myśmy tu ostatni.

Istotnie, reszta towarzystwa już wyszła, pozostał Macquart, który, stojąc na progu, spoglądał drwiąco za odchodzącą Felicją z Maksymem. Opuszczona, przerażająca swą chudością, ciotka Dida siedziała nieruchoma w swym fotelu, z oczami znów utkwionymi w twarz Karola, wycieńzoną i dziwnie białą, pod bujną, królewską blond czupryną.

W czasie powrotu niemiły przymus ogarnął wszystkich. Wśród gorąca, unoszącego się z ziemi, lando toczyło się zwolna i ociężale. Chmury, zapowiadające wciąż burzę, pokryły się o zachodzie jakby miedzianym pyłem. W pierwszej chwili zamieniano z sobą oderwane zdania, lecz gdy powóz wjechał w wąwozy de la Seille, rozmowa ustała zupełnie; groza skał olbrzymich i zacieśniające się potężne ich mury zdawały się rzucać trwogę i obawę. Czy droga ta wyprowadzi ich ztąd zdoła? Czy nie wpadną wszyscy w jaką otchłań nieznaną a bezdenną? Przeszybował orzeł i rozdarł powietrze swym głosem.

Wreszcie ukazały się wierzby i droga sunęła wzdłuż Viorny, gdy Felicja, jakby opowiadając dalszy ciąg urwanej rozmowy, lub własnych myśli, rzekła:

— Niema obawy, by matka stawiała opór. Kocha

ona Karola bardzo, lecz na tyle jest rozsądną, że rozumie wybornie, iż dziecko pod każdym względem skorzysta, gdy je weźmiesz do siebie. Należy ci jeszcze wyznać, że Karol wcale nie jest szczęśliwy u matki, bo, naturalnie, mąż jej woli swoje własne dzieci... Trzeba, żebyś wszystko wiedział.

Pani Felicja mówiła teraz nieustannie, jakby chcąc wymusić na Maksymie zobowiązanie zabrania Karola. Dojechali do miasta a ona mówić nie ustawała. Gdy lando zaturkotało, wjechawszy na bruk przedmieścia, nagle zawołała:

— Patrz, patrz! oto matka Karola... 'Ta tłusta blondynka przed domem.

Przejeżdżali właśnie około sklepu rymarskiego, zawieszono go wewnątrz i zewnątrz mnóstwem uprząży i uzdziennic. Justyna siedziała na krześle przed domem i robiła pończochę, używając wieczornego chłodu w towarzystwie dzieci, syna i córki, bawiących się na ziemi u stóp matki; po za nią, w cieniu sklepu, dojrzeć można było barczystą postać Tomasza, zeszywanego siodło.

Bez wzruszenia, ciekawością jedynie powodowany, Maksym wysunął głowę we wskazanym kierunku. Mocno się zadziwił, zobaczywszy tłustą, trzydziesto-dwuletnią blondynkę, o typowo spokojnym wyglądzie mieszczańki. Lekko mu się serce ścisnęło, gdy przyrównał siebie, zestarzałego, schorzałego, do jej postaci zdrowej, spokojnej i o wiele piękniejszej dziś, niż dawniej.

— Nigdybym jej nie był poznał...—powiedział.

Powóz toczył się dalej i skręcił teraz na ulicę de Rome. Justyna znikła; obraz widziany mignął Maksymowi minioną a tak różną przeszłością, przemknęło to szybko i Justyna, wraz z Tomaszem, dziećmi i sklepem, pogrążyć się poczęła i rozpraszać w ciemnościach zapadającego zmroku.

W Soulejademie stół czekał nakryty. Marcyna przygotowała na obiad węgorza, ułowionego w Viornie, potrawkę z królika i pieczeń baranią. Załedwie była siódma godzina, można więc było jeść spokojnie, bez zbytecznego pośpiechu.

— Nie lękaj się, nie spóźnisz się! — powtarzał doktor, zwracając się do siostrzeńca. — Odprowadzimy cię na kolej, dziesięć minut wystarczy, by dojść do dworca... Zostawiłeś rzeczy na kolei, kupić bilet i wskoczyć do wagonu, to niedługa sprawa.

Spotkawszy Klotyldę, zawieszającą kapelusz i parasolkę w sieni, Pascal rzekł jej półgłosem:

— Wiesz, że brat twój niepokoi mnie.

— Dlaczego?

— Przypatrywałem mu się i nic dobrego mi nie wróży sposób, w jaki nogi stawia. Nigdy się jeszcze na tem nie zawiodłem. Grozi mu paraliż.

Klotylda zbladła i powtórzyła:

— Paraliż!

Przypomniała sobie straszne widmo obrazu widzianego, gdy jeden z ich sąsiadów, człowiek młody, paraliżem został dotknięty i przez lat dziesięć wozic go musiał w wózku służący. Niedoleżtwa takie czyż

nie jest najcięższą plagą, ciosem, odrywającym żyjącego od życia?

— Lecz on się skarży tylko na reumatyzm?

Pascal ruszył ramionami znacząco i, położywszy palec na ustach na znak milczenia, wszedł do stołowego pokoju, gdzie znajdowała się Felicja z Maksymem.

W czasie obiadu zapanowała serdeczność. Zrodzony w sercu Klotyldy niepokój, usposobił ją czule dla brata, siedzącego obok niej przy stole. Wesoło, uprzejmie doglądała, by brał najlepsze kawałki. Dwukrotnie przywołała Marcynę z półmiskiem, mówiąc, że sprząta zbyt prędko. Ta siostra, taka dobra, zdrowa i rozsądna, coraz silniej ujmująco działała na Maxyma, wdzięk Klotyldy ogarniał go jakby pieśczętą. Podbijała go tak silnie, iż chwilowo przelotnie a następnie coraz stanowczej, począł snuć projekta jej dotyczące. Ponieważ syn jego, Karol, przeraził go swą pięknoscia, znamię śmierci noszącą, jak również swem niedołęztwem chorobliwego, zwyrodniałego potomka gasnącego rodu, dlaczego nie zastąpić go Klotyldą w roli, którą mu przeznaczał? Przeraziła go zazwyczaj myśl powierzenia swego domu kobiecie, bał się bowiem kobiet, nadużywszy ich do zbytku w zaraniu lat młodzińczych, lecz Klotylda wydawała mu się iana, obejście się jej było takie macierzyńskie. Kobiet zacnych nie miewał jeszcze w swem otoczeniu, zmiana taka pociągała go dobrem, ztąd wyniknąć dlań mogącym. Stary Saccard nie nasyłałby mu wtedy niezradu, resztki życia z niego wygarniającego a przy-

spieszającego owładnięcie majątkiem przez czyhającego na takowy ojca. Obawa, połączona z nienawiścią ku Saccardowi, zdecydowały Maksyma.

— Dlaczego nie wychodzisz za mąż, Klotyldo? — spytał, chcąc bliżej zbadać możliwość spełnienia się powziętu projektu.

Dziewczyna roześmiała się na to pytanie.

— Nic pilnego.

A spojrzawszy na Pascala, który zwrócił twarz w ich stronę, dodała żartobliwie:

— Zkąd to wiedzieć można?... Nigdy za mąż nie wyjdę.

Felicja zaprzeczyła, aby stać się tak miało. Niejednokrotnie życzyła sobie wyjścia za mąż Klotyldy i niecierpliwiło ją przywiązanie dziewczyny do Pascala, zdawało się jej, że wraz z zamążpójściem Klotyldy ona ją zastąpi przy osamotnionym doktorze i zawładnie nim w zupełności. Wzywała teraz Pascala, by jej przyświadczył, że najwłaściwszą rzeczą dla kobiety jest zamążpójście. staropanieństwo stanowi przekroczenie względem praw natury. Doktor przyświadczał jej z powagą, nie spuszczać wzroku z Klotyldy.

— Tak, tak, trzeba wyjść za mąż... Zbyt ona jest rozsądną, by temu przeczyć.

— Czy naprawdę źle zrobi, nie wychodząc za mąż? — przerwał Maksym. — Tyle jest nieszczęśliwych małżeństw a niewiadomo, co jej sędzono!

Zdecydował się ostatecznie myśl swoją wypowiedzieć:

— Czy wiesz, jak uczynisz najlepiej? Oto przyjedź

do Paryża i zamieszkać ze mną... Zastanowiłem się i lękam się braci Karola, zwłaszcza przy tak złym stanie zdrowia, jak moje. Czyż sam nie jestem dzieckiem i to chorem dzieckiem, potrzebującym opieki?... Powinnaś mnie pielęgnować i być przy mnie, zwłaszcza jeżeli grozić mi będzie odjęcie władzy w nogach.

Głos Maksyma stał się wzruszony, roztkliwił się sam nad swoim losem. Widział się już niedołężnym, jak również widział Klotyldę, odgrywającą rolę siostry miłosierdzia około niego a jeżeli Klotylda podjąć się tego zechce i zostanie starą panną, to uczyni ją swoją spadkobierczynią, byle nie ojcu dostał się po nim majątek. Strach, ogarniający Maksyma wobec pustki, panującej naokoło niego, obawa obcego dozoru, czyniły go wymownym i tklwym.

— Postąpiłabyś dobrze i po bratersku, biorąc mnie w swoją opiekę a na pewno nie żałowałabyś tego nigdy.

Słyszając te słowa, Marcyna, która właśnie podawała pieczeń baranią, stanęła jak wryta; wreszcie i na innych propozycya Maksyma niemniejsze sprawiła wrażenie. Felicya pierwsza projekt ten poparła, czując, iż wyjazd Klotyldy może wpłynąć bardzo na urzeczywistnienie własnych jej zamiarów. Patrzyła teraz na oniemiałą z zadziwienia Klotyldę a poblady ze wzruszenia Pascal słuchał, co będzie dalej.

— Oh! bracie mój, bracie! — trwożnie wyjęknęła dziewczyna, nie znajdując słów na razie.

Wtedy babka wypowiedziała swoje zdanie:

— Jakto, nie więcej bratu nie odpowiesz? Projekt

Maksyma jest bardzo poczciwy. Jeżeli się lęka brat teraz Karola, pojedziesz najprzód sama a potem i syna mu sprowadzisz... Namyśl się, bo doskonale wszystko się składa. Brat przemówił do twego serca... Pascalu, wszak i ty jesteś zdania, że Klotylda nie powinna odmawiać Maksymowi?

Doktor opanował się wysiłkiem woli. Cierpienie jego wszakże odczuwać się dawało. Przemówił zwolna

— Powtarzam wam, że Klotylda jest rozsądną i jeżeli uzna, iż powinna się zgodzić na propozycję Maksyma, to się niezawodnie zgodzi.

Pod wpływem wewnętrznego wzburzenia, dziewczyna wybuchnęła gniewem:

— Mistrzu, czyż mnie chcesz oddalić od siebie?... Zapewne, Maksym względem mnie okazał się dobrym. Ależ, mój Boże! jakże mogę opuścić tych, którzy mnie kochają i których ja dotychczas kochałam!

I szamocząc się sama z sobą, zdawała się ogarniać i tulić do siebie wszystkich i wszystko, całą Soulejadę.

— A jednak — odezwał się Pascal, patrząc na nią uporczywie — gdyby Maksym istotnie potrzebował ciebie?...

Oczy Klotyldy zaszyły łzami, bo ona jedna zrozumiała, co właściwie Pascal miał na myśli. Przemknął przed jej oczami straszny obraz: Maksym paralytyk na wózku, ciągnięty przez służącego, jak ów młody, chory sąsiad, którego spotykała. Przywiązanie do ludzi i rzeczy, oddawna znanych i kochanych, walczyło z politowaniem i współczuciem dla brata. Czyż miała

jakiegokolwiek obowiązki względem brata, który przez lat piętnaście zachowywał się względem niej, jak obcy? Czyż obowiązki jej nie były tam, gdzie i serce?

— Słuchaj, Maksymie—rzekła wreszcie—zostaw mi trochę czasu do namysłu... Zobaczę... Jestem ci tymczasem bardzo wdzięczna. I jeżeli istotnie okaże się, że ci jestem potrzebna, to bądź pewny, że się zdecyduję uczynić wedle twego życzenia.

Po nad to przyrzec nie chciała. Gorączkowo namawiająca ją Felicya nie zyskała, podczas gdy Pascal dowodzić począł, że Klotylda i tak powiedzeniem swoim stanowiąc zobowiązanie przyjęła. Marcyna przyniosła krem na deser i radości swojej nie kryła: zabrać z domu panienkę! Co za myśl, toż pan, pozostawszy sam, umarłby z nudów i tęsknoty! Obiad przeciągnął się skutkiem tej rozmowy. Wybiło już w pół do dziewiątej a deser się nie skończył. Maksym nie mógł już dłużej siedzieć. lękając się spóźnienia na pociąg.

Na dworcu, dokąd wszyscy go odprowadzili, rzekł, całując siostrę na pożegnanie:

— Pamiętaj, com powiedział.

— Bądź spokojny — pochwyciła pani Felicya — będziemy jej wszyscy przypominali dane ci przyrzeczenie.

Doktór się uśmiechał i gdy pociąg ruszył, wionęli wszyscy troje chustkami na ostatnie pożegnanie.

Dnia tego, gdy odprowadzili babkę do domu, doktor Pascal wrócił wolnym krokiem do Soulejady z Klotyldą i spędzili resztę wieczoru razem w rozkosznem usposobieniu i zgodzie. Z przeciwieństwa zapa-

trywań wynikiłe głuche nieporozumienia w ciągu ostatnich tygodni znikły teraz bez śladu. Czuli się złączonymi w swem przywiązaniu nierozdzielnie i nigdy im tak błogo nie było razem. Odżyli, wyzdrowieni jakby po chorobie, radość i nadzieja kołysała ich oboje. Wśród ciepłej nocy siedzieli dziś długo pod jaworami, wsłuchując się w kryształowy szmer strumyka. Mało mówili, być przy sobie wystarczało im zupełnie i głęboko szczęście swe odczuwali.

Tydzień zaledwie upłynął a niepokój nauowo w domu zagościł. Zdarzało się, że Pascal i Klotylda po pół dnia do siebie nie mówili; co chwila była obawa wybuchu nowego niezadowolnienia. Marcyna ulegała również panującemu złemu humorowi. Życie tych trojga kochających się ludzi w piekło się zmieniało.

Nagle wszystko pogorszyło się jeszcze bardziej.

Podług zwyczaju, istniejącego w południowej Francji, zjechał do Plassans kapucyn wielkiej świętobliwości, w celu wygłoszenia pewnej ilości kazań. Mury kościoła świętego Saturnina rozlegały się echem gromiącego jego głosu. Kapucyn był rodzajem apostoła o wymowie gładkiej i ognistej, słowa jego płynęły kwiecisto, obrazowo. Dowodził nicości wiedzy dzisiejszej z rzadko spotykanym polotem mistycznym, udowadniał znikomość świata doczesnego, otwierając wrota przyszłego szczęścia pozagrobowego. Wszystkie dewotki w mieście pochłaniały jego słowa, wpadając w obłąd z zachwycenia.

Zaraz po pierwszym kazaniu, gdy Klotylda wróciła z Marcyną do domu, Pascal zauważył gorączkowe jej

usposobienie. Dni następnych Klotylda wracała coraz później do domu, zatapiała się bowiem po kazaniu w modlitwie, ukryta w najciemniejszym kącie kościoła. Większą część czasu spędzała teraz w kościele a wróciwszy, miała oczy pałające ekstazą religijną; słowa kazania brzmieć jej w uszach nie przestawały. Ogarniała ją nienawiść i pogarda dla wszystkich i wszystkiego, co doczesne.

Pascal, zaniepokojony jej usposobieniem, postanowił rozmówić się z Marcyną. Pewnego poranku zeszedł w tym celu wcześniej do stołowego pokoju; Marcyna właśnie poczynała sprzątać.

— Wiesz, że pozostawiam tak tobie, jak Klotyldzie, najzupełniejszą swobodę chodzenia do kościoła kiedy wam się tylko podoba. Nie chcę na niczyje sumienie wywierać wpływów, ale nie mogę pozwolić, abyś Klotyldę o chorobę przyprowadzić miała.

Służąca, nie przestając zamiatać, głucho odpowiedziała:

— Choroba może siedzi w tych, którzy myślą, że jej nie mają...

Wypowiedziała to zdanie z takim przekonaniem głębokim, iż mimowoli Pascal się uśmiechnął.

— Tak, tak, wiem, to mój umysł jest chory i wy modlicie się, by mi wydobrał; wy zaś posiadacie nie tylko zdrowie, lecz i mądrość całkowitą. Marcyno, jeżeli nie przestaniecie zamęczać siebie i mnie razem, będę zmuszony rozgniewać się na was na seryo.

Słowa doktora wypowiedziane były ostro i rozpaczliwie, Marcyna powstrzymała zamiatanie i spojrzała

na niego uważnie. Zwiędła twarz starej służącej wyrażała nieograniczoną boleść i przywiązanie. Oczy jej zabiegły łzami i uciekła z pokoju, rzucając słowa:

— Ah, panie, paniel Pan nas wcale nie kocha!

Rozbrojonego tym wybuchem, Pascala ogarnął smutek wielki. Oblegać go poczęły wyrzuty sumienia, iż zbytnią tolerancją powodowany, nie pokierował wychowaniem Klotyldy, podług własnego sposobu widzenia. Nauczył ją tylko czytać i pisać, resztę pozostawiając własnej jej naturze i pociągowi; niekrępowane niczem drzewo wszak samo prosto wyrasta. Bez planu z góry obmyślanego, po prostu dzięki codziennemu trybowi dnia, Klotylda bardzo wiele czytała w swem życiu, z namiętnością zwłaszcza wzięła się do studyowania nauk przyrodniczych; zapoznała się z niemi, pomagając Pascalowi w wertowaniu książek, w poprawianiu nadsyłanych odbitek mających wyjść prac jego, uczyła się, przepisując i klasyfikując rękopisy doktora. Jakże dziś żałował, iż wychowaniu jej właściwego nie nadał kierunku! Jakże łatwo byłoby od początku dobrze skierować trzeźwy i pojętny umysł Klotyldy! Nie wyzyskał jej chęci posiadania wiedzy a dozwolił natomiast popaść dziewczynie na manowce marzeń pozaświatowych, podtrzymywanych w niej przez babkę i przez dobrą Marcynę! Podczas gdy sam wierzył tylko w fakta i nie dozwalał sobie iść dalej nad badanie powstających z nich objawów, pod jego okiem rosła Klotylda, przepełniając swój umysł rozmyślaniami nad niezbadaną zagadką pozaświatowych tajemnic. Pobudzona a zadowolnioną być nie mogąca cie-

kawość dziewczyny, dręczyła ją bezustannie, do mężczyzny doprowadzając. Pragnęła, gwałtownie potrzebowała nasycić się wiadomością o nieznanem, o niedostępnem. Od lat dzieciennych począwszy, wzrastała w Klotyldzie coraz uporeczywiej chęć poznania przyczyny i skutku rzeczy każdej. Jako dziecko jeszcze, bawiąc się kwiatkiem, pytała Pascala, dlaczego z kwiatka powstanie ziarnko i dlaczego ziarnko kiełkuje następnie? Zaciekawiała ją później tajemnica poczęcia płodu, różnica płci, urodzenia się i śmierci, siły niezbadane, Bóg i wszystko, o czem postyszeć tylko mogła. Pytaniami swemi doprowadzała Pascala do świadomego uznania ciemnoty swej zupełnej; gdy nie wiedział, co jej odpowiedzieć, zwykł był odpędzać ją ruchem żartobliwego gniewu, śmiała się wówczas tryumfująco i wracała do swych marzeń, zagłębiając się w nich coraz namiętniej, żyjąc bezustannie w ułudzie i pogoni za niepochwytymi mrzonkami o rzeczach nieznanych a wierzeniu podlegających. Zdumiewała częstokroć Pascala głoszonemi objaśnieniami. Opierając się na wiedzy, na prawdzie dowiedzionej, Klotylda jednym zamachem przerzucała się w chmury legend i niebiańskie rojenia. Za pośredników, łączących jedno z drugim, obrała sobie aniołów, świętych, tchnienia nadprzyrodzone, przeistaczające materję, życiem ją darzące; zdarzało się, iż pogląd ten zmieniała na inny wierzyła wtedy w jednolitą siłę, duch świata stancowiącą; celem tej siły było zlanie i złączenie wszelkiego jestestwa w jeden ostateczny rozkwit miłości, za pięćdziesiąt wieków. Utrzymywała przytem, że obliczenie lat ściśle sprawdziła.

Nigdy jeszcze Pascal nie widział Klotyldy tak wzburzonej, jak obecnie. Od tygodnia chodziła regularnie do katedry na kazania, głoszone przez kapucyna, od tygodnia też przepędzała dnie, jak nieprzytomna, w gorączkowym oczekiwaniu popołudniowej godziny, wyznaczonej w kościele; szła tam słuchać słów z kazalnicy z podnieconą egzaltacją dziewczyny, idącej na pierwszą miłosną schadzkę. Nazajutrz, od rana chodziła jak istota oderwana od życia powszedniego, od rzeczywistości, uważając świat widzialny, sprawy codzienne i ich szczegóły za niegodne uwagi głupstwa. Porzuciła stopniowo zwykłe swe zajęcia i ulegając nieprzewyciężonemu rozleniwieniu, siadywała godzinami całymi, złożwszy ręce na kolanach, z oczami bezmyślnie utkwionemi w przestrzeń, pogrążona w majaczeniu snów niedoścignionych. Ona, zazwyczaj czynna i rankiem wczesnym wstająca, za ledwie ukazywała się w południe, na drugie śniadanie; zaniedbała się w ubraniu, lecz pomimo ledwie przyczesanych włosów i źle zapiętej sukni, piękną być nieprzestawała, dzięki urokowi młodości. Zaniedbała również ulubionych porannych swych spacerów po Soulejadzie, nie biegła już z góry na dół po tarasach obrosłych drzewami migdałowemi i oliwnemi, nie odwiedzała sosnowego lasku, pełnego aromatu żywicy, nie zatrzymywała się na klepisku, by kąpać się w promieniach słonecznych, wołała siedzieć w swoim pokoju, w cieniu zamkniętych okiennic, pogrążona w rozmyślaniach, w ciszy zupełnej. Popołudniowe godziny przebywała w środkowej sali, wałęsając się z krzesła

na krzesło w bezczynności zupełnej, znużona i jakby omdlała, odczuwając niechęć i gniew do wszystkiego, co dotychczas lubiła najwięcej.

Niezadługo Pascal ujrzał się zniewolonym zrzec się jej pomocy. Notatki, którą jej powierzył do przepisania, od trzech dni nie ruszyła na swoim stoliku. Porzuciła klasyfikowanie papierów, z obojętnością patrząc na wszystko; rękiby nie poruszyła dla podniesienia spadłych na ziemię najważniejszych rękopisów. Porzuciła pastele a zwłaszcza owe dokładne kopiowanie kwiatów, mających ilustrować dzieło o sztucznem zapładnianiu. Piękne, wielkie malwy czerwone zwiędły w wazonie, oczekując napróżno odtworzenia ich przez Klotyldę. Jednego popołudnia wszakże z namiętnością rzuciła się do ołówków i narysowała rzecz dziwną, kwiaty w wyobraźni swej chorobliwej rozkwitłe, oblane promieniami cudowności; piętrzyły się one snopem pozłocistym, jakby kłosa, osadzone w purpurowych kielichach, o kształcie serc pozarpanych, zamiast pręcików, tryskały w górę niezliczone gwiazdy, miliardy światów, dążące mleczną drogą ku niebu.

— Biedna moja dziewczyno—rzekł Pascal, patrząc na fantastyczną jej robotę —jakaż szkoda twego czasu na takie dziwoląg! Powiem ci, że czekałem na twoją robotę według tych oto malw wykonaną a tymczasem malwy powiędły w próżnem oczekiwaniu! Rozchorujesz mi się jeszcze. Zdrowie, zarówno jak piękność, na rzeczywistości tylko mogą być oparte.

Najczęściej nie odpowiadała teraz nigdy na czynio-

ne jej przez Pascala uwagi, zawarłszy się w sobie z dzikim uporem, unikała dyskusyi. Tym razem wszakże Pascal musiał obrazić najdroższe jej wierzenia.

— Niema rzeczywistości — rzekła sucho i z naciśnięciem.

Zabawiony tą stałością zasad filozoficznych, Pascal roześmiał się szczerze.

— Tak, wiem, wiem!... Zmysły nasze nie posiadają bezwzględnej nieomyłności a ponieważ świat zewnętrzny poznajemy za pomocą zmysłów, przypuszczać więc można, iż świat nie istnieje... Otwórzmy zatem drzwi obłądowi i puśćmy mu wodze swobodnie, przyjmując jako pewniki najdziwaczniejsze pomysły i mrzonki na miejsce prawd i faktów stwierdzonych... Czyż nie widzisz, dziewczyno, iż usuwając naturę i prawa nią rządzące, pozostajemy bez steru? Przestając wierzyć i kochać objawy życia nas otaczającego, przestając badać i poznawać przejawy i tajniki jego, pozabawiamy się tem samym potrzeby własnego istnienia, wykluczamy wszystko, co nas do życia wiąże.

Klotylda odpowiedziała tylko ruchem, który miał wyrażać: a chociażby i tak był — i na tem rozmowa się urwała. Z zawziętością kończyła rozpoczęty rysunek, wydobywając śmiało rzutami pastelu niebieskie dymy i płomienie na tle przezroczystej nocy letniej.

W dwa dni potem żywszą jeszcze mieli z sobą utarczkę.

Po skończonym obiedzie, Pascal zasiadł w sali śródkowej do pracy a Klotylda pozostała na dole, w ulubionem miejscu ogrodowego tarasu. Upłynęło kilka

godzin, wreszcie północ wybiła a Klotylda nie wracała z ogrodu, co poczęło Pascala niepokoić. Chcąc wrócić dosiebie, musiała przechodzić przez salę, w której pracował a pewnym był zupełnie, że nie przeszła. Zeszedł na dół i przekonał się, że Marcyna śpi w swoim pokoju. Drzwi od sieni były otwarte, Klotylda zatem nie wróciła jeszcze. Siadywała ona chętnie wieczorami przed domem, nigdy wszakże do tak późna, jak dzisiaj.

Niepokój doktora wzrósł jeszcze, gdy ujrzał na tarasie puste krzesło Klotyldy. Przekonany był bowiem, że zastanie ją tu śpiącą. Nie było jej tu, do domu też nie wróciła, gdzież więc jest o tak późnej godzinie? Noc wrześnieowa była piękna i ciepła a olbrzymi widnokrąg nieba zasiały gwiazdy, migocząc wśród aksamitnych jego ciemności. Księżycą dziś nie było, lecz za to gwiazdy wydawały się większe i jaśniejsze, ziemię całą blaskiem swym opromieniając. Pascal przechylił się przez balustradę tarasu, przebiegając wzrokiem pochyłość wzgórza i schodki kamienne, ciągnące się aż na sam dół, do kolejowego toru; było pusto, sterczały tylko okrągłe, nieruchome korony drzew oliwnych. Przyszło mu na myśl, że znajdzie Klotyldę pod jaworami, wsłuchaną w szmerzący bieg strumyka. Podążył ku jaworom, gdzie taka głęboka panowała ciemność, iż ręce musiał przed siebie wyciągnąć, by nie wpaść na drzewa. Przebył następnie i lasek sosnowy, nie spotkawszy nikogo. Nie mógł już dłużej wytrzymać i począł wołać głosem zniżonym:

— Klotyldo! Klotyldo!

Wśród głębokiej ciszy nocnej nic się nie odzywało. Zawołał głośniejszemi głosem:

— Klotyldo! Klotyldo!

Milczenie i pustka. Echa nawet jego głosu zdawały się pograżać i zamierać w uszpionych głębinach lazurowych ciemności, wszystko w około miękko zatapiających. Przywoływał już teraz Klotyldę całą pełnią piersi, wrócił pod jawory, przebiegł powtórnie lasek, okrążył ogród cały—wszystko napróżno. Nagle wszedł na klepisko.

Wielka, okrągła, brukowana przestrzeń klepiska uszpioną być się zdawała. Od lat dawnych nie młócono i nie przesiewano tu już zboża a wyrastająca z pomiędzy kamieni trawa, palona słońcem, schła prawie równocześnie ze wzrostem, stanowiąc pozłocistą, krótko strzyżoną wełnę kobierca, pokrywającego nierówności bruku. Pod miękką roślinną powłoką zeschniętej trawy kamienie zatrzymywały w sobie gorąco, nabrane wśród dnia całego, wydzielając je stopniowo od zachodu słońca, przez noc, aż do rana, by niewystygłe jeszcze począć nowe gromadzić w siebie żary.

Płaszczyzna klepiska pustą była, zaokrąglając się jeszcze pod sklepieniem spokojnego nieba, Pascal przeciąć je chciał, biegnąc na drugą stronę, do sadu, gdy o mało nie padł, potknąwszy się o leżącą postać ludzką, której nie dostrzegł. Z zadziwieniem zakrzyknął:

— Co to, co tu robisz, Klotyldo?

Lecz ona nie raczyła nawet odpowiedzieć. Leżała na wznak, z rękoma pod głowę podłożonemi, z twarzą

pobladała, zwróconą ku niebu, oczami gorączkowo palającymi.

— A ja się niepokoję i wołam na ciebie od kwadransa! Tyś chyba mnie słyszała?

Otworzyła wreszcie usta i powiedziała:

— Tak.

— Do czegoż to więc podobne! Dlaczegoś się nie odezwała?

Lecz dziewczyna na nowo wpadła w zamyślenie i nic nie odpowiadając, leżała uparcie z oczami utkwionymi w niebo.

— Wstawaj, niedobry dzieciaku, czas iść spać! Nie będę nalegał, abys się tłomaczyła, jutro mi wszystko opowiesz.

Mimo nalegań i błagania Pascala, nie ruszyła się z miejsca. Usiadł wreszcie przy niej na trawie, ogrzał jej ciepłym kamieniem.

— Nie możesz przecie tu nocować... Odpowiedz mi. Co tu robisz?

— Patrzę.

Wzrok jej rzeczywiście zdawał się pograżać cały wśród sklepień nieba, wyteżonemi, szeroko rozwartymi oczami wśród gwiazd błędziła. Całe jej jestestwo było gdzieś w nieskończoność porwane.

— Ah, mistrzu! — rzekła wreszcie zwolna, głosem równym, monotonnym — jakże wszystko, co ty wiesz i znasz, małem jest i ciasnem, w porównaniu z tem, co ukrywa przed nami przestworze... Nie odpowiadałam na twoje wołanie, bo myślałam o tobie i smutno mi było niezmiernie... Nie myśl wszakże, abym taką złą była, jak się napozór wydaję.

Tyle było czułości w głosie Klotyldy, iż Pascal mimowoli uczuł się głęboko wzruszonym. Rzucił się też na trawę w pobliżu. Leżąc na wznak oboje, łokciami się dotykali. Wszczęła się rozmowa.

— Droga moja dziewczyno, myślisz o mnie i martwisz się... Czyż to rozsądnie? Lecz dlaczego się martwisz?

— Dość trudno będzie mi wypowiedzieć przyczyny. Słów dobrać nie zdołam, za mało wiem i umiem, nie jestem uczoną. Prawda, że niemało wiedzy nabrałam od ciebie i wiele jej nabyłam sama, żyjąc przy twoim boku. Wreszcie są to rzeczy, które czuję... A może jednak spróbuję ci je wypowiedzieć, kiedy chcesz i jesteśmy wśród takiej ciszy i takiego piękna!

Po kilkogodzinnem samotnem rozmyślaniu, serce dziewczyny widocznie przepęłniać się zaczęło, do zwierzeń wreszcie usposabiła cudnie piękna noc letnia. Pascal milczał, lękając się wzruszyć ją nierozważnem słowem.

— Dzieckiem będąc, gdy słuchałam ciebie, mówiącego o wiedzy, myślałam, że o Bogu mówisz, tyle odczuwałam w twych słowach wiary i nadziei. Podług ciebie, wiedza kruszyć mogła wszystkie zapory. Wiedza mogła zbadać wszystko, sprowadzić szczęście na ludzkość całą... Podług słów twoich, olbrzymiemi krokami zdążała ona ku temu celowi. Dzień każdy nowe odkrycia przynosił z sobą, nową dawał pewność. Jeszcze lat dziesięć, pięćdziesiąt, sto wreszcie—a niebo roztworzy się przed nami i prawdę całą posiadać bę-

dziemy... Lecz widzę, że lata biegną a nie zdobywamy nic, prawda zdaje się cofać coraz dalej.

— Zbyt jesteś niecierpliwa — odpowiedział spokojnie Pascal. — Jeżeli dziesięciu wieków potrzeba dla odkrycia praw dotąd nieznanych, to, trwając w pracy, czekać należy.

— Ja czekać nie potrafię. Chcę wiedzieć zaraz, łaknę prawdy natychmiast. Prawdy całej i całkowitej radości!... Dlatego cierpię, oh, tak! dlatego, że nie mogę podług chęci wznieść się po nad wszystko, aby wszystko wiedzieć i spocząć w szczęściu zupełnem, w spokoju niezamąconym, wolna od powątpiewań i niepewności. Czyż ślimacze nasze pełzanie godzi się nazwać życiem? Od zwątpienia ani na chwilę w tych warunkach zwolnić się nie można, bo umysł ustawicznie nasuwa dręczące myśli o tem, co będzie! Tak, tak, chcę wszystko wiedzieć i radować się natychmiast! Niech wiedza dotrzyma i spełni uczynione nam obietnice a jeżeli tak nie uczyni, to powiem, że bankructwem chce zobowiązania swe zastąpić..

Pascal, folgując ogarniającemu go uniesieniu, wybuchnął:

— Szaleństwa mówisz, moje dziecko! Wiedza nie jest objawieniem. Postępuje ona zwolna, przez ludzi zdobywana i wielkość jej na tej usilności ludzkiej się opiera... A potem, nieprawdą jest, aby wiedza kiedykolwiek wzięła na siebie zobowiązania szczęścia.

Klotylda przerwała mu gwałtownie:

— Jako, nieprawdą jest! Roztwórz księgi, któremi się otaczasz. Wiesz, że je czytałam. Obietnicami są

przepełnione. Czytając je, można przypuszczać, że ziemią i niebem człowiek rozporządza. Wiedza, w księgach twoich zawarta, niszczy doszczętnie dotychczasowe pojęcia, poprzysięgając dać nam lepsze, rozumem zdobyte, niewzruszone, mądre... Być może, iż dzieckiem jestem tylko, bo tak jak dziecko dopominam się co rychlej, natychmiast, o ową obiecaną zabawkę. Podniecona oczekiwaniem wyobraźnia coraz piękniejszej i kunsztowniejszej zabawki żądać będzie, byle co zadowolnić mnie nie zdoła... Lecz dlaczego obietnicami mnie łudzono; trzeba było nic nie obiecywać. A teraz, gdy zboleła i udręczona jestem wyczekiwaniem, nie mów mi, że nigdy nic mi nie obiecywano, bo ranić mnie tylko będziesz mocniej!

Wśród bezbrzeżnych otchłani ogarniającej ich wspaniałej nocy letniej, Pascal ruchem jedynie zaprzeczał podstawy potokowi słów Klotyldy.

— W każdym razie — ciągnęła ona dalej — wiedza ludzka uprzątnęła, uniosła wszystko, odarła ziemię, opustoszyła niebo, więc cóż mam począć, gdzie zwrócić się i szukać, jeżeli nawet obietnic nigdy nie czyniła żadnych?... Niepewność bowiem, która mnie otacza, szczęścia mnie stanowczo pozbawia. Jak, z czego, zbudować mam schronisko, kiedy, zabrawszy mi wszystko, co było, nic w zamian nie dano? Pod naciśnięciem badania i analizy runął gmach stary w gruzy; ludzie, zamieszkujący go, tułają się wśród zwalisk i nigdzie kamienia nawet ocalałego nie znajdują, aby na chwilę przyłożyć do spoczynku głowę; błakają się dręczeni nawałnicą a pragnący ochronnego, bezpiecz-

nego dachu, aby pod jego obroną nowe rozpocząć życie... Dziwić się nad naszą niecierpliwością nie należy, szukamy, a nie znajdując, wątpimy. Czekać dłużej jest dla nas niepodobieństwem. A kiedy wiedza zbyt jest powolną w pochodzie, lub zbankrutowaną, cofamy się w tył, tak! cofamy się ku dawnym wierzeniom, które całemi wiekami istnienia pozostały niewzruszone, bo mogą one jeszcze dać i zapewnić ludziom dostateczne szczęście.

--- Oto właśnie! — zawołał Pascal — czego należało się spodziewać, że nastąpi ku schyłkowi naszego stulecia, pod brzemieniem zmęczenia i zdenerwowaniem skutkiem źle przetrawionej a potężnie nagromadzonej wiedzy, którą gwałtem dzieciom naszym do spożycia podajemy... Zawracają w tył, ku wiecznej potrzebie kłamstwa, ułudy, które ludzkość kołysały w pierwocinach jej żywota; zawracają w tył, cofając się do baśni zwodniczych o tajemnicach nieznanym... Ponieważ nie można wszystkiego na raz wiedzieć, lepiej nie wiedzieć. Zdobyte prawdy nie przyniosły dotychczas szczęścia, dlategoż zatem mamy się wysilać, aby je przyswajając sobie, pozostańmy lepiej w zupełnej nieświadomości, w ciemnościach i śpijmy spokojnie snem lat dziecięcych... Tak! tajemnice pierwotnych legend w zaczepnej pozycyi ku nam występują, mszcząc się za w ciągu wieku całego poczynione w nich wyłomy. Dużo jest może takich, którzy wymkną się z obozu prawd doświadczalnych, lecz tak być musiało, wszystkich pragnień i potrzeb zadowolnić odrazu niepodobna. Pochodu naprzód nie wstrzyma to napewno a chwila postoju zniknie niespostrzeżenie w ogromie całości.

Na chwilę zamilkła i, leżąc bez ruchu, wpatrywali się w miliardy światów, widniejących na ciemnym tle nieba. Gwiazda spadająca przemknęła ognistą nicią konstelację Kasyopei. Migotliwe światła płonęły w przestwrczu, sunąc zwolna po zakreślonych sobie torach; naokoło Pascala i Klotyldy ziemia, pogrążona w pomroce, lekkie tchnienie wydawać się zdawała, tchnienie ciepłe i słodkie, jak oddech piersi kobiecej.

— Powiedz mi—odezwał się wreszcie Pascal z dobroduszną ciekawością w głosie—czy to twój kapucyn tak ci przewrócił w głowie dzisiejszego wieczoru?

Odparła szczerze:

— Tak. Mówi on z kazalnicy rzeczy wprost przeciwnie tym, które dotychczas z ust twoich słyszałam; cała, posiadana przezemnie wiedza, stała się teraz dla mnie trucizną... Boże mój, co czynić mam? Jak myśleć!

— Biedne moje dziecko!... Jak można się tak dobrowolnie męczyć! Mimo to wszystko jednak, spokojny jestem o ciebie, bo umysł masz w porządku i równowadze; przecież nieraz ci powtarzałem, że okrągła twoja łepetyna jest mocna i rozsądna. Mam nadzieję, że się uspokoisz... Ale ileż spustoszenia czynią te wszystkie mrzonki w innych mózgach, jeżeli ty, mózg zdrowy posiadając, ulegasz niepewnościom. Czy ty jesteś szczerze wierzącą?

Nic nie odpowiedziała, tylko westchnęła. Pascal mówił dalej:

— Bo najzupełniej przyznaję, iż ten, kto posiada szczerą, niezachwianą wiarę, ten posiada potężną podporę, by spokojnie przejść życie.

— Sama nie wiem, czy wierzę! Są dni takie, że wierzę, a są znów, w których tylko tobie i książkom twoim ufam. Ty jesteś przyczyną moich niepewności, mojej chwiejności, ty jesteś przyczyną moich udręczeń. Czasami pytam sama siebie, czy wszystkie cierpienia moje nie pochodzą z braku bezwzględnej wiary w ciebie... Nie, nie przerywaj mi, nie mów, że nadejdzie czas uspokojenia. Drażnić mnie to tylko może. Ty zaprzeczasz istnieniu rzeczy nadprzyrodzonych, nie wierzysz w objawienie. Rzeczy nieznanne, tajemnice nas otaczające, są to dla ciebie pola dla przyszłej pracy i badania. Zgadzasz się już, że są między nimi takie, które może nigdy dokładnie zbadanymi nie zostaną; mimo to, powiadasz, że zadaniem naszym jest nieustawanie w pracy i pościgu nad ich rozpoznaniem... Ah! wiem za dużo, by wierzyć szczerze i głęboko, za wiele uległam wpływom twoim i umrę chyba z udręczenia.

Pascal ujął silnie jej rękę, leżącą wśród trawy spalonej i rzekł:

— Ależ ty życia, jego zadania i pracy lękasz się chyba, dziewczyno!... Słusznie powiedziałaś, iż obowiązkiem naszym jest nieustająca praca, bo stanowi ona źródło prawdziwego szczęścia; lecz pracy tej nie powinnaś się lękać, bo inaczej nigdy nie zaznasz spokoju, zaczerpnąwszy prawd już zbadanych. Zatrzymać się i chcieć się na nowo w ciemności pogрузić, to skazać się dobrowolnie na wieczny niepokój. Trzeba iść naprzód, zawsze naprzód, podług wskazówek, przez życie samo wytkniętych. Wszelkie rojenia cofnięcia

się w tył, stworzenia nowych wierzeń, dostosowania starych pojęć religijnych do pojęć dzisiejszych, zjednoczenia wiedzy z objawieniem, wszystko to są mrzonki... Badaj życie, ukochaj je i zespolona z niem, bierz to, co wziąć można i należy a będziesz szczęśliwa i spokojna.

Klotylda wyrwała gwałtownie rękę, którą Pascal trzymał dotychczas w przyjaznym uścisku. Głosem, pełnym nietajonej wzdargy, zawołała:

— Życie jest wstrętne, jak możesz żądać, bym je kochać mogła i w tem kochaniu szukając szczęścia, posiąść takowe zdołała! Zbyt odstraszające blaski rzuca wiedza twoja na świat otaczający nas, bym go kochać mogła; analiza twoja zbyt jaskrawo uprzytomnia nędze i rany ludzkiej natury. Odsłaniaasz wszystko, nie nie skrywając, budzisz wstręt najwyższy do ludzi i świata, nie nam ku pocieszeniu nie dając.

Przerwał jej okrzykiem, z głębi serca pochodzącym:

— Tak, mówić i odsłaniać prawdę jest obowiązkiem naszym. Złe, raz poznane, zbadane, wreszcie wyleczonem i usuniętem być może...

Wstrząśnięta gniewem, Klotylda zerwała się gwałtownie i porzuciwszy dotychczasową spokojną pozycję leżącą, usiadła tuż obok Pascala.

— Gdyby jeszcze choć sprawiedliwość wśród natury istniała! Lecz sam przyznajesz, że słabi ginąć muszą, ustępując miejsca silniejszym. Dwóch, równych sobie istot, nie spotykamy nigdy, w zdrowiu, rozumie, piękności — różnica każdą z nich dzieli od innych; wszystko jest rzeczą wypadku, bez świadomości uczy-

nionego wyboru! Cóż więc może być warte istnienie, świat, natura cała, kiedy sprawiedliwość święta prawem najwyższym nie jest i nie będzie!

— To prawda—odrzekł półgłosem Pascal, mówiąc jakby sam do siebie — równość jest wyrazem. Społeczeństwo, na równości oparte, jest wprost niemożliwym. Całymi wiekami zaradzano złemu, posiłkując się miłością bliźniego i litością. Lecz dziś tego za mało; dziś chcą jednakiej sprawiedliwości dla wszystkich... A czy natura jest sprawiedliwą? Chętniej przypuszczam, że jest tylko logiczną. Logika jest może tym najwyższym wyrazem naturalnej sprawiedliwości przyrody, która, nie gubiąc się w szczegółach, dąży prosto do celu, pomna jedynie na wysiłek zjednoczonych pragnień i wyników, zjednoczoną pracą osiągnąć się dających.

— Jest-że to sprawiedliwość? Jednostka ginie dla dobra innych, sobie podobnych, tylko silniejszych, rasa cała przepada, ustępując miejsca drugiej, krwią słabszych wzmożonej... Nie, nie chcę tej sprawiedliwości! Zbrodnią jest ona, nie czem innym. Tak, dziś w kościele słowa prawdy słyszałam: na ziemi zgniła zna ogarnęła wszystkiem wszechwładnie, wiedza do rozkładu tylko się przyczynia, zbawienie nasze jest wyżej i tam się schronić nam trzeba. O mistrzu! dozwól, błagam cię, dozwól, bym zbawienia dostąpić mogła nietylko sama, lecz bym ciebie jeszcze wraz z sobą zbawić zdołała!

Klotylda wielkim wybuchnęła płaczem, odgłos jej żalosego, głośnego łkania rozlegał się teraz wśród

spokojnej, cichej nocy letniej. Napróżno Pascal usiłował ją uspokoić, nie słuchając słów jego, mówiła dalej:

— Słuchaj, mistrzu! Ty wiesz, jak bardzo cię kocham, ty wszystkiem dla mnie jesteś!... A jednak cały mój ból i umęczenie z twojego znoszę powodu. Katusze, śmierci równe, przenoszę na myśl, iż nie będąc w zgodzie przekonań zjednoczeni, z chwilą zgonu wiekuisty rozdział nas czeka!... Dlaczego więc nie chcesz podzielać mej wiary?

Pascal starał się jeszcze przemówić do jej rozsądku.

— Dziecko moje drogie, szal i obłąd cię ogarnia, uspokój się, zastanów!..

Lecz Klotylda klęknęła przed nim i, pochwyciwszy jego ręce, ścisnęła gorączkowo. Tuląc się cała do niego, błagała głośno, namiętnie, rozpaczliwie, tak iż dokoła noc ciemna drgać się zdawała jej prośbą i żalem.

— Słuchaj — mówiła — on mówił dziś w kościele, że trzeba życie w pokutę zamienić. Trzeba zniszczyć i wytępić to, czem żyliśmy dotychczas, wyrzec się błędów. Spal swoje księgi, mistrzu, zniszcz rękopisma, notatki i zbiory swoje! Błagam cię, na klęczkach błagam, mistrzu, zrób to poświęcenie, złóż tę ofiarę! Ujrzysz wtedy, jaka rozkosz i szczęśliwość w tobie zagrości i jak stale zamieszkają one z nami!

Zniecierpliwił się nareszcie.

— Nie. Dość tego. Milez!

— Nie, mistrzu, nie zamilknę, ty mnie wysłuchasz, zrobisz to, o co prosiłem! Widzisz chyba, jak wielce je-

stem nieszczęśliwą, nawet kochając cię tak, jak kocham. Czegoś brakowało nam dotąd. Przywiązanie nasze wtedy dopiero pełnem i całkowitem się stanie, gdy dołączymy za wspólną zgodą uczucie wyższe, boskie i nieśmiertelne, które dotąd ja sama niezłomnie posiadając i w tobie rozbudzić dziś pragnę!... Czegóż nam innego, prócz Boga, łaknąć należy? Klęknij tu, przy mnie i módl się wraz ze mną!

Ruchem gwałtownym Pascal wyrwał się z objęć Klotyldy i gniewnie zawołał:

— Milcz, bo pleciesz bez sensu. Dałem ci wolność wierzenia, lecz i mnie wolnym pozostaw!...

— Mistrzu, mistrzu! nie psuj szczęścia naszego! Wiara moją uniosę cię wysoko! wysoko! Żyć będziemy wiecznie, tak jak dziś, samotni, tylko na łonie Boga samotni!

— Milcz, raz jeszcze powtarzam, milcz! i wiedz, że nigdy tam z tobą nie pójdę!

Przez chwilę stali naprzeciw siebie milczący, z pogroźką mierząc się oczyma wzajemnie. Soulejada cała jakby w mrok większy jeszcze zapadła, lekkie postacie drzew oliwnych, ciemne i wyniosłe sosny i jawory ponuro stały wokoło, a strumyk żałośnie sączył swe wody; niebo i gwiazdy pobladyły, chociaż jutrzeńka niezaraz jeszcze ukazać się miała.

Klotylda ruchem natchnionym podniosła rękę, jakby nieskończoność niebios ukazując. Rękę jej pochwycił szybko Pascal i silnie skierował w dół, ku ziemi. Słowa już nie rzekli do siebie, ulegając każde swojemu wzruszeniu. Wzrok ich tylko nieprzyjaźnie się krzyżował. Tym razem pogniwiali się na seryo.

W tem nagle Klotylda wyszarpnęła rękę, skoczyła w bok i, jak dumne, nieujęte zwierzę, pocwałowała ku domowi. Znikła prawie natychmiast w ciemnościach nocy i tylko odgłos jej kroków załupotał po kamieniach klepiska, potem kroki zaszeleściły po żwirowej ulicy parku, wreszcie umilkły. Smutek i żal wydarły błagalne nawoływanie z piersi Pascala. Lecz dziewczyna ani słyszeć, ani odpowiedzieć nie chciała. Rzucił się za nią w pogoń, lecz gdy się wydostał z jaworowego gaju, mignęła mu tylko we drzwiach wchodowych domu, których już dopadła. Rzucił się za nią, wpadł na schody do jej pokoju wiodące, lecz gdy stanął przed jej drzwiami i sięgał do klamki, by je otworzyć, posłyszał gwałtowne ich zaryglowanie wewnątrz. Wysiłkiem woli zdołał zapanować nad sobą i stał milczący, chociaż głos piersi mu rozrywał, chciał prosić, błagać, by wróciła i mówić z nim jeszcze zechciała, pragnął przekonać ją, uspokoić i do swoich własnych namówić poglądów. Stał tak nieruchomy i milezący przed drzwiami pokoju Klotyldy, z kąd najłżejsze nawet nie dochodziło technienie. Niezawodnie rzuciła się na łóżko i w poduszkach zanurzywszy głowę, łkanie swe tłumiała. Zeszedł wreszcie na dół, zamknął drzwi od sieni, wrócił następnie pod drzwi pokoju Klotyldy, obawiając się posłyszeć jęku; dzień już był na dobre, gdy sam, zboląły cierpieniem i dławiącymi go łzami, legł spocząć na łożu.

Od tej chwili wybuchła otwarta wojna. Pascal odczuwał, że jest śledzony, pilnowany i w pracach swych zagrożony. Dom przestał być jego domem, przeszedł

w posiadanie nieprzejednanie nieprzyjaznego żywiołu, grożącego mu wciąż tak dalece, iż wszystko na klucz teraz zamykał. Od czasu do czasu znajdował szczątki rozbitych flaszeczek ze świeżo przygotowaną substancją opalową. Zamykał się na klucz w swoim pokoju, całymi dniami miazdząc, filtrując i przygotowując swój eliksir uzdrawiający, często nawet nie schodził na dół o godzinach na posiłek wyznaczonych. Wychojąc na lekarskie wizyty nie brał z sobą Klotyldy, albowiem słowem, giestem, postacią całą siała zwątpienie w umysłach odwiedzanych chorych. Ilekroć wyjść musiał z domu, ogarniał go niepokój, śpieszył wrócić co rychlej, lękając się zastać oderwane zamki i papiery swe spalone. Kilka z pomiędzy notatek, oddanych Klotyldzie do przepisania, lub ułożenia, znikło bez śladu, przestał też Pascal zupełnie przywoływać ją do pomocy. Odbitek drukarskich nawet nie mógł jej do poprawienia powierzyć, spostrzegł bowiem, że wykreślała ustępy, nie licujące dostatecznie z katolicyzmem. Klotylda spędzała dnie w najzupełniejszej bezczynności, włączyła się z pokoju do pokoju, jakby wyczekując chwili dogodnej do pochwylenia klucza od wielkiej szafy dębowej, za skład główny papierów Pascala służącej. Posiadanie klucza stało się przedmiotem rozmyślań Klotyldy, popadła w stan gorączkowy dzięki temu życzeniu; oczy jej połyskiwały, ręce pałały; pragnęła osiąść ten klucz, uprzątnąć, papiery, zniszczyć, spalić, ku większej chwale boskiej. Pewnego razu, gdy Pascal wyszedł na chwilę, by ręce sobie obmyć, znikły pozostawione na stole dopiero co

zapisane arkusze i tylko szczypta popiołu świadczyła, w jaki sposób uległy zatracie. Innego dnia, wracając późno od chorego, przy którym się zasiadział, ujrzał doktor w kierunku Soulejady ciemne słupy dymu. Przestрах ogarnął nim wielki. Czyż Soulejada cała na spłoniecie, wraz z papierami, skazaną została?... Puścił się pędem ku domowi i uspokoił się tuż obok drzwi swoich zaledwie, przekonawszy się, że dym pochodzi z pola, na którym pnie wypalano i teraz właśnie tliły się one zwolna.

Trwoga i znużenie Pascala, zagrożonego utratą prac swych tyloletnich, wzrastały z dniem każdym. Wszak prace te i odkrycia słusznie stanowiły dumę jego całą, wszak to dzieci jego umysłu i krwi zarazem; niszcząc je i paląc, niszczone i palone go żywcem samego. Ciągłe się strzegł, unikał, odgadywał i uprzedzał zastawiane na niego zasadzki, a co dlań goryczą i męką było najśroźszą, to myśl, iż istota, czyhająca na odarcie go ze wszystkiego co najbardziej cenił, pierwsze w jego sercu zajmowała miejsce i rozstać się z nią nie widział możliwości. Rozbrojonym był i bezsilnym, skutkiem łączącego go z Klotyldą przywiązania, postanowił więc dalej strzedz się i czuwać. Czuł się obsaczonym w coraz ciasniejszym stanowisku; ginęły mu coraz to inne ważne papiery, takie, z którymi nie rozstawał się nigdy, utracił wreszcie spokój całkowicie, nie dowierzając już nawet zamkom, lękając się rabunku przez szpary w sprzętach istnieć mogące.

— Nieszczęsne dziecko moje — zawołał, zwracając

się raz do Klotyldy — ciebie tylko na świecie kocham a ty zabijasz mnie powoli, lecz bezustannie!... Wierzę, że ty również mnie kochasz i dokuczasz mi w ten sposób dlatego właśnie, że mnie kochasz, lecz doprowadziłaś nas oboje do tak nieznośnego położenia, iż lepiej kamień uwiążmy sobie u szyi i pójdźmy odpocząć na dnie wodnej głębiny...

Nie odpowiedziała nic, tylko po śmiechem spojrzeniu łatwo było odgadnąć, że śmierci nie lęka się wcale, byle z nim razem.

— Wyobraźmy sobie—ciągnął Pascal—że ja umieram tej nocy, cóż się dzieje nazajutrz?... Wypróżniłabyś szafy i szuflady a zebrawszy w jeden stos wielki książki i papiery, podpaliłabyś je z radością. Wszak takbyś uczyniła?... Czy ty wiesz, Klotyldo, że czyniąc tak, popełniłabyś zbrodnię równą zabiciu człowieka, lub gorszą jeszcze, podlejszą i nikczemniejszą zbrodnię — zabiłabyś myśl człowieka!

— Mylisz się, mistrzu, tępić złe i zapobiegać jego szerzeniu się i odradzaniu—nie jest zbrodnią!

Każda rozmowa kończyła się teraz sprzeczką. Czasami dochodziło do straszliwych kłótni. Stara pani Felicja Rougon nadeszła raz wieczorem w chwili takiej i gdy Klotylda uciekła zamknąć się u siebie w pokoju, Pascal pozostał sam na sam z matką. Zrazu milczeli. Mimo przybranej na twarz żałości, oczy Felicji błyszczały źle ukrytą radością.

— Ależ spokojny twój dom w piekło się teraz zamienił — z żywością zawołała po chwili.

Doktor machnął tylko ręką, unikając widocznie

wszelkiej odpowiedzi. Wiedział on bowiem dobrze o ile matka jego popychała Klotyldę do buntu przeciw niemu, posługując się w tym celu religijną zaciekłością dziewczyny. Nie łudził się na chwilę, jaką rzeczywiście była jej rola, wiedział, że przed kilku godzinami widziały się z sobą potajemnie i przypuszczał, że wizytę Felicji należy przypisać chęci osobistego przekonania się o skutkach jadu, którym umiejętnie zatrutowała życie ich obojga. Przyszła obejrzeć uczynione spustoszenia, by dalsze plany zniszczenia obmyśleć należycie.

— Dalej tak trwać nie może. Dlaczego lepiej nie pomyślicie o rozłączeniu się, skoro zgody między wami niema?... Odeślij Klotyldę bratu; nie dalej, jak parę dni temu, otrzymałam list, w którym Maksym gwałtem się o przyjazd siostry dopomina.

Pascal wstał pobladły, lecz pełnym energii głosem powiedział:

— Nigdy na to nie przystanę, byśmy mieli się rozłączać teraz, kiedy dzielą nas niesnaski. Rozjątrzona rana nigdyby już zabliznioną nie została. Jeżeli Klotylda zmuszoną będzie rozłączyć się ze mną, chcę, byśmy mogli kochać się nawet z daleka... Lecz dlaczego ona ma odjeżdżać? Nie skarżymy się na siebie i nie zwierzamy z tem przed nikim.

Felicja zrozumiała, iż zbyt szybko chciała ukończyć sprawę.

— Zapewne, zapewne, jeżeli bić się nawet zaczniecie, to i wtedy dobrze wam z tem będzie; tem lepiej, nikomu nic do tego... Pozwól tylko, mój kochany, że zdaniem

mojem, racya jest po stronie Klotyldy. Zmuszasz mnie do wyjawienia prawdy, chociaż przyrzekłam tajemnicę; otóż widziałam już dziś Klotyldę i dużo z nią mówiłam. Wiedz, że narzeka bardzo na los swój nieszczęśliwy, zbурczałam ją, jak należało, nakazując jej zupełne względem ciebie posłuszeństwo... Pomimo to, wyznaję, iż całkiem cię nie rozumiem, sądząc bowiem z pozorów, przypuszczaćby można, iż czynisz wszystko dla unieszczęśliwienia siebie i otaczających cię ludzi.

Usiadła teraz wygodnie, zmuszając niejako syna, by zajął miejsce opodal; rada była niezwykle z nadarzonej sposobności pochwycenia Pascala dla dowolnego znęcania się. Nieraz już usiłowała mieć z nim sam na sam rozmowę, lecz zawsze zdołał jej się wymknąć. Męczyła go ona latami całemi, Pascal wiedział i znał dokładnie wszystkie jej manewry, chciał wszakże i dotychczas pozostał z synowskimi oznakami szacunku. Nie chcąc ich nigdy przekroczyć, unikał starannie rozmowy z matką, zwłaszcza w pewnych kierunkach, zaciskał wtedy zęby i milczał uparcie.

— Rozumiem dobrze, mój drogi — ciągnęła dalej pani Felicya — iż nie wypada ci nawet czynić zbyt wiele ustępstw Klotyldzie, lecz czyż i mnie uczynić ich nie zechcesz?... A jeżeli i ja zacznę cię błagać, byś wydał mi swoje papiery, te wstrętne dokumenty familijne, które przechowujesz w tej oto szafie?! Przypuść na chwilę, iż umierasz śmiercią gwałtowną, papiery twoje wpadają wówczas w obce ręce a my wszyscy, cała nasza rodzina pozostaje odartą z czci i wia-

ry na zawsze.. Przecież nie do takiego celu podążasz? Więc do jakiego? Dlaczego obrałeś sobie tak niebezpieczną drogę?... Proszę cię, Pascalu, posłuchaj mnie i spal te szpargały!!...

Milczał, wreszcie wyrzekł powoli:

— Prosiłem cię nieraz, matko, byśmy nigdy nie wszczynali na ten temat rozmowy... To, czego żądasz, jest wprost niemożliwe.

— Niemożliwe! Dlaczego? Daj mi rozsądne ku temu racje! Przypuścićby można, iż cała rodzina nasza nie więcej cię obchodzi, jak to oto stado wołów, co tam widzisz zdaleka. Jednak wyprzeć się nas nie możesz... chociaż robisz, co możesz, aby trzymać się zdaleka od swoich i w niczem do nich nie być podobnym. Dążność twoja nie przestała mnie dotychczas dziwić i pytam się sama siebie, jak dawniej to czyniłam, gdy dzieckiem byłeś jeszcze, dlaczego tak różnym, tak odmiennym od nas jesteś? Żle, bardzo źle, względem nas postępujesz, nie cię dotychczas nie zdołało powstrzymać w energii, z jaką czernisz nas tak zawzięcie; nawet zmartwienie i ciężka zgryzota moja, zgryzota matki, podziałać na ciebie dotąd nie mogła... Kamienne masz serce, trwając w złem przeciw nam wszystkim.

Wyprowadzony z cierpliwości, Pascal, pomimo silnego postanowienia zachowania się w milczeniu, przemówił, gdyż oburzony był niesprawiedliwością czynionych mu zarzutów:

— Surowo mnie sądzisz, moja matko, a sądzisz tak, nie mając żadnej podstawy. Zawsze wierzyłem w potrzebę poznawania prawdy, bo ona jedna uzdrawiają-

co na wszelkie złe działa. Kierując swe życie podług tej zasady, mówiłem zawsze o sobie i o drugich tylko szczerą i zupełną prawdę; czyniłem to z głębokiego przekonania, iż tak a nie inaczej postępując, mogę stać się pożytecznym dla innych. Najpierw wiedz o tem, że dokumenty zebrane, a odnoszące się do naszej rodziny, nigdy drukowanemi nie będą, stanowią one pomocniczy materiał do prac moich osobistych i z żalem rozstałbym się z niemi. Powtóre, zdaje mi się, że nie tylko dokumenty familijne chcecie popalić, lecz także tyloletnią pracę moją w piec rzucić—wszak tak? Lecz na to nigdy nie zezwolę! Dopóki żyć będę, nie spłonie tu wiersz jeden z moich notat!

Powstrzymał się, żałując srodze, iż tyle już wypowiedział; Felicya natarczywie starała się go popychać do dalszej w tym kierunku rozmowy.

— Mów dalej, mów wszystko, co nam zarzucać się zdajesz! Tak, powiedz na przykład, co mnie, co swojej matce masz do zarzucenia? Chyba nie to, że wszelkich przykładam starań, by wychować dzieci jaknajlepiej. Było mi ciężko! Majątek łatwo zdobyć się nie daje! Jeżeli dziś mogą być tacy, którzy dobrobytu nam zazdroszczą, to niech spróbują lepiej sami, czy zdobyć go zdołają! Ponieważ zbierasz skrzętnie papiery, z rodziną naszą łączność mające, wiedzieć musisz dokładnie, jak liczni są ci, którzy wszystko dobro swoje nam w całości są wiuni. Więcej usług oddaliśmy, aniżeli przyjął zechcieli. Miasto Plassans bez nas po dwakroć runęłoby zapomniane, zubożone. Wiem, iż nawet w tem mieście, które wszystko nam zawdzięcza, znaj-

duje się wielu takich, którzy, nie uznając potrzeby wdzięczności, radośćby tylko odczuli, gdyby nowe klęski rodzinne spaść na nas miały... Radowanoby się wszelkiem błotem, byleby ono nas skalatło... Ty chyba do nich nie należysz i nie możesz przyznać mi jako sprawiedliwą zasługę, iż ciężar upadku cesarstwa znoszę z godnością, mimo brzemienia nieszczęść, jakie na Francję od chwili tej spadają i spadać nie przestaną...

— Pozostawmy Francję w spokoju, moja matko — odrzekł Pascal, dotknięty do żywego, jakkolwiek wiedział, iż pani Felicja umyślnie trąca w najczulszą stronę jego serca—Francya da sobie radę bez nas, żywotności swojej składa codzienne dowody, świat cały zadziwia, wracając szybko do równowagi i sił nowych, po strasznych katastrofach przebytych... Nie przeczę, iż wiele zgnilizny jeszcze ją toczy, lecz właśnie zgniliznę tę zbadać należy, by jaknajprędzej usuniętą być mogła. Jeżeli zaś kto mnie obwinia, że badam tę zgniliznę, bo wierzę, iż ona kiedykolwiek górę weźmie i do upadku nas przywiedzie, to ten nie rozumie celów, do których podążam. Wiara moja stanowi uznanie siły żywotnej. Odrąca ona wszystko, co chore, spaczone, szkodliwe, odnawia się i odradza bezustannie, pozostawiając w pochodzie swym ku zdrowiu, ku dobru rozkładające się nieczystości i trupy.

Spostrzegł Pascal, iż daje się unosić zapałowi, zły sam na siebie, otrząsnął się i zamilkł raptownie. Felicja postanowiła teraz łzami działać na niego i sączyły się z jej oczu drobne, z trudnością wydobyte kropelki, zasychające natychmiast. Mówiła o trapią-

cych jej stare lata zmartwieniach, błagając syna, by pojednał się z Bogiem, jeżeli już nie dla siebie, to dla dobra całej rodziny. Czyż nie znał jej życia? Wszak ono jest jednym pasmem poświęcenia dla swoich? Czyż całe miasto Plassans, nie wyłączając wszystkich jego dzielnic, tak starych, jak nowo wzniesionych przedmieść, nie oddaje sprawiedliwości zasługom jej, oraz szlachetnej, nieugiętej jej dumie? Czegoż ona żąda w nagrodę?... By dzieci jej przyłączyć się do niej chciały, tem samem, co ona, ożywione pragnieniem. Pascal jeden miałby stawiać jej opór w tym względzie? Przytoczyła fakta z życia syna swego, Eugeniusza, tego górnołotnego orła, spadłego z tak wysoka, czyż dziś nie zadawalnia się on bronieniem upadłego cesarstwa w podrzędnej roli deputowanego. Pochwaliła również i drugiego swego syna, pełnego niewyczerpanej energii Arystydesa, który, mimo niesłusznej katastrofy „Banku wszechświatowego“, nie upadł na duchu, wyostał się z gruzów upadłego nań gmachu i teraz na nowo przyszłość swą budować zaczyna. Pascal, jeden z jej synów, wiecznie trzyma się na uboczu! Nie więc nigdy nie uczyni, by stara matka umrzeć mogła w spokoju, dumna i radosna tryumfem Rougonów? Dlaczego? Przecież inteligencyi posiada poddostatkiem, dobrym jest nawet i czułym dla matki synem! To niepodobna, by upór swój wiecznie na pierwszym miał stawiać planie! Tak, zmieni swe postępowanie, niezawodnie zmieni; nie dalej, jak w niedzielę, pójdzie z nimi do kościoła a potem spali wszystkie nagromadzone papiery, o których myśl sama o chorobę matkę jego przyprawiał

I Felicya na przemiany błagała, rozkazywała, groziła. Pascal uspokoił się już zupełnie, stał z uszanowaniem, lecz milczący i niewzruszony. Nie odzywał się, by prędzej skończyć z matką niemłą rozmowę a znał ją zbyt dobrze, by móżd przypuszczać, że zdoła ją przekonać, przywołując choćby na pomoc fakta zaszłe w ich rodzinie.

— Ty nie nasz jesteś! — zakrzyknęła wreszcie gwałtownie, widząc niezłomną wolę Pascala. — Tak, ty nie nasz jesteś, zawsze to mówiłam. Hańbę nam przynosisz!

Na te słowa Pascal skłonił się głęboko i odrzekł:

— Zastanowisz się zczasem, moja matko, i nie wątpię, że zechcesz mi przebaczyć...

Pani Felicya wyszła z pokoju z wielką złością i ulżyła sobie dopiero, spotkawszy pod jaworami Marcynę; mówiła szybko i głośno, nie wiedząc, że każde jej słowo dobiega uszu Pascala, siedzącego teraz w swoim pokoju przy otwartem oknie. Wpadłszy w zapał, pani Felicya, składała sobie przysięgę, iż pomimo wszystko, papiery Pascala posiadać musi i posiadzie chociażby przemocą, kiedy dobrowolnie pozyskać ich nie może. Szczerego bólu doznał doktor, posłyszawszy odpowiedzi Marcyny. Przekonał się, że i ona do spisku należy; przyciszonym głosem uspakajała panią Felicję, mówiąc, iż nie trzeba zbytęcznym pośpiechem narażać się na niepewne, wszak z panienką poprzysięgły sobie, iż muszą panem o władnąć i ani na chwilę nie zapominając o uczynionej przysiędze, nie przestają pracować dla dopięcia zamierzonego celu. Tak, tak, przysięgły, że pojedną go z Bogiem, bo czyż podo-

bną, aby człowiek takiej, jak pan, dobroci, życie pędził zdala od kościoła i religii? Głosy rozmawiających w ten sposób kobiet przyciszać się zwolna poczęły, Pascala dolatywały już tylko oderwane wyrazy, dawanych przez Felicję rozkazów i poleceń, które wszystkie miały na celu przykrócenie osobistej jego wolności. Wreszcie pani Felicja odeszła a Pascal śledził oczyma za młodzieńczą postacią matki, która ruchem rzeźkim i lekkim oddalała się, pełna zadowolenienia z dnia dzisiejszego.

Pascal popadł w rozpacz i zwątpienie zupełne. Rzucił się na krzesło i nieruchomy oddał się myślom i smutkowi swemu, po cóż miał walczyć, stawiać opór, kiedy w zmowie przeciwko niemu były istoty, które sercem jego rządziły. Marcyna nawet, ta dobra Marcyna, której przywiązanie ślepem się być wydawało, zdradzała go teraz i to w przekonaniu, iż dla dobra jego tak czyni! A Klotylda! Iona, w zmowie zesłująca, ukradkiem przygotowywała sidła na niego! Jakże samotnym był teraz! Otaczała go zewsząd zdrada, powietrze nawet, którem oddychał, zatruchiwała zdrada! Te dwie kobiety kochały go przynajmniej, o! gdyby one same były tylko, wtedy ani wątpi, iż ułatwiłby się z nimi zdołał; od czasu wszakże, gdy spostrzegł; że matka nimi kieruje dowolnie, zwątpił, by kiedykolwiek odzyskać je mógł dla siebie. Z nieśmiałością, właściwą mężczyznom, przywykłym czas spędzać nad książką, lękał się; nie znał kobiet, myśl, że obecnie aż trzy poprzysięgły sobie zgnać jego wolę i zapanować nad nim wszechwładnie, obawą i bez-

silnością napawać się go zdawała. Czuł, iż bezustannie ktoś śledzi i podpatruje kroki i myśli jego, nawet zamknąwszy się u siebie w pokoju, domyślał się nieprzyjaznego obsaczenia ścian swoich czterech; myśl, że go prześladują, nie opuszczała go ani na chwilę, bał się czasami myśleć, przypuszczając, że nawet niesformułowane zdania pochwycić i ukraść mu są w stanie.

Przeżywał teraz najuieszcześliwsze chwile dotychczasowego swego życia. Upadał ze znużenia, zmuszony pozostawać w pozycyi obronnej; ziemia zdawała mu się usuwać z pod nóg w własnym jego domu. Począł żałować, że się nie ożenił, że nie ma własnego swego dziecka. Dlaczego tego nie uczynił? Czyż i on uląkł się obowiązków, jakie życie przynosi? czyż był egoistą? Zwłaszcza myśl o dziecku, które mógł być posiadać, do łez go rozrzewniała obecnie, z rozczeniem spoglądał na dziecińy, bawiące się w piasku na drodze, szczęśliwy, gdy oczkami jasnymi ku niemu rzuciwszy, uśmiech niewinny stały mu wesoło. Wprawdzie, posiadał on Klotyldę, lecz uczucie, które miał dla niej, zbyt gwałtownemi burzami było wstrząsane, nie była to miłość słodka i uspakajająca, której pożądało teraz zbolełe jego serce. Pragnął dziecka własnego, bo, prócz ukojenia, przyniosłoby mu ono pewność, iż nie zniknie on bez przekazania swej pamięci i życia potomkowi, dalszy ciąg jego samego stanowić mającemu. Im więcej cierpiał, tem wyraźniej pragnienie to uprzytomiać się zdawało. Pascal uważał się za wyrodzonego od swej rodzi-

ny a zatem wolnego od cech jej wadliwych; lecz nawet myśl, iż syn jego mógłby odziedziczyć wady pokoleń poprzednich, nie powstrzymywała go w tej chęci; znał dokładnie zgniliznę rodu swego, znał wstrętne w znacznej części postacie, w skład pokoleń wchodzące, pomimo wszystko pragnął syna, tak jak się pragnąć zwykło szczęścia wielkiego, niespodziewanie spadającego, by pociechę i radość na zawsze ludziom zapewnić. Teraz, gdy w uczuciach osób najbliższych, zawód spotkał go tak srogi, odżyła myśl o synie, którego tak gorąco pragnął, łączyła się ona z żalosnem uczuciem: czy nie pragnął go już zbyt późno?...

Ciężka, gorąca noc wrzesniowa spać Pascalowi dziś nie dozwalała. Otworzył okno w swoim pokoju, ciemność na dworze panowała wielka, zdala dochodził szum i łoskot burzy, pioruny biły jeden po drugim. Tak było ciemno, iż dostrzedz nawet nie mógł rosnących w pobliżu jaworów; oświetlała je częściowo co chwila przebiegająca uiebo błyskawica, wylaniając ponurą ich zieloność na tle otaczającej ciemności. Dusza Pascala znękana była bardzo; odświeżał sobie w myśli ostatnie niespokojne dni, pełne swarów, odkrycia nowych zdrad i podejrzeń, gdy w tem zadrzał na myśl, która ostrzem go przebiła. Lękając się o swe papiery, zwykł był nosić przy sobie klucz od wielkiej szafy dębowej. Lecz dziś, w czasie popołudniowego gorąca, zdjął dla ochłody marynarkę i przypomniał sobie teraz, że Klotylda powiesiła zdjęte ubranie na gwoździu. Z przerażeniem pomyślał, iż jeżeli poczuła klucz, znajdujący się w kieszeni, to zabrała go nie-

wątpliwie. Gorączkowo przetrząsnął kieszenie ubrania, leżącego teraz na krześle. Klucza nie był! Poczul wyraźnie, iż to jest chwila, w której go okradają z papierów. Wybiła właśnie godzina druga. Pascal, nie tracąc czasu na ubranie się całkowite, tak jak był, z rozpiętą nocną koszulą, w lekkich spodniach i pantoflach na gołe nałożonych nogi, szarpnął drzwiami i wpadł do sali ze świecą w rękę.

— Czułem, wiedziałem! — zakrzyczał — Złodziejkol Zbrodniarkol

I rzeczywiście, stała przed nim Klotylda, ledwie koszulą i krótką spódnicą odziana, z rękoma, szyją, ramionami obnażonemi, na gołe nogi ledwie nasunęła w pośpiechu płócienne patynki. Przez ostrożność nie zapaliła świecy, uchyliła tylko jedną z okiennic; burza, szalejąca coraz gwałtowniej po tej stronie nieba, Łyskawicami bezustannie rozrywając ciemności, oświecała złowrogiem światłem otaczające przedmioty. Stara szafa na rozcież była otwarta... Górna półka była już pusta, Klotylda, zgarniając z niej papiery, kładła je pośpiesznie i bezładnie na wielkim stole, pośrodku pokoju stojącym. Niektóre papiery związywała sznurkami w paczki, mając zamiar skryć je czempredzej, by następnie przesłać do babki; w tem, niespodzianie zaskoczona przez Pascala, zdrętwiała i stała wyczekująco, światłem świecy oblana.

— Okradasz mnie i zabijasz! — z furią powtórzył Pascal kilkakrotnie.

Obnażonemi do ramion rękoma tuliła do siebie tekę dopiero co z szafy wyjętą. Chciał wydrzeć ją z rąk

Klotyldy. Lecz siłą całą oparła się i trzymała, jakby broniąc myśli przewodniej zniszczenia papierów. Patrzała na Pascala śmiało, wyzywająco, jak ktoś, pewien sprawiedliwości czynów i praw swoich. Tego było zanadto. Pascal, zaślepiony gniewem, rzucił się na nią i bić ją począł szalenie.

— Zabij mnie! zabij! Bo inaczej podrę i spalę ci wszystko! — wołała przerywanym głosem Klotylda.

Lecz Pascal nie puszczał jej z rąk, gniotąc ją tak silnie, iż oddech prawie straciła.

— Gdy dziecko kradnie, karcieć je należy!

Kilka kropel krwi ukazało się na białej, atlasowej a teraz okaleczonej skórze Klotyldy, krew sączyła się z pod pachy i sływała po ślicznem okrągłym jej ramieniu. Po chwili Pascal puścił ją i podniósł z ziemi, rozbrojony ciężkim jej oddechem, który z trudnością dobywała z ugniecionej przez niego piersi. Rozbrojony był również jej dziewiczą i smukłą pięknoscą postaci, która drżała dziś pod jego brutalną siłą. Wyrwał jej wreszcie trzymaną wciąż tekę.

— Pomódz mi teraz musisz ułożyć wszystko na miejsce. Chodź tu zaraz i układaj w porządku właściwym porozrzucane na stole papiery. Nie waz się się nie posłuchać! Czy słyszysz?

— Tak, mistrzu...

Zbliżyła się i zaczęła mu pomagać, ujarzmioną i złamaną czuła się obecnie, brutalna przemoc męczyzny skrępowwała niewolniczo jej ciało. Świeca paliła się smukłym, wysoko drgającym płomieniem, zdala dochodził huk grzmotu i piorunów nieustających, otwar-

te okno sali zdawało się co chwila buchać jaskrawem światłem i ogniem złowrogim.

Przez chwilę Pascal patrzył na bezładnie rozrzucone teki i papiery, tworzące olbrzymi stos na wielkim stole, stojącym w pośrodku sali, która im za wspólną pracownię służyła. Nieostrożnie przeniesione z szafy teki popękały w niektórych miejscach a zawarte w nich papiery, listy, wycinki, ostemplowane dokumenty i notatki wysypywały się z niebieskich grubych kartonów.

Zabrał się do porządkowania tek i paczek, układając je podług nazwisk, wypisanych wielkimi literami na okładkach, gdy, wzdrygnąwszy się całym ciałem, przebudził, jakby z głębokiego zamyslenia. Obrócił twarz ku milczącej i bladej Klotyldzie, czekającej z gotowością na rozkazy i rzekł:

— Zakazałem ci czytać papierów, znajdujących się w tych tekach, wiem, żeś mnie posłuchała... Żądałem tego, nie chcąc, byś się rozczarować lub zgorszyć miała. Posiadasz wiele więcej od innych kobiet wiadomości, odnośnie do fizyologicznego ustroju naszego, nie skrywałem nic przed tobą, bo wszelka prawda, nawet w tym kierunku, tylko na wyjątkowe natury źle podziać może... Nie chciałem wszakże, byś zbyt wczesnie zapoznała się z całą nędzą natury ludzkiej. Oto powód, dlaczego nie chciałem, byś czytać miała szczegółową historję naszej rodziny, która jest historją wszystkich rodzin, ludzkości całej; wiele się w niej dobrego i wiele złego mieści, tuż obok siebie...

Zadumał się czas jakiś, jakby pragnąc powziąć stanowczą decyzję, wreszcie rzekł bez wahania:

— Skończyłaś lat dwadzieścia pięć, czas, byś wszystko wiedziała. Wreszcie życie nasze stało się wprost niemożliwym, zbyt siebie i mnie męczysz skutkiem majaczeń i porywów ku obłokom. Jakkolwiek wstrętną jest rzeczywistość, wolę ci ją wyjawić. Może świadomość o niej podziała na ciebie dość silnie, by przywieść cię do równowagi... Uporządkujemy razem rozrzucone przez ciebie papiery, przierzucimy je i przeczytamy niektóre, byś lekcję życia wzięła należytą!

Klotylda stała wciąż nieruchoma i milcząca.

Trzeba więcej światła—dodał.—Zapał jeszcze dwie świece.

Dla czynności, którą miał teraz spełnić, w celu uzdrowienia i uświadomienia Klotyldy, zdawało się Pascalowi, iż nigdy nie będzie dość światła; słońca i przenikających najgłębsze jary promieni jego zdawał się pożądać; przyniósł ze swego pokoju kilkoramiennie świeczniki i pozapalał wszystkie w nich świece. Pomimo jaskrawych płomieni jarzących się świec dokούła, ani Pascal, ani Klotylda, widzieć się nie zdawali bezładnie i zaledwie poprzykrywanych ciał swoich. Druga godzina po północy dawno już wybiła, lecz oni stracili pojęcie o czasie i miejscu, wiedzieli tylko, iż noc przepędzić muszą na poszukiwaniu w papierach, w pościgu za prawdą. Przez otwarte okno widniała szalejąca w powietrzu burza, lecz głos jej potężny, gdzieś z bardzo wysoka spływać się ku nim zdawał...

Oczy Pascala błyszczały gorączkowo. Od kilku tygodni pracował więcej, niż kiedykolwiek, chcąc zagłuszyć nurtujące go moralne cierpienie; skutkiem nadmiernego zmęczenia, postradał wesoły swój humor i często był nawet opryskliwy.

W obecnej chwili Klotylda widziała wyraźnie odbijającą się na twarzy jego dobroć i litość, z miłością braterską złączone. Zwykł być ulegać tym uczuciom zupełnie, ilekroć razy był zmuszony odśłaniać i badać bolesne prawdy życiowe. Nieograniczona pobłażliwość Pascala, wielkim zdawała się go czynić, usprawiedliwiając go również z przedsięwziętego teraz zamiaru odśłonięcia steku ohydnych faktów przed młodą, nieznaną życia dziewczyną. Postanowił powiedzieć wszystko, bo tylko prawdą złe wytępić można. Uprzymiennie jej oczom zachodzić mogące ewolucye, wykazać tę możliwość na członkach własnej rodziny, na co dowody posiadał niezbite. Czyż historia blizkich mu istot nie dostarcza wiernego obrazu życia takiego, jakim ono jest i jakie przeżyć zmuszeni jesteśmy? Tak, niezawodnie, Klotylda, poznawszy prawdę życia, nabierze energii i hartu wraz z uczuciem podobnej, jak u niego, bezgranicznej, pobłażliwej miłości braterskiej.

— Wejźź ciebie przeciwko mnie buntują, do wstrętnych popychając uczynków. Chcę przywrócić ci sumienie i zdrowy sąd o rzeczach. Zbliź się i czytaj wraz zemną. Gdy się dowiesz, osądzisz, jak ci nadał postępować należy.

Usłuchała. Lękała się wszakże wszystkich tych

papierów, o których tylokrotnie ze złością babka jej mówiła, lecz pobudzona ciekawość, górę brała nad wszystkim. Czuli się zwalczoną przez Pascala, poddawała się teraz jego przewadze, zachowując sobie jednakże prawo ostatecznego zawyrokowania.

Wysłuchać, co miał jej do powiedzenia, przeczytać z nim to, czego żądał, wszak nie znaczyło jeszcze zgodzić się z nim w poglądach? Jak postąpi później, nie wiedziała sama—czekała.

— Chcesz wszystko wiedzieć?

— Tak, mistrzu, chcę.

Pokazał jej najpierw drzewo genealogiczne rodziny Rongon-Macquartów. Arkusz z drzewem genealogicznym spoczywał zazwyczaj w szufladzie od biurka w pokoju Pascala, przyniósł go, poszedłszy tam po świeczniki. Od lat przeszło dwudziestu skrzętnie dopisywał urodziny i śmierci, zaszłe w rodzinie, notował przytem ważniejsze wydarzenia, charakteryzując w paru słowach cechy znamienne władz umysłowych tego lub innego członka rodziny, zawsze według teoryi prawa dziedziczności. Arkusz, na którym widniał rysunek symbolicznego drzewa, wielki był i poźółkły, zgięcia miał już od starości przetarte; z pnia głównego rozchodziły się najpierw gałęzie, które dzieliły się na pomniejszych odrośle, opatrzone liśćmi; każdy liść oznaczony był nazwiskiem i drobnem pismem skreśloną biografią.

Doktor rozwijał arkusz z dumą uczonego, który niestającą pracą zdołał zebrać w okresie lat dwudzie-

stu niezbite dowody, tłumaczące jasno i dowodzące trzeźwości, oraz prawdy stworzonej przez niego teoryi praw dziedziczności.

— Patrz pilnie, dziewczczko! Dość umiesz i dość nauczyłaś się, chociażby przepisując moje notatki, abyś łatwo wszystko zrozumieć była w stanie... Czyż nie podziwiasz całości tego dokumentu, w którym ani jednej nie znajdziesz luki? Przekonywający jest i jasny, jak rozwiązane na tablicy zadanie... Spód, pień główny a wszystkim gałęziom wspólny, stanowi ciotka Dida. Z pnia rodzinnego wyrosły trzy gałęzie, jedna prawa, w osobie Piotra Rougona, i dwie naturalne, to jest Urszula Macquart i Antoni Macquart. Gałęzie te rozdzielają się na inne pomniejsze, lecz coraz liczniejsze puszczające pędy; masz tutaj troje dzieci Saccarda, brat twój Maksym, ty sama i najmłodszy Wiktor; na tej samej, co wy linii, masz Anielę, córkę Sydonii Rougon. Dalej masz Paulinę, córkę Lizy Macquart, oraz Klaudyusza, Jakóba, Stefana i Annę, zrodzonych z Gerwezy. Brata ich, Jana, umieściłem na końcu. Widzisz to złączenie w pośrodku? Nazwałem je węzłem, skutkiem bowiem małżeństwa Marty Rougon z krewnym jej, Franciszkiem Mouretem, złączyła się linia prawa z linią naturalną, rozrodziwszy się w trzy gałęzie trojgiem ich dzieci a twoich kuzynów: Oktawa, Sergiusza i siostry ich, Dezyderyi Mouret. Z małżeństwa Urszuli, która wyszła za kapelusznika Moureta, urodził się Sylweryusz, który zmarł śmiercią tragiczną i gwałtowną, oraz Helena, mająca dziś córkę Joannę. Na samej górze widzisz najmłodsze

odnóżki rodu; jest tam nasz biedny Karol, syn twojego brata Maksyma, Jakób-Ludwik, syn Klaudyusza Lantier i Ludwiś, syn Anny Coupeau; ci dwaj zmarli w niemowlęctwie... A więc drzewo genealogiczne żyje, jak widzisz, jeszcze teraz w całości swych pięciu pokoleń, które na tym arkuszu zebrałem. Pięć razy odnowiło się, pięć razy nowem zakwitło życiem, puszczając coraz liczniejsze rozgałęzienia, dzięki niespożytej sile żywotnej!

Pascal, coraz silniej wzruszony i płonący, wskazywał teraz ciekawsze objawy prawa dziedziczności; położony arkusz z rysunkiem familijnego drzewa genealogicznego stał się już tylko posiłkującą tablicą anatomiczną.

— Mówię ci, że tu mieszczą się wszystkie dowody... Na poparcie prawa dziedziczności w prostej linii, z wyłącznem podobieństwem do jednego z rodziców, z przewagą po stronie matki, są: Sylweryusz, Liza, Dezyderya, Jakób, Ludwik, ty wreszcie sama, Klotyldo; z przewagą po stronie ojca: Sydenia, Franciszek, Gerweza, Oktawian i Jakób-Ludwik. Z trzech rodzajów mieszanego podobieństwa do rodziców, to jest częściami oderwanego, rozproszonego, wreszcie zlanego tak dalece, iż nową wytwarza całość, do pierwszej kategorii zaliczam: Urszulę, Arystydesa, Annę, Wiktorę; do drugiej: Maksyma, Sergiusza, Stefana; do trzeciej: Antoniego, Eugeniusza, Klaudyusza. Do znanych ci oddawna z prac moich trzech głównych rodzajów mieszanego podobieństwa do rodziców, musiałem dodać, z powodu Piotra i Pauliny, czwartą jeszcze kombina-

cyę, to jest podobieństwo równomierne. W poszczególnem ugrupowaniu podobieństw zachodzi nieskończenie wielka różnaitość. Dziecko, z podobieństwem do umysłu matki, przybiera fizycznie postać ojca, lub też na odwrót; miara podobieństwa moralnego lub fizycznego zawisła od przeróżnych i nieznaných nam okoliczności... Przejdźmy teraz do prawa dziedziczości podobieństwa pośredniego; jeden tylko w rodzinie naszej mamy przykład stwierdzający je, w osobie Oktawiusza Moureta, tak zadziwiająco przypominającego rysami twarzy i postacią—wuję swego, Eugeniusza Rougona. Jeden mam również tego przykład, popierający prawo dziedziczości wpływu pierwotnego—stanowi go Anna, córka Gerwezy i Coupeau, która, zwłaszcza będąc dzieckiem, niesłychanie była podobną do Lantiéra, pierwszego kochanka swej matki, naznaczonej piętnem jego niezatarcie... Najobfitsze bogactwo przykładów posiadam na udowodnienie prawa dziedziczości podobieństwa do przodków, chociażby o kilka pokoleń w tył; najpełniejsze w swej doskonałości typy stanowią Marta, Joanna i Karol, zadziwiająco wszyscy troje podobni do ciotki Didy, jakkolwiek trzema pokoleniami są od niej przedzieleni. Zachowane z tak daleka podobieństwo dziwi mnie niepomału, gdyż w atawizm nie wierzę; zdaje mi się bowiem, że ilość nowych elementów, które wraz z każdym małżeństwem przybywają, oraz różnaitość okoliczności i wpływów, zacierać muszą ustawicznie ślady podobieństwa bezwarunkowego, przywracając jednostkę wciąż bliżej i bliżej do typu ogólnego... Jako przykła-

dy nowotworów i odrębności zupełnej, mamy w rodzinie Helenę, Jana i Anielę. Cechy fizyczne i moralne ich rodziców, uległszy chemicznemu przetworzeniu w chwili poczęcia, wytworzyły typy nowe, nie wspólnego z ojcem lub matką niemające.

Na chwilę zapanowało milczenie. Klotylda słuchała przez cały czas z uwagą, chcąc dobrze wszystko zrozumieć. Pascal stał zapatrzony w rysunek genealogicznego drzewa rodziny, jakby pogrążony w zastanowieniu pytał i badał sam siebie, czy dość był bezstronnym i sprawiedliwym. Wreszcie zaczął mówić jakby sam do siebie:

— Tak, o ile możność dozwala, dowiedzionem to jest i na podstawie naukowej zbadane. Zapewne, trzeba było nie tylko członków rodziny tu zamieszczać, lecz i nowe, skutkiem małżeństw przybywające elementy, których wpływu nie uwzględniłem może dostatecznie. Kiedyś, zająłem się zestawieniem proporcji, matematycznie obliczających możność podobieństwa, przyjąwszy za punkt wyjścia połowiczne w dziecku przekazanie cech rodzicielskich, lecz cyframi przeprowadziwszy obliczenia z pokoleń, oddzielających ciotkę Didę od Karola, ujrzałem, iż tylko jedna dwunasta podobieństwa jest według teorii możliwą; pracę więc w tym kierunku zarzuciłem, uznając jej nedorzeczność. Od tego czasu począłem się ograniczać na wzmiance o zachodzących małżeństwach i nowych, skutkiem tego przybywających elementach... Ah, te nowo tworzyć się poczynają

jące nauki! Ileż pola pozostawiają one imaginacyi!... Wszystko opiera się w nich na hipotezach, które wygłaszając, uczoney zmienia się częstokroć w poetę! Hufiec takich poetów, wyprzedzając innych w swym pochodzie, staje się hufcem pionierów, nowe odkrywających krainy, poznanie których rozstrzygnie niejedno zbytawiłe dla nas zadanie. Niechże, uważając za naturalne swe siedlisko przestrzeń, zawartą pomiędzy prawdą już zdobytą a nieznanem i jeszcze niezbadanem, przygotowują grunt ku uprawie prawd, jaknajrychlej sprawdzić się mogących... Weźmy chociaż prawo dziedziczności, tę genezę rodów naszych i ludzkości całej, ten, kto ją zbadać zdoła ostatecznie, jakże wspaniały utworzy zarazem fresk, wyobrażający olbrzymią tragi-komedyę dziejów naszej rasy!

Oczy Pascala nieprzytomnemi stawać się poczęły a słowa, z ust płynące, poezją już tylko były. Po chwili spostrzegł się i otrząsnął z marzenia, zwróciwszy się ku leżącym na stole tekom, arkusz z drzewem genealogicznym na bok odłożył i rzekł:

— Wrócimy niebawem znów do niego; trzeba bowiem, byś mogła na niem śledzić wszystkich członków rodziny, o których opowiadać ci będę, zrozumiesz mnie łatwiej, tembardziej, że przy każdym nazwisku jest odnośna notatka... Będiesz mi teraz podawała teki w miarę wezwania; opowiem ci wszystko, co jest w nich zawarte i wtedy dopiero na półkę je znowu złożymy... Nie trzymając się porządku alfabetycznego, lecz ciągłości faktów, chcę je z tobą przejrzeć. Oddawna nawet chciałem w tym porządku teki

ułożyć... No, zaczynajmy, podaj mi karton z nazwiskiem ciotki Didy, bo od niej rozpocząć należy.

W tej chwili właśnie burza, która dotychczas zdaleka tylko łuną ognistą niebo zalewała, brzegiem swym Soulejadę objęła, puściwszy potoki deszczu na stare domostwo. Pascal i Klotylda zdawali się nie zważać na to bynajmniej, okno nawet zostawili otwarte. Nie słyszeli gromu piorunów, ani hałaśliwego szumu deszczowych strumieni, rozbijających się rześcicie o dach i kamienie. Podaną sobie tekę, z widniejącem na okładce nazwiskiem ciotki Didy, doktor przerzucał pilnie, wyjmując i czytając liczne papiery i dawne notatki.

— Podaj mi Piotra Rougon... Podaj mi Urszulę Macquart i Antoniego Macquart...

Milcząc, podawała Klotylda żądane teki, lecz w miarę, jak słuchała, serce jej coraz mocniej wzruszał niepokój. Teki przesuwaly się jedna za drugą, coraz to nowych przyczyniając jej wzruszeń zawartemi w nich dokumentami; przejrzone, wracały na półkę do wielkiej szafy dębowej.

Biorąc rzecz całą od początku, Pascal najpierw scharakteryzował Adelaidę Fouque, dzisiejszą ciotkę Dide. Ta matka rodu, rozprężone, nadwyrężone miała nerwy, panną jeszcze będąc. Dwom liniom dała ona początek: prawej—w osobie Piotra Rougona, naturalnej — dwojgiem nieprawych dzieci, Urszulę i Antonim Macquart. Tragiczna z zawiązku historia burżuazyjnego jej rodu zakrwawiła się jeszcze niemało na tle zaburzeń grudniowych, zamachem stanu 1851 r. w Plasons wywołanych.

W epoce tej Piotr Rougon wraz z żoną swą Felicją, podwaliny przyszłego swego powodzenia położyli, zyskując opinię miasta Plassans na korzyść nowo powstałej formy rządu. Wznoszącą się swą fortunę zbryzgali krwią Sylweryusza, co spowodowało ostateczną katastrofę umysłowego upadku zestarzałej już ciotki Didy. Zamknąć ją musiano w domu zdrowia w Tulettes, gdzie dotychczas pozostaje podobna widmu pokutującej przeszłości i wyczekiwania. Jak psiarnia zgłodniała, tak rzuciła się teraz rodzina jej na otwierające się przed nią pole połowu. Najpotężniej rozniecony apetyt zdobyczy ujawnił się w Eugeniuszu Rougonie; chęć posiadania władzy wykierowała go na męża najświetniej ród przedstawiającego; wzbili się na orła górnołotnego, odtrącającego z pogardą zyski materyalne, jeżeli władzy wraz z sobą nie niosły; kochał się we władzy dla władzy, podbił powoli Paryż, przybywszy tam wraz z innymi awanturnikami, chcącymi raz zrzucić dziurawe swe buty, dzięki pierwszej lepszej okazji; w pierwszych latach cesarstwa liczne ku temu były sposobności; Eugeniusz Rougon dostał się do ciała prawodawczego, następnie do senatu i prezydentury Rady stanu, objął tekę ministra, wciąż popierany przez coraz liczniejszych popleczników, którzy za okazywaną gorliwość, bojnje opłacać się kazali; zapłonawszy namiętnością dla pięknej Kloryndy, ożenił się z nią i znosił od niej nawet razy; zaparłszy się niezadługo wszystkiego dla ostatecznego zdobycia władzy, uzyskał ją i to nieograniczoną, za wice-cesarza uważany był powszechniel Ary-

stydes Saccard, odmienny, chociaż niemniej gwałtowny posiadał apetyt; pożądał on niższego gatunku rozkoszy, pożądał on złota, kobiet i zbytku; spadł zgłodzony na bruk paryzki, wraz z pierwszemi podmuchami, które miały tyle setek milionów w ruch codzienny zagarnąć; lekkie z początku podmuchy ku spekulacyom ludzi pchające, rozkiełznały się wkrótce w szalone wiry, rozrywające najpotężniejsze fortuny jednych, by drugim je podsunąć, paromiesięcznego okresu dość było, by zmiany takowe w czyn wprowadzić; drogą nieczystych spekulacyj zdobyte fortuny pryskały co chwila, pochłonięte zbytkiem do szału dochodzącym; porwany upojeniem takiego życia, Arystydes Saccard przed niczem się nie zawahał, by kolej używania jaknajrychlej w swoją skierować stronę; zaledwie ciało Anieli, pierwszej jego żony, zastygło a już sprzedał swe nazwisko za sto tysięcy franków, potrzebującej znaleźć męża pięknej Renie; potrzebą pieniędzy zaskoczony, zamknął oczy na kazirodny związek syna swego Maksyma z macochą; miłosny stosunek Maksyma z Reną nie zwracał niczyjej uwagi wśród orgii całym Paryżem władanej. W kilka lat później założył „Bank wszechświatowy“, potężną machinę do wyciskania milionów służyć mającą; tu rozpoczęła się świetna epoka życia Saccarda, niezwykłego Saccarda; wzniosł się nad poziom swój i pojawiwszy dziką, okrutną, lecz zarazem cywilizacyjną siłę pieniędzy, wydawał potyczki i bitwy coraz zawziętsze, zwyciężając i władając giełdą, aż wreszcie jak dla Napoleona po tryumfach pod Austerlitz, przyszedł pogrom

pod Waterloo—tak dla niego nadeszła katastrofa straszna, zasypująca ruiną całe gromady ofiar do nędzy ostatniej przez niego doprowadzonych; własnego swego syna, Wiktora, zbrodnicze instynkta posiadającego, puścił na wolę losu i niezawodnej haniebnej zguby; sam osobiście zawsze ze wszystkiego wywinąć się potrafił a los niesprawiedliwy udarował go jeszcze miłością takiej, jak zacna pani Karolina kobiety, wspaniałą dając mu nagrodę chyba za to, że tyle złego uczynić potrafił. Teraz z kolei mówić trzeba o niepokalanej lilii, która wśród takiej zgnilizny zrodzić się zdołała. Jest nią Aniela, córka Sydonii Rougon.

Sydonia, siostra Saccarda, używaną była zazwyczaj przez brata do załatwiania wszelkich podejrzanych sprawek, prócz tego na swoją rękę trudniła się tysiącami wstrętnymi rzemiosłami; otóż ta istota za sprawą nieznanego nawet sobie mężczyzny, poczęła i zrodziła nadziemskiej piękności Anielę, tę słynną hafciarkę ubrań kościelnych, która, wyszywając precudne wzory, marzyła o pięknym królewiczu; Aniela prędzej do świętych, które wyszywała na ornatach, podobną była, aniżeli do zwykle spotykanych jej rówieśnic; łaskę uprosiła sobie taką, iż zmarła z miłości w dzień swego ślubu; dusza uleciała przy pierwszym pocałunku Felicjana de Hautecoeur; uniosły ją fale rozkołysanych dzwonów kościelnych, przy odbytej o królewskim przepychu uroczystości ślubnej w gotyckiej katedrze...

Tu przypada oznaczony na drzewie genealogicz-

nem węzeł, łączący linię prawą z linią naturalną. Spowodowało go małżeństwo Marty Rougon z Franciszkiem Mouret; spokojne ich życie powoli ku gorszemu się chyliło; aż wreszcie zmarniało całkowicie; ofiarą padła Marta, zgnieciona i przywalona przeciwnymi swej naturze okolicznościami; troje dzieci, które miała, prawie jej wydarto; serce swe utraciła rozszarpane brutalną dłońią księdza Faujas, podczas gdy rodzina Rougonów powtórne wybawienie miastu Plassans przygotowała; Martę konała, gdy zaświeciła łuna pożaru wznieconego przez szaleństwo i nienawiść jej męża, który wraz z księdzem zginął w płomieniach i gruzach własnego kiedyś domu. Z trojga pozostałych dzieci, wyróżnia się Oktaw Mouret, śmiały zdobywca Paryża, kobietami chętnie posługiwac się lubiący; umysł posiada on trzeźwy a wpadłszy w zgniliznę burżuazyjną po szyję, postanowił zyskami opłacić sobie kał, w którym nurzać się był zmuszony; do przesytu nadużywszy uciech zmysłowych, wyratować się i po części oczyścić zdołał pracą, do której nietylko zdolności, lecz i zamiłowanie posiadał; dzięki tej pracy, wznosił się wyżej nad świat gwałtownie poczynający się rozkładać, który go otaczał, ocalenie swoje tylko pracy zawdzięczając. Oktaw Mouret zmienił warunki dotychczasowego handlu w sklepach bławatnych; jak zwycięzca niepomnie kroczył naprzód po trupach drobnych kupców, ścielących się na jego drodze, by zatknąć wreszcie sztandar tryumfu na szczycie pałacu pokusy; olbrzymi gmach tego pałacu przepełniały

światło, lustra, koronki, aksamity i jedwabie, pociągająco wabiąc ku sobie kobiety; on, sprzedając im te przedmioty zbytku, zyskiwał na nich królewskie bogactwo; miał uśmiech i pogardę dla kobiet do chwili, w której jakby zemsta za inne stanęła przed nim skromna i pełna rozsądku Dyoniza, co zawładnęła nim i rzuciła go do stóp swoich, znękanego bólem i błagającego o litość; uboga dziewczyna łaską wreszcie swoją obdarzyła tego pogromcę kobiet i potężnego bogacza, zgodziła się być jego żoną i podzielić panowanie nad złotodajnym pałacem zbytku.

Rodzeństwo Oktawa stanowił Sergiusz i Dezyderya, zdrowa, lecz słaba umysłowo dziewczyna. Wydelikacyonnych nerwów i mistycznej natury Sergiusz, wstąpił do stanu duchownego, lecz wśród cudnych ogrodów i kwiatów zapuszczonego Paradou, wznowił legendę rajskiej szczęśliwości Adama, pokochawszy Albine; odżył pod wpływem szczęścia, spływającego z posiadania kochanki, posiadał ją na łonie natury, lecz wkrótce na zawsze utracił; kościół odzyskał Sergiusza na nowo, z chwilą, gdy przewodnicząc jako kapłan na pogrzebie Albiny, rzucił na trumnę zmarłej pierwszą garść ziemi; podczas gdy Sergiusz oddał się znów kościołowi, wiecznie walczącemu przeciwko życiu na korzyść śmierci, siostra jego, Dezyderya, miłością braterską zwierzęta miłująca, radowała się sercem całym z rozrastającego się dobytku stworzeń domowych, wśród gospodarskiego podwórka plebanii. Zdała nieco od reszty rodziny, słodko, niespodziewając się tragicznego ciosu, który miał spaść na nią znie-

nacka, żyła Helena Mouret z córeczką swą Joanną; zamieszkiwały w Paryżu, w części miasta zwanej Passy a wysokość miejscowego gruntu dozwalała im objąć okiem panoramę stolicy; jak bezbrzeżny i niezgłębiany ocean ludzki, stał się Paryż od podnóża wzgórzka poczynając; tu na wzgórzach Passy miała się rozwinąć i zmarnieć karta miłosna w życiu Heleny; szal namiętności rozbudził w niej nieznaną dotąd doktor, naprędce zawołany wśród nocy do nagle zaśląbłej jej córki; instynktem przedwcześnie rozwiniętego dziecka, odgadła Joanna tajemnicę matkę i chorobliwa zazdrość zapanowała w jej sercu; zmarła ze zbytku zmartwienia, srogo karząc tym sposobem Helenę za jedyną w życiu godzinę zapomnienia; dziś Joanna spoczywa w grobie na cichym cmentarzu w Passy, w cieniu milczących cyprysów; naprzeciw Paryż zdaje się piętrzyć i potężnymi falami zmierzać ku wysokim murom ostatniego legowiska zmarłych. Wraz z Lizą Macquart, rozpoczyna się linia naturalna, silna i zdrowa jak sama Liza, żona wędliniarza Guenu. Uosabniać się ona zdaje powodzenie i zadowolenie wpływające z dobrze odżywianego żołądka, zwła szcza gdy stoi na progu swego sklepu, strojna w jasny fartuch i spogląda z uśmiechem ku pobliskim halom głównym, gdzie naród cały zwykł głód swój zaspakajać, gdzie toczy się odwieczna walka pomiędzy tłustymi i chudymi; jakże inny, różny od niej jest Florentyn, brat jej męża; sama jego chudość wstrętnym go czyni dla wszystkich dobrze zazwyczaj sadłem porośłych przekupek na halach; nieskazitelnej

uczciwości, lecz i srogiej surowości, tłusta Liza pała też względem chudego Florentyna nienawiścią; kazała go nawet aresztować, jako republikanina, pewną będąc, iż odda usługę wielką wszystkim ludziom tłustym, uczciwie przedewszystkiem zajętem pilnem badaniem trawienia pełnych swych żołądków. Z matki tej urodziła się zdrowa, rozsądna, życie i ludzi miłująca Paulina; mimo swej dziewiczości, znała życie dobrze i godziła się na takie, jakim ono było; miłość bliźnich posuwała do krańcowości, narzeczonego swego, huzara, ustąpiła przyjaciółce, chociaż wszystko się w niej wzburzyło i do życia rwało; z boleści jej wyrosłe małżeństwo przestało żyć z sobą w zgodzie, Paulina zaopiekowała się ich dzieckiem, jakby matką rodzoną była; poświęcała się zawsze dla dobra innych, dzięki czemu, chociaż samotna i majątkowo zrujnowana, tchnęła wesołością; żyjąc w oddalonej wiosce rybackiej, tuż przy nieskończenie wielkiem morzu, dobrze jej było wśród biednego ludu cierpiącego niedostatek, wyjącego z bólu a śmierci wszakże wzdragającego się poddać.

A teraz mamy Gerwezę z czworgiem dzieci. Ładna, choć krzywonoga Gerweza pracowitą była z natury i gdy porzuconą została na bruk przez kochanka swego Lantiera, wkrótce wyszła za mąż, za również jak ona pracowitego robotnika Coupeau; najszcześliwsze rozpoczęły się dla niej chwile; mąż pracował i oszczędzał, ona ze swej strony jako praczka, mająca swój sklepik i trzy w nim pomocnice, czyniła to samo; wkrótce

wszystko się zmieniło, ulegli złym wpływom, mąż się rozpił bez upamiętania, na śmierć; ona powoli zleniwiała; zepsuła się ostatecznie, gdy niespodzianie przybył Lantier i wraz z niemi zamieszkał; coraz niżej zstępując po tej drodze, padła wreszcie Gerweza z głodu na bruk, jak padać zwykła ofiara okrutnej, bezlitosnej nędzy. Najstarszy jej syn, Klaudyusz, był malarzem o genialnych pomysłach i poczuciu, lecz brakło mu umiejętności i możności ich wykonania; nosząc w sobie arcydzieła, wydać ich z siebie nigdy nie był zdolny, cierpiał jak potępieniec, znając i widząc niemoc swoją; dla stworzenia dzieła, ukrzyżować by się dał chętnie; goniąc wciąż za niedościgłym urzeczywistnieniem i oddaniem tego, co czuł i w sobie widział, poświęcił żonę swoją, dobrą i kochającą go i kiedyś tak kochaną przez niego Krystynę; ogarnięty żądzą utrwalenia na płótnie ideału formy niewieściej, zawsze niezadowolony i przeklinający nieudolne swe próby, przestał wierzyć w siebie i z rozpaczem powiesił się przy nieukończonym a tylokrotnie rozpoczynanym obrazie... Jakób, drugi syn Gerwezy, zbrodnicze nosił w sobie żądze; prawem dziedziczności, posiadane przez niego wady złączone, zamieniły się w krwiożercze instynkty, marzył o krwi sączącej się po białych piersiach młodej a przez niego zabitej kobiety.

Walczyć z sobą niejednokrotnie był zmuszony, by w czyn nie wprowadzić tej niepokojącej go bezustannie myśli; pragnął rzucić się i zabić bez innej przyczyny jak samo zabicie; rzucić się chciał niejednokrot-

nie na nieznaną, przechodzącą ulicą kobiety a później w czasie miłosnych swych stosunków z Seweryną, ileż razy opanowywać się gwałtem był zmuszony, by namiętej i zmysłowej swej kochanki w tenże sposób nie zgładzić; mimo oporu, jaki stawiał swej żądzy, uległ jej z wściekłością i zadowolił się w całości, topiąc nóż w białych piersiach Seweryny, według pielęgowanego i wywoływanego nieraz widzenia; zwierzęca, niepohamowana, dzika natura Jakóba lubowała się wśród maszyn parowych, ruchami których rozporządzał, wśród huku pociągów kolejowych, przecinających przestrzeń z szybkością nadzwyczajną; swoją maszynę kochał z czułością, za udką ją prawie uważając istotę, zgmiotła go ona swym ciężarem a sama sobie pozostawiona, bez steru, puściła się na oślep, szerząc zniszczenie i znikła bezpowrotnie na skraju horyzontu... Stefan, brat młodszy Klaudyusza i Jakóba, zewsząd odpychany, zgłodzony, oparł się nareszcie w posępnej krainie węgla kamiennego; spuszczał się z innymi do złowrogich studni, kochał tęskną Katarzynę, którą mu wydarł brutalny kolega, żył w brudnej ciasnocie nędznego nad wyraz wszelki żywota tych ludzi, aż wreszcie głód zupełny pchnął ich do buntu; przebiegał wraz z nimi ponure płaszczyny, wołając chleba, niszcząc i paląc w obawie bezustannej przed wieścią samą o żołnierzach nadchodzących dla uspokojenia okolicy; karabiny żołnierzy same się zdawały kierować ku nieszczęsnym, chleba spragnionym; groza mogących się jeszcze w ten sposób rozstrzygać krzywd ludzkich — znamie-

niem stawała się widocznem końca zepsutego naszego ustroju społecznego; krew takich zabitych jak Maheu, pomścić się musi za popełnione zbrodnie; dzieci jego śmiercią głodową lub w kopalniach, jak Katarzyna, pomarły; pozostała tylko stara żona, by płakać po zmarłych było komu; spuszczała się teraz w głąb szybów i nędznym zarobkiem biedne swe ciało żywiła. Stefan, przywódca nieudanego buntu, roił już o przyszłych, lepiej obmyślanych planach; z wiosną opuścił okolicę, pchany żądzą zbadania, czy kiełkująca ze wsząd natura nie popełnie świata całego ku odnowieniu, czy dosłyszalne dla jego ucha zapowiadające nową erę odgłosy nie wzbiły się w moc dostateczną, by w siłę twórczą świata przyszłego się zamienić. Nana, córka Gerwezy, ona tylko pomstę jedyną chociaż nieświadomą spełnić za swoich mogła; jak złota muszka na śmietnikach cuchnących, nędznych przedmieści zrodzona, uleciała w dal, niosąc zarazę zepsucia żywiołów, z których powstała i wśród których wzrosła; fermenty rozkładu poniosła na wdzięcznych swych skrzydłach ku pałacom możnych i bogatych, gdzie jad i trucizna szerzyć poczynały zniszczenie; niosła z sobą śmierć lub ruinę, niosła je bezwiednie, lecz nieubłaganie; zginął w własnoręcznie podnieconych płomieniach zrujnowany przez nią Vandeuvres; melancholią tknięty Foucarmont napróżno szukał spokoju, żeglując po morzach Chin i Japonii; do nicości wraz z utratą majątku doszedł potentat finansowy Steiner; resztę rozumu postradał La Faloise; marnie zginął Maffat, a młodzieńczy trup Jerzego strzeżony

przez brata swego Filipa, ledwie co wypuszczonego z więzienia, gdzie przez nią się dostał, czyż nie dopełniał wielkiego pocztu ofiar z jednej padających ręki? Sama wreszcie padła ofiarą zakaźnej atmosfery, która ją otaczała, zmarła w opuszczeniu, jęcząc nad utratę piękności, którą jej ospa czarna w parę chwil wydarła; syn jej, Ludwiczek, poprzedził śmierć matki; podczas gdy wiła się w bólach zgonu w jednym z hoteli bulwarów, krzyki bezładne i wrzaskliwe napełniały ulicę; szalem upojenia i zdenerwowania dotknięty naród, żądał wojny, która zagładę rządzącym przynieść miał! Pozostał jeszcze Jan, z robotnika miejskiego i przykładowego żołnierza, stał się dziś powtórnie chłopem i zagon ziemi potem swym codziennie skrapiał; ciężko mu było w pierwszych chwilach na roli; nie znał wieśniaczej chciwości i żądzy posiadania ziemi, która życie ich stanowić się wydaje; spotkał liczne tego przykłady; rodzina Fouan ustępująca kawałka pola jakby kawałka ciała własnego, rodzina Buteaux dopuszczająca się ojcobójstwa dla szybszego zagarnięcia szmatu łąki, żona jego, Franciszka, zmarła od zadanego jej podstępnie cięcia sierpem, lecz uparcie na łożu śmierci milcząca, by tych, którzy śmierć jej zadali a byli rodziną, z kawałka ziemi nie ogołocić; proste te dramaty w jego rozgrywające się w oczach—kochać i czcić ziemię go nauczyły; sama dzikość przywiązania, którą ziemia wznieca, przywiązania wyższego nad zbrodnię, oczyszcza ją od plugaństwa i ohydy, jaką ludzie na niej szerzą, wobec ludzkiej nicości pozostaje nieśmiertelną, matką rodziciel-

ką, z której wszystko powstaje i powraca, jest źródłem przetwarzającego się wciąż życia w celach nam nieznanach. Jan właśnie owdowiał, gdy wybuchła wojna; bez wahania zaciągnął się ponownie w szereg, przynosząc z sobą zdobytą przy pracy rolnej wytrwałość i świeżość poglądów; Jan stał się tym rzadkim żołnierzem, który umie zachować spokój wśród grozy pogromu; miotany burzą nad krajem szalejącą, przetrwał klęskę Sedanu, unicestwiającą wreszcie cesarstwo we Francyi; mimo obawy o kraj rodzinny, wytrwał w spokoju i niewzruszonej wierze w przyszłość pogodniejszą, pokochał braterską miłością kolegę swego Maurycego, jakkolwiek tak różnymi byli od siebie, o nerwach rozprężonych zepsuciem, Maurycy był synem tej burżuazji, która paść najpierw musi ofiarą własnego zaślepienia; krwawemi łzami zalewać się przyszło Janowi, gdy los go wyznaczył na narzędzie zagłady tego, którego tak gorąco ukochał; cały czas wojny składał się z szeregu nieszczęść i bitew wciąż przegrywanych; gorsze jeszcze nastąpiły chwile, wybuchła klęska wojny domowej; ojczyzna utraciła część siebie na wschodzie, miliardy trzeba było znaleźć i nieprzyjacielowi zapłacić; gdy wszystko się to stało, Jan wrócił na rolę, do ziemi, która nań czekała i wziął się do pracy tem usilniej, im więcej czuł jak wszystko przemienić i odbudować na nowo dla dobra Francyi jest koniecznem...

Pascal przestał mówić, wszystkie już teki przejrzał wraz z Klotyldą, ukłasyfikowane spoczywały obecnie na wyznaczonej im półce. Myśli i faktów tyle poruszywszy, upadał ze znużenia, temu mu zabrakło skut-

kiem przedłużonego niezwykle opowiadania; słuchająca go wciąż w milczeniu Klotylda ubezwładnioną się czuła ogromem i siłą ujawniających się tak nagle przed jej umysłem przejawów życiowych; czekała nieporuszona, niezdolna wyrzec słowa a tem więcej sądu o posłyszanych wypadkach. Burza huczała wciąż wśród czarnej nocy a deszcz potokami zalewał ziemię. Grom piorunu rozległ się gdzieś blisko, druzgocząc drzewa nieopodal rosnące. Płomienie świec zachwiały się przez podmuch nagły wiatru, który wpadł przez otwarte okno.

— Ah! — rzekł, ukazując teki — życie całe świata mieszczą one w sobie, bo takim ono jest, gdy pochwyć je zdolamy na gorącym uczynku przejawień. Tak, historia naszej rodziny posłużyć może nauce za dokument z życia zaczerpnięty; nauka pragnie oznaczyć z matematyczną ścisłością prawa ustroju naszego, objawy zależne od nerwów lub naczyń krwionośnych, oraz dławczego sątakiemi w danej rasie, od jakich zależne są przyczyni o ile pierwsze zboczenie zaszkłe w organizmie wpływa z uwzględnieniem okoliczności, na takie lub inne objawy indywidualne członków tej rasy, na ich uczucia, dążności, żądze, na wszystkie skłonności ludziom właściwe, skłonności naturalne lub instynktem spowodowane, a które nazywam pojedynczo: wadą lub przymiotem. Historia naszej rodziny jest zarazem dokumentem historycznym, opowiada bowiem dzieje drugiego cesarstwa, począwszy od zamachu stanu 1851 roku aż do Sedanu; członkowie naszej rodziny, jakkolwiek wyszli z ludu, lecz rozsypać

się zdołali po wszystkich warstwach społeczeństwa, posiadając całą możliwą różnorodność urzędów i zajęć; uniesieni żądzą bogatej zdobyczy, żądzą na dobre i tak ogólną, pędzili ku niej jakby smagani biczem używania i rozpusty, które osiągnąć dla siebie pożądają gmin, chociażby dążąc do tego celu po trupie teraźniejszego ustroju społecznego... Pierwotnym siedliskiem naszej rodziny jest Plassans i, jak widzisz, jesteśmy jeszcze w Plassans...

Przerwał swe słowa, by po chwili mówić wolniej, jakby pod wrażeniem snujących się marzeń.

— Ileż w tem wszystkiem poruszonych jest faktów, ile miłych, ile strasznych wydarzeń, ile radości i smutków zwikłałych!... Obok historycznych wypadków— jak we krwi powstałe drugie cesarstwo, spragnione używania i samowładnej potęgi, podbijające miasta odporne a następnie powoli, zgnilizną zakażone, gasnące we krwi, w morzu krwi tak olbrzymiem, iż wezbraniem jego naród zaledwie pochłonięty nie został—otóż obok tych wypadków mamy poglądy na ustrój ekonomiczno-społeczny a więc na wielki i drobny przemysł i handel, na prostytucyę, zbrodnię, znaczenie potęgi kapitalistycznej, rolnictwo i ziemię, burżuazyę, lud, tak na ten który marnieje w cuchnących chlewach brudnych zaułków wiejskich, jak i na ten, który dąży już do wyzwolenia, świadomy swej siły a objawiać ją poczynający w wielkich centrach przemysłowych, który stanowi zwarte szeregi przyszłych zwycięzców, noszących dziś w sobie płód wieku przyszłego... Historia naszej rodziny ileż jeszcze mieści w sobie ciekawych stu-

dyów nad pojedynczymi ludźmi, ile wzruszających kart miłosnych, walki umysłów i serc przeciw niesprawiedliwej naturze, ile wypadków pod złe obliczonym brzemieniem... słyhać tam jeszcze odgłosy poświęcenia i dobroci, zwycięstwa i bólu. Mamy jeszcze skarby fantazyi, uniesienia wyobraźni po za obręby rzeczywistości błędzące wśród ogrodów wiecznie kwitnących, po katedrach gotyckich o misternie rzeźbionych ścianach i wieżycach, legendy cudowne jakby prosto z raju spadłe, miłosne uczucia idealne, wraz z pocałunkiem ku niebu na zawsze uniesione i rozwiane... Wszystko, tak wszystko w historii rodu naszego mieścić się zdaje, uczynki i uczucia doskonałe i najgorsze, poziome i wzniosłe, kwiaty i błoto, łzy i śmiech, cały potok życia w nieskończoność ludzkość unoszący...

Ująwszy na nowo arkusz z drzewem genealogicznym rodziny, Pascal rozłożył go na stole i palcem wskazywać na nim począł nazwiska dotychczas żyjących członków rodziny. Eugeniusz Rougon, dawny pan wszechwładny, dziś, jako deputowany, zasiada w izbie, świadkiem i obrońcą będąc zarazem upadłej monarchii drugiego cesarstwa. Arystydes Saccard wyrzucił się z ukrycia w przemienionej postaci, dziś jako republikanin stanął na czele dziennika z gotowością rzucić się znowu i czyhający na zdobycie nowych milionów, podczas gdy syn jego, Maksym, życie pędzi zbytłowne lecz ciche, w poszanowaniu nadwyreżonego rozpustą zdrowia, w pięknym swym pałacyku przy Avenue du Bois de Boulogne; drugi syn Saccarda,

o zbrodniczych skłonnościach, Wiktor, niewiadomo gdzie się znajduje i jaki cień zbrodni chronić go może przed łańcuchem więziennym; przyszłość to wykaże gdy głowę jego katu na wymiar sprawiedliwości dostarczy, tymczasem szaleć on musi po świecie jak wściekłą dotkniętą bydłą, plugawiąc zakaźną swą pianą wszystko co napotka. Sydonia, sprzykrzywszy sobie dalsze zarobki w podejrzanych rzemiosłach, uciąławszy sobie na życie spokojne, osiadła w rodzaju klasztoru; odznacza się wielką surowością obyczajów i pełni funkcję kasyerki Towarzystwa, mającego za cel wydawanie za mąż zbłąkanych owieczek... Oktaw Mouret zawsze jest właścicielem potężnie bogatego i rozrosłego magazynu „Au Bonheur des dames“; majątek jego wzrasta z dniem każdym, a pod koniec zimy roku bieżącego urodziło mu się drugie dziecko; żony swej, Dyonizy Baudu, kochać dotąd nie przestał, zwraca już wszakże uwagę i w stronę innych kobiet. Sergiusz Mouret siedzi w swej plebanii w Saint Eutrope, nigdy nie chciał zmienić probostwa, chociaż mu biskup inne, daleko korzystniejsze ofiarowywał; woli pozostać w bagnistej dolinie i żyć jak święty w ubóstwie, oczekując śmierci, która niezadługo przyjdzie go wybawić; ma bowiem suchoty, a leczyć się nie chce i żyje po klasztornemu w towarzystwie siostry swej, Dezyderyi.

Helena Mouret wyszła za mąż powtórnie, mąż jej pan Rambaud, ubóstwiać jej nie przestaje, osiedlili się na wsi nad morzem, w pobliżu Marsylii. Paulina Quenu mieszka wciąż w Bonneville, na drugim krańcu

Francyi, tuż nad Oceanem; jedynym jej towarzyszem od czasu śmierci wuja Chateau jest mały Paweł, syn jej kuzyna Łazarza; wychowaniu chłopca cała oddana, postanowiła nie wyjść za nikogo za mąż; Łazarz zaś, pozostawszy wdowcem, wyjechał do Ameryki w chęci zdobycia fortuny. Stefan Lantier po nieudanej zmowie robotników w Montsou, wrócił do Paryża; zamieszany do komuny, odznaczył się jako zapalony jej obrońca; po uśmierzeniu komuny i wejściu wojsk wersalskich do stolicy, Stefan został ujęty i na śmierć skazany; uzyskał ułaskawienie, zesłano go do Nowej Kaledonii na osiedlenie, gdzie też dotychczas przebywa; dochodziły pogłoski, że się tam ożenił, że ma dziecko, lecz chłopca, czy dziewczynę?—na pewno wiedzieć nie można. Po ukończonej wojnie, po rzezi majowego krwawego tygodnia, Jan Macquart opuścił szeregi i wrócił na rolę; osiedlił się w Valqueyras, niedaleko Plassans, gdzie ożenił się wkrótce ze zdrową, tęgą jedynaczką bogatego chłopca; gospodaruje wraz z teściem a żona jego, Melania Vial, urodziła mu chłopca w maju, teraz zaś od paru miesięcy jest w ciąży; należy ona do niezwykłą płodnością obdarzonych kobiet, niemających czasu dzieci swych odkarmić.

— Wypadek to w naszej rodzinie wyjątkowy, zauważył Pascal półgłosem; rasy niektóre wyrodnieją, zanikają. Następuje to skutkiem zbyt wielkiego wyczerpania sił żywotnych, tego właśnie mamy przykład we własnej naszej rodzinie, która zbyt nim oddawszy się nadużyciom, przesytem ich wycieńczoną ry-

chło została. Ludwiczek, syn Nany, zmarł jeszcze w kolebce, niedołążny Jakób-Ludwik zmarł na chorobę nerwową; Wiktor wrócił do stanu dzikości czasów pierwotnych i jak zwierz dziki czyha w zasadzce na upolowanie zdobyczy; nasz biedny Karol tak piękny, lecz tak pod każdym względem wątpy—oto ostatnie latorośle naszego drzewa genealogicznego, latorośle mizerne, po których soki żywotne starych i silnych gałęzi krążyć nie są w stanie. Robak toczył pień tylko a teraz zawładnął owocami, które niszczy i pożera... Wątpić wszakże ostatecznie nie trzeba, rodziny, dzięki wpływom pobocznym, ulegają przekształceniu. Sięgają one wyżej, znacznie wyżej w swej przeszłości po nad pierwszego znanego nam założyciela rodu, przebywają przeszłość pośród ras już dziś nieistniejących, dochodząc wreszcie do pierwotnych istot ludzkich, od których wszyscy pochodzimy; takąż sama bogata jest przed nimi przyszłość, rozwijać się będą w coraz liczniejsze gałęzie i pędy i trwać nieskończenie liczne jeszcze wieki... Patrz na nasze drzewo rodzinne, pięć ono tylko przedstawia pokoleń, dźbłem trawki jest w porównaniu z gęstym lasem drzew reszty ludzi, lasem potężnym swym obszarem, wśród którego odwieczne dęby życie narodów oznaczają. Potężnie rozrosłe korzenie lasu ziemię całą objęły w posiadanie; liście coraz to świeżo rozwite zajmują przestrzeń, stykając się z sobą i łącząc, podczas gdy wierzchołkami lasu wciąż kołysze odwieczny i płodem wezbrany powiew życiodawczy... Tak, w tem jest cała nadzieja, rasy odradzają się codziennie

bogactwem krwi obcej. Każde małżeństwo przynosi nowe elementy, dobre, lub złe, lecz tem samem, że inne, są one ochronne przeciw zwyrodnieniu, które bez nich, z matematyczną pewnością dążyłoby szybko ku ostatecznej zagładzie. Przymieszką krwi nowej, reperują się istniejące wyłomy, zacierają się zboczenia; fatalnością czy przeznaczeniem zakreślona równowaga przywróconą zostaje i po kilku pokoleniach wynika pożądaný rezultat, człowiek średniej miary bez wybitnych skłonności, lecz do życia uparcie przywiązany, pilny robotnik tajemniczego celu, którego ludzkość nie zna, lecz doń, niestrudzona podąża.

Pascal zamilkł na chwilę i, westchnąwszy głęboko, rzekł:

Ale nasza rodzina?... Co się też z nią stanie i jakiego wyda z siebie człowieka?...

I począł znów mówić w tym kierunku. Pomijając tych, którzy żyli i których już wyliczył, wiedział bowiem, czego się mógł od każdego z nich spodziewać, zwrócił się myślą ku drobnym dziatkom, pobudzającym pełną nadziei jego ciekawość. Dowiedziawszy się o małżeństwie Stefana w Numei, napisał do miejscowego lekarza, prosząc o udzielenie mu szczegółowych wiadomości o żonie Stefana, również jak i o dziecku; dotychczas nie miał odpowiedzi i wątpić nawet zaczynał, czy możliwą rzeczą będzie dalsze śledzenie rozwoju tej gałęzi rodu. Lepiej był obznajomiony co do dzieci Oktawa Moureta, u którego częstych zasięgał wieści: starsze dzieci, dziewczynka, słabą i wątłą była bardzo, podczas gdy niedawno na

świat przybyły chłopiec, tęgi i piękny, rósł zdrowo i coraz widoczniejsze przedstawiał podobieństwo do matki. Największe Pascal pokładał nadzieje w dzieciach Jana, którego syn pierworodny zapowiadał się pod każdym względem wysmienicie; niósł on z sobą odrodzenie, siły żywotne nowe i zawsze świeże u związanych z ziemią pracowników. Dla ujżenia szczęśliwości Jana, jeździł Pascal czasami do Valqueyras i zawsze powracał uradowany i jakby uspokojony, nasyciwszy się widokiem pracowitego i rozsądnego Jana, wiecznie w polu zajętego, oraz wesołej, prostej jego żony, której rozwinięte ciało i potężne biodra zapowiadać się zdawały liczne w przyszłości potomstwo. Wiedzieć nie można, zkąd puści zdrowa dla rodu gałązka? Może upragnieni zdrowi i rozumem potężni tu właśnie zakiełkują. Na nieszczęście nie jeszcze nie można było wiedzieć, niemowląt w tym wieku nie można było klasyfikować. Głos Pascala, gdy mówił o tych wschodzących nadziejach rodu, brzmiał uczuciem i jakby żalem, iż starym kawalerem pozostał.

Pascal patrzył pilnie na arkusz z rysunkiem drzewa genealogicznego. Wreszcie zawołał:

— Tak, tak, znakomity materyał przedstawia nasze drzewo!... Najróżnorodniejsze okazy dziedziczności tu się mieszczą. By teorię moją utrwalić, ująć w formy, niczego innego nie potrzebowałem szukać, jak tylko oprzeć się na tych oto przykładach... Zachwyca mnie zwłaszcza, iż tak wyraźnie widzimy: jak dalece na pozór różnemi mogą być potomkowie z jednego

i tego samego pnia pochodzący, jakkolwiek różnica ta jest tylko logiczną odmianą wspólnych ich przodków. Pień tłumaczy nam jakoś gałęzi a te objaśniają nas o liściach. Twój ojciec, Saccard, oraz wuj twój, Eugeniusz Rougon, różnego byli temperamentu i odmienne wiodli życie a jednak też sama żądza pchnęła ich na zaraniu kariery, tylko jeden skierował ją ku zdobyciu uciech materialnych, podczas gdy drugi władzy samowolnej pożądał.

Aniela, ta lilia przeczysta, zrodziła się z ohydnej moralnie Sydonii a natura jej, stosownie do okoliczności, mogła przybrać formę mistyczną, lub czysto zmysłową. Tenże sam wypadek zarządził losem trojga dzieci Moureta, najstarszy Oktaw, obdarzony inteligencją w handlu kobiecemi gałgankami, dorobił się milionów; Sergiusz, pobożny, jest biednym wiejskim proboszczem a siostra ich, Dezyderya, prawie idiotka, jest pięknem i szczęśliwem stworzeniem. Ciekawe zwłaszcza przykłady mamy na dzieciach Gerwezy. Nana była dzieckiem nerwowem, a gdy dorosła frymarczyła ciałem, Stefan dopuszczał buntu, Jakób się w pogoni za morderstwem, stał się zbrodniarzem, Klaudyusz miał zdolności genialne; cioteczna ich siostra Paulina uosabniać się zdaje uczciwość i zaparcie się siebie dla dobra innych... Dziedziczność zatem, i siła żywotna wydają na przemiany głupców waryatów, zbrodniarzy i wielkich ludzi! Dość, by w chwili zapładniania, jedna komórka ustąpiła miejsca na korzyść drugiej—a zrodzi się łotr, lub szaleniec, zamiast męża geniuszem obdarzonego, lub wprost zwy-

czajnego uczciwego człowieka. Ludzkość w swym biegu niewstrzymana, wszystkiego po trochu unosić z sobą musil...

Tu nowy zwrot myśli Pascala przybrały:

— A zwierzęta, które też cierpieć i kochać umieją, są one jakby słabem odbiciem ludzkiego ustroju, zwłaszcza te najbliższe nam, życie nasze dzielające bratnil... Chciałbym się też nimi zająć, boć to pokrewni nasi; czyż nie łącznie z nami żyją i czyż nie dopełniają sobą życia naszego? Znałem koty, które wdzięk tajemniczy domów swych państwa stanowić się zdawały; znałem psy, tak wielce przez chlebobawców ukochane, iż śmiercią swą żałobę trwały w sercach powodowały. Niejednokrotnie spotykałem kozy, krowy, osły, które niesłuchanie ważne stanowisko wśród rodzin zajmowały i których losy godne są pióra. A chociażby nasz poczciwy stary Bouhomme, czyż konisko to, przez ćwierć wieku z nami żyjące, nam się wysługujące, nie należy do rodziny? Przystosowaliśmy jego charakter do naszego, on też wpływ pewien wyrzeć na nas musiał; na drodze ustępstw zyskaliśmy podobieństwo wzajemne; ile razy go widzę steranego służbą dla naszej wygody, powstrzymać się nie mogę od pocałunku, jakim go zawsze darzymy; doznaję wrażenia, jakby na widok starego biednego krewnego, któremu należy się z naszej strony pomoc i opieka... Ach, świat zwierzęcy! O tyle niżej pod każdym względem od człowieka stojący, jakże wielce na sympatyje nasze zasługiwać umie, jakże nigdy pomiatać nim się nie godził...

Ostatnie słowa Pascal wykrzyknął z uniesieniem wdzięczności i przywiązania dla stworzeń. Podniecony był coraz silniej, w miarę—jak mówił—spowiedź przekonań swoich wygłaszał; wiarą jego była nieustająca, niespożyta i nad wszystkim zwycięzka naturalna siła życia. Wreszcie Klotylda, która wciąż milczała, coraz bledsza pod nawałem myśli, zapytała:

— Powiedz mi, proszę, mistrzu, jaki o mnie sąd wydałeś?

Mówiąc to, położyła rękę na rozłożonym arkuszu drzewa genealogicznego i palcem wskazała wypisane swoje nazwisko. Doktor oczywiście pomijał wciąż tę gałązkę w opowiadaniu. Poczęła nalegać.

— Tak, tak, proszę, powiedz, czem jestem? Dlaczego nie przeczytałeś odnoszących się do mnie papierów?

Przez chwilę nie odpowiadał, jakby zadziwiony życzeniem dziewczyny.

— Dlaczego?—sam nie wiem... To prawda, ale przecież nic nie mam przed tobą skrytego... Czy widzisz co tu napisane: „Klotylda, urodzona w roku 1847. Dziedziczność z wyborem po stronie matki. Dziedziczność podobieństwa do przodków, zwłaszcza do dziadka po matce“. Widzisz, jak ściśle cię określiłem. Podobną jesteś przede wszystkim do matki, masz taki sam jak ona dobry apetyt, dużo zalotności, chwilową niedbałość i uległość. Tak, tak, a przytem nie zdajesz sobie sprawy do jakiego stopnia jesteś kobietą, to jest istotą żądną miłości, pragnącą jej przede wszystkim. Matka twoja lubowała się w czytaniu

powieści, by później snując chimeryczne marzenia, rozpamiętywać dniami całemi nad tem co przeczytała; lubiła bajki, jak dziecko, wierzyła w przepowiednie, wróżyć z kart sobie często kazała; chętnie przypuszczam, że twoje usposobienie ku cudowności, objawieniu, ku tajemnicom pozaświatowym, z tego źródła początek czerpie... Dwoistą posiadasz naturę, albowiem, prócz wpływu matki, widocznym jest u ciebie wpływ usposobienia jej ojca a twojego dziadka, komendanta Sicardot. Nie był to orzeł, lecz posiadał wielką uczciwość i energię. Gdyby nie jego wpływ dodatnio w twej naturze występujący... niewielebys wartą była. Wzięłaś co miał w sobie najlepszego: odwagę, dumę, szczerłość.

Klotylda słuchała pilnie wydawanego o sobie sądu, niekiedy przytakiwała głową na znak, iż słusznym go znajduje; surowością analizy nie była obrażona, chociaż szczegóły, dotyczące jej matki, niemile na nią podziały.

— A ty sam o sobie, co wyrzekłeś, mistrzu?

Tym razem Pascal się nie zawahał ani na chwilę:

— Co tu mówić o mnie? Tak jakbym nie należał do rodziny! Patrz, co napisałem: „Pascal urodził się 1813 r. Odrodzony od familii. Cechy moralne i fizyczne rodziców uległy kombinacji zupełnej, zacierając się w splotzonym dziecku“.... Wreszcie matka powtarzała i powtarza jeszcze, iż nie wie, z kąd się wzięłem takim, jakim jestem, i że zupełnie do rodziny, jej zdaniem, nie należę!

Pascal wypowiedział te słowa z widocznem zado-

wolaniem, jakby radością przejęty, iż nie on sam spostrzeżenie to uczynił.

— Wreszcie prości ludzie, nigdy się w tych razach niemylą, a czy słyszałaś kiedy, aby mnie kto nazywał panem Pascalem Rougon? Nie—nazywają mnie po prostu doktorem Pascalem. Rzeczywiście nic nie mam wspólnego z rodziną... Może niepięknie jest z mej strony cieszyć się z podobnej okoliczności, lecz nie kryję, iż wielce rad temu jestem, są wypadki, iż podobieństwo, prawem dziedziczności spadłe, ciężarem zbyt uciążliwym staje się. Kocham ich wszystkich takimi, jak są, lecz serce bije mi radośnie, czując, jak zupełnie różnym od nich jestem. O tak! nie chcę, nie chcę być z nimi w styczności żadnej! Myśl, że nic podobieństwa do nich we mnie nie ma, działa orzeźwiająco, dając mi siłę i odwagę do życia, dzięki czemu, mogłem też dla dobra nauki, zebrać ich wszystkich i poddać badaniu!

Umilkł i cisza zapanowała zupełna. Burza oddaliła się już znacznie, deszczu nie było i tylko odgłos coraz bardziej oddalony grzmotu i piorunów, dochodził niekiedy; przez otwarte okno płynęło odświeżone powietrze, unoszące w sobie zapach zwilżonej ziemi. Wiatru śladu nie było najlżejszego, świece paliły się spokojnie, jasnym, wydłużonym płomieniem.

— Ach — westchnęła Klotylda ciężko i boleśnie — cóż począć z sobą?

Przecież w ową noc letnią, wśród skwaru promieniającego z kamieni klepiska, wypowiedziała już swe

poglądy: życie jest nieznośne a więc czyż można kiedy być spokojną i szczęśliwą? Nauka oświeciła ją skrawo całą ohydę życia, analiza nie cofa się przed najpotworniejszymi własnościami ran ludzkich a zbadane odśłania w całej nagości. Teraz usłyszała rzecz całą z przytoczonemi na poparcie prawdy licznemi przykładami, wstręt do wszystkiego powzięła tem większy, iż analiza uczynioną została na istotach jej znanych i blizkich, jej samej nie wyłączając; widzieć się zdawała trupa swojego i całej rodziny na stole amfiteatru szpitalnego. Kałem obciążony potok płynął godzin kilka tuż przy niej a ileż istot drogich on z sobą unosił, istot, które kochać obowiązkiem jej się wydawało: był tam jej ojciec, przestępstwa dla miłości złota czyniący; jej brat kazirodny, babka pozbawiona skrupułów wszelkich, zbryzgana krwią ludzi szlachetnych; inni członkowie rodziny przedstawiali cały rozkwit różnorodnych zbrodni, na jakie szczep ludzi zdobyć się jest w stanie. Zetknięcie się z temi nieznanemi jej szczegółami pograżyło Klotyldę w bolesne osłupienie. Co to jest życie, z czego się ono składa — naraz poznała w całości. A jednak duch głębokiej miłości życia i całej ludzkości, tak potężnie wyłaniał się z każdego słowa Pascala, iż lekcyja okrutna, którą jej wyładał, oczyszczoną i uniewinniającą być się zdawała. Żadnego złego uczucia nie rozbudziła, owsem, zdawało się dziewczynie, iż wystawioną będąc czas jakiś na silny podmuch wiatru morskiego, lub burzy, zyskała swobodę przytłumionego dotychczas oddechu.

Wszak mówiąc nawet o swej matce, potrafił utrzymać się niezmiennie w spokoju i poszanowaniu uczonego, który zbiera fakta, lecz spełniających je nie sądzi i nie potępia. Ścisłe stosować się on zawsze zdaje do słów, wypowiedzianych w czasie pamiętnej nocy letniej: wszystko zbadać, by złe usunąć. Upadając pod brzemieniem posłyszanych wyjawień, Klotylda czuła się zachwianą i nieomal zwyciężoną, przyznając i wielbiąc ogrom przedsięwziętego przez Pascala dzieła. Pełne ono było nadziei w lepszą przyszłość doczesną. Prawo dziedziczości światem rozporządza, ująć je zatem i dowolnie skierować, równoważyć się odrodzeniu tegoż świata i zapewnieniu mu szczęścia.

Pascal, chcący to urzeczywistnić, stawał się najwyższym dobroczyńcą zrywającej z cierpieniem ludzkości.

Otwartemi przez Pascala szluzami, potok płynął swobodnie; nie tylko kałem był zbrukany, wszak czyste złoto niósł też wraz z kwiatami obficie? Setki wywołanych opowiadaniem postaci snuły się i cwałowały rozpierzchłe w umyśle Klotyldy, niektóre z nich uporczywie ustępować nie chciały innym a były tam pełne czaru twarzą młodych dziewcząt i kobiet, były i twarze pełne dobroci. Miłość pierwszorzędne między nimi zajmowała miejsce, aż do sennego widziadła unosząc się niekiedy. Wszak liczne były Joanny, Aniele, Pauliny, Marty, Gerwezy i Heleny. Od nich wszystkich, nawet od mniej dobrych, od najgorszych i najobydniejszych postaci, wionął duch po-

bratymczy, potępiać ich całkowicie niedozwalający. Duch takiej miłości jestestwo Pascala ożywił i stanowił, czuła to Klotylda nieustannie, podczas dopiero co ukończonego opowiadania. Pozory uczonego i bezstronnego badacza przybierając, rozczulać się nie wydawał bynajmniej; w każdym jednak słowie jego, odczuwać można było, ile bezgranicznej dobroci i poświęcenia dla dobra innych serce jego mieściło! Na czystem rozumowaniu oparte jego dzieło tchnęło wszakże całkowicie wielką braterską miłością, najokrutniejsze uwagi przepelnione nią były. Czyż wreszcie nie mówił dopiero co o zwierzętach, z tymże samym nastrojem i uczuciem? Cierpienia ludzkość dręczące, bolały go, do katuszy przywodząc; zamarzył ludzkość wyzwolić; sięgnąwszy tak wysoko, pogardzał wszystkim co czeze i błyskotliwe, zatapiał się w pracy, pewnym będąc niezachwianiem, iż nie dla dzisiejszej ogłąda świecącej cywilizacyi pracuje, lecz dla przyszłego społeczeństwa, które uwolnione przez niego zostanie od trosk dla dzisiejszego groźnych. Może, iż zbuntowany przeciw mizernej pospolitości, dzisiaj liczebną swą siłą przewagę w świecie mającej, rzucił się z odwagą do walki, tworząc śmiałe teorye, pragnąc je w czyn co rychlej wprowadzić. Każdy czyn, każda myśl Pascala—wykazywać się zdawały głęboką miłość jego dla ludzi i stworzeń a praca jego jądrem tego uczucia będąc, boleścią ich niedoli nawskroś przenikniętą była.

Noc cała ubiegła nad tą lekcją życia a Pascal i Klotylda zapomnieli o czasie i miejscu. Osłabiony

od kilku tygodni nadmierną pracą, w której szukał ukojenia trosk domowych, doktor wpadł jakby w odrętwiałość, silny dreszcz nerwowy wstrząsnął nim całym i pod tem wrażeniem jakby przebudzony, odezwał się:

— Teraz wiesz wszystko; powiedz, czy odślonięta prawda pokrzepiła ci serce, nakłaniając je do pobłażliwej miłości i nadziei?... Po czyjej teraz staniesz stronie, czy nie po mojej?

Klotylda odurzona była po doznaniem moralnem wstrząśnięciu, nie mogła zapanować nad sobą, ani myśli zebrać dla sformułowania odpowiedzi. Czuła, iż stare wierzenia zdruzgotanemi w niej zostały; o ile? i dla jakiego nowego kierunku—pytać się siebie nie śmiała. Czuła się być pochwyconą przez wszechpotężną prawdę. Czuła, iż tak jest a nie inaczej, mimo to, opierała się przed stanowczem tego uznaniem.

— Mistrzu, powtarzała niewyraźnie, mistrzu...

Przez chwilę patrzeli na siebie oko w oko. Dnieć poczynało; na jasnem, splekanem burzą niebie ukazywała się cudnej świeżości jutrzeńka. Chmurka najmniejsza nie gasiła czystości lazuru nieba, opromienionego pierwszemi różowemi blaskami wschodu. Brzask i wilgotne tchnienie przebudzającej się ze snu natury płynęły przez otwarte okno, cmiąc powoli światło dogorywających świec w sali.

— Odpowiadaj. Chcesz więc jeszcze wszystko tu niszczyć i palić? Lub jesteś ze mną, zupełnie tylko ze mną?...

Był przekonany, iż Klotylda rzuci mu się z płaczem

na szyję. Zdawało się, iż pchało ją coś do tego. Lecz w tem ujrzeni, jak dalece dziwnie i mało byli przybranyimi. Dotychczas Klotylda zapomniała, iż gołe jej ramiona i piersi, zaledwie pokrywały rozwiane, kędzierzawe, złote jej włosy; prócz lekkiej, ledwie spiętej, wyciętej koszuli, miała na sobie krótką, wąską spódniczkę; koło ramienia widująły krople krwi w walce jej z Pascalem z draśniętego ciała pocięte. Zapłoniona, poczuła, iż w walce tej zwyciężona, panem go nad sobą uznała, tak, panem na zawsze... Uczucie takie ogarniało ją całkowicie i oporu stawić mu nie była już zdolną, była jego i chciała do niego należeć...

Gwałtownym ruchem powstała, jakby chcąc sobą zawładnąć. Skrzyżowała ręce na gołych piersiach. Stała zapłoniona, krwią gorącą oblana. Nagle uciekła jak spłoszona nimfa, której wysmukłość i piękność posiadała w całości.

— Mistrzul mistrzul pozostaw mnie... Niech się zastanowię!

Z dziewczą lekkością przemknęła szybko, chroniąc się tak samo, jak w czasie owej nocy letniej i zamknęła się w swoim pokoju. Usłyszał jak zamykała drzwi swoje na dwa spusty. Pozostał samotny i smutny, niesłuchanie smutny; zapytywał się teraz, czy dobrze uczynił, całą jej prawdę wyjawiając? Czy prawda zakiełkuje w ukochanej tej istocie i czy wyda plon szczęśliwość zapewnić mogącą?

Minęło dni sporo. Ciepła, pysznie piękna pogoda świeciła na niebie przez pierwszą połowę paździer-

nika; potem wiatry straszliwe dać poczęły, wreszcie gwałtowna burza popsuła drogi i porwała stoki pagórków. W starem domostwie w Sulejadzie panował głuchy smutek, jakby troskę zbliżającej się zimy zapowiadający.

Piekło domowe trwało dalej, tylko w odmiennej formie. Kłótnie teraz ustały zupełnie. Nikt nie trząskał teraz drzwiami, ani nie podnosił głosu, co zawsze przerażało Marcynę. Coraz rzadziej Pascal rozmawiał z Klotyldą a żadne słowo dotąd nie przypominało pamiętnej owej nocy. Pascal czekał, by Klotylda wypowiedzieć się sama ze zdaniem swem zechciała; przez delikatność nie chciał nalegać, lecz spodziewać się dotąd nie przestał, że zwróci się wreszcie ku niemu pełna wiary w niego i uległości. Ona zaś, po doznaniem moralnem wstrząśnięciu, uspokoić się dotychczas nie zdołała; walczyła z sobą, oddalała chwilę powzięcia stanowczej decyzji, opierała się, jakby instynktem do buntu wiedziona. Nieporozumienie wzrastało z dniem każdym, ciszą i milczeniem dom cały zalegając, jakby tu już nigdy szczęście zagościć nie miało...

Pascal cierpiał okrutnie, lecz znosił zmartwienie bez szemrania. Panująca pozorna cisza i spokój niepokoiły go mocno. Podejrzliwość jego wzrosła, lękał się zasadzek, przypuszczając, iż w spokoju pozostawiają go dla tego, by tem snadniej w matnię go schwytać. Dręczący i wzmagający się niepokój, chwili spoczynku i wytchnienia mu nie dawał, każdego dnia przypuszczał, iż właśnie nadszedł kres katastrofy

i papiery porwane, uniesione, znikną dla niego bezpowrotnie; widział już całą Sulejadę zburzoną, zniszczoną doszczętnie. Myśl, iż ktoś chce zawładnąć nad swobodą jego myśli, iż snuje plany wydarcia mu zebranych plonów pracy umysłowej, drażniła go niewymownie; kładł się na spoczynek zdenerwowany, z gorączką. Złowrogim dreszczem zbudzony nagle, siadał na łóżku, pewnym będąc, że schwyta na gorącym uczynku tych, co okraść go z prac jego postanowili; lecz w pokoju nie było nikogo, prócz własnego jego rozdrażnienia. Czasami w napadzie silniejszego podejrzenia, stał ukryty w cieniu okiennic, lub w kątach ciemnych, wyczekując godzinami całemi chwili, w której okraść go miano.

Dom cały stał pogrążony w tak głuchem milczeniu, iż Pascal słyszał pulsującą krew w rozognionych swych skroniach. Przytomność zdawał się chwilami zatracać; przed połączeniem się do łóżka, obchodził wszystkie pokoje; najłżejszy szelest budził go raptownie, dyszał wtedy ciężko, gotów rzucić się na przeciwników w obronie swego dobra.

Najsrożej trapiła Pascala myśl, że zadawane mu cierpienia pochodzą z ręki tej ukochanej przez niego Klotyldy; wszak od lat dwudziestu wzrastała przy jego boku, słodząc swą obecnością wszystkie chwile jego życia, rosła z latami w piękność i wdzięki, jak kwiat czarowny roztaczający lubą woń dokoła. I to ona ciosy mu teraz zadaje! Ona, którą ukochał po nad wszystko, ukochał przywiązaniem ślepem, nieograniczone! Jakiem było to przywiązanie, Pascal bliżej

nie badał; wiedział tylko, iż Klotylda stanowi radość jego życia, że dodaje mu odwagi i nadziei, że życiem jego jest jej młodość promienna! Gdy przesuwała się nieopodal, pełna krasy i wdzięku z główką osadzoną na białej, delikatnej szyi, doznawał uczucia rozkosznego, wesele i zdrowie wraz z jej wiosną opływać się go zdawały. I nie dziwnego, że dał się tak rozwielmoczyć samowolnie uczuciu, miał ją przy sobie od pierwszego zarania lat jej dziecinnych, w miarę jak rosła, rosło i uczucie dla niej. Całą część życia spędzonego w Plassans, Pascal poświęcił wyłącznie pracy, zatopiony w księgach, zdaleka od uciech światowych, zdaleka od kobiet w ogólności. Mówiono tylko o jednej jego miłości dla owej zmarłej a której ręki nawet nie śmiał dotknąć ustami. Prawda, że jeździł czasami do Marsylii, lecz chwilowe, bez jutra, przelotne zaspokojenia zmysłowe, brać w rachubę byłoby zbyt szkodliwe. Życia zatem nie użył wcale, zachowując kipiącą siłę żywotną, tem gwałtowniej dopominającą się praw swoich, że starość tuż stała i groziła w pobliżu. Wyrodziła się u niego skutkiem tego nadzwyczajna czułość; wdzięczny był za najłżejsze oznaki przywiązania, każdego psa lubić się zdawał, jeżeli ten łąsić się do niego poczynał; i to serce tak żywo bijące i całe Klotyldzie oddane, odbierać teraz musiało wciąż nowe ciosy jej ukochaną ręką kobiecą bezustannie zadawane; ona, która wszyskiem była dlań na świecie, dręczyła go z szaloną zawziętością.

Pascal z natury dobry i wesoły, stał się posępnym

i z dniem każdym bardziej opryskliwym. Najbliższe przyczyny w gniew go teraz wprowadzały, szorstkim się stał dla Marcyny, która, nie rozumiejąc przyczyn, pokornie wszakże wzrokiem o przebaczenie błagać się zdawała. Od rana do wieczora miewał twarz tak gniewną, iż nikt nie śmiał słowa do niego przemówić. Na wizyty doktorskie wychodził teraz sam, nigdy Klotyldy z sobą nie biorąc. Pewnego razu, wrócił z wizyt silnie wzburzony, wyrzucając sobie śmierć jednego z pacjentów. Wstrzykiwał dziś lekarstwo karczmarzowi Lafouasse, któremu choroba mlecza pacierzowego zdawna groziła śmiercią co chwila. Pomimo wszystko, Pascal nie tracił nadziei i wstrzykiwaniami podtrzymywał go przy życiu; na nieszczęście, nie dopatrywał się dziś, że szpryeka uniosła z sobą źdźbło nieczystości, osiadłej na dnie fiaski przy filtrowaniu. Na dobitkę złą, natrafił przy ukłuciu szpryką na żyłę i krew się natychmiast ukazała. Zaniepokoił się, spostrzegłszy, iż karczmarz pobladł i potem się oblał cały, wkrótce zaś odgadł przyczynę złego, albowiem śmierć nastąpiła nagle, piorunująco a twarz zmarłego zczerniała i usta zsiniały. Tak, przyczyną śmierci była jego barbarzyńska, nieudoszkalona metoda. Lafouasse, prawda, że na śmierć zdawna już był skazany, dłużej nad kilka miesięcy żyć już nie mógł, cierpienia przytem znosząc coraz boleśniejsze; tem niemniej wszakże, zaszła z brutalną gwałtownością śmierć jego silne wstrząśnienie wywarła na Pascala; zachwiała się w nim wiara w nieomylność metody a zawrzała natomiast burza gniew-

wu przeciw niedołęztwu wiedzy dotychczas zdobytej a której wzrastanie życiem ludzkim opłacać często przychodził. Wrócił do domu blady do niepoznania, zamknął się w swoim pokoju i bez tchu rzuciwszy się w poprzek łóżka, przeleżał nieporuszony i w ubraniu kilkanaście godzin z rzędu.

Tego dnia po południu, Klotylda, szyjąc przy oknie w sali i zauważywszy bladość i rozdrażnienie Pascala, postanowiła przerwać wciąż trwające milczenie. Podniosła na niego oczy wtedy, gdy irytował się na książkę, w której nie mógł znaleźć potrzebnej stronicy.

— Mistrzu, ty musisz być chory?... Dlaczego tego nie mówisz? Pielęgnować cię będę z ochotą...

Z twarzą utkwioną w książkę, odmruknął za ledwie:

— A jeżeli jestem chory, cóż cię to może obchodzić? Wreszcie nie potrzebuję niczego i nikogo.

Z niezwykłą w tych czasach domowych swarów łagodnością, Klotylda ciągnęła:

— Jeżeli masz, mistrzu, zmartwienie jakie, wypowiedz je przedemną a lżej ci będzie niezawodnie... Wczoraj wróciłeś do domu tak okropnie smutny! Nie poddawaj się zmartwieniom. Nocy tej prawie nie spałam, tak dalece dręczył mnie niepokój o ciebie, trzy razy wstawałam, by słuchać przy drzwiach twoich, czy ci czego nie potrzeba.

Jakkolwiek łagodne i słodkie były słowa, gwałtowny wybuch wywołały. Osłabły chorobliwie, Pascal zatrząsł się cały z gniewu i zirytowany, ręką rzuciwszy trzymaną książkę, powstał, krzycząc:

— A więc szpiegujesz mnie bezustannie, nawet gdy zamknę się w swoim pokoju, to jeszcze i wtedy podsłuchać mnie się starasz... Tak, tak, śledzą każde uderzenie mego serca, wyglądają mojej śmierci, by mózgi tu wszystko spalić i zniszczyć doszczętnie...

Głos jego brzmiał coraz donośniej, skargi szorząc coraz boleśniejsze na zadawane mu niesprawiedliwie katusze.

— Nie chcę, zakazuję ci tej opieki nademną... Czy masz jeszcze co do powiedzenia? Czyś myślała nad tem, o ile możesz obecnie iść ręką w rękę ze mną? o ile ufności do mnie posiadasz?

Lecz ona nie odpowiedziała na stawiane pytania, patrzyła mu tylko śmiało w oczy, jakby dla objaśnienia swej myśli, że czas jeszcze nie nadszedł; milczenie i spokój dziewczyny ostatecznie rozdrażniły Pascala. Tracąc niejako przytomność, niewyraźnemi z gniewu słowami łajał ją i ruchem ręki precz ją ztąd wypędzał.

— Idź sobie! Idź precz!.. Nie chcę, byś tu przy mnie był! Nie chcę mieć wciąż nieprzyjaciół przy sobie! Nie chcę, byście mnie dręcząc dalej, do waryacyi doprowadzić miały!

Klotylda zbladła strasznie i z miejsca swego powstawszy, wzięła robotę i wyszła z sali, nie rzekłszy słowa, nie zwróciwszy nawet głowy.

Przez cały miesiąc następny Pascal szukał ukojenia w pracy. Całemi dniami, często nocą nawet pracował w sali, przerzucając i poprawiając dotychczasowe swe notatki o dziedziczności. Upędzał się z za-

ciekłością, by sam siebie przekonać o prawdzie dotychczasowych swych przypuszczeń i nadziei, chciał wymódl i zdobyć niezbitęj ścisłości naukowej dowody, że ludzkość przez ujętą w prawo dziedzicność meżna odrodzić, udoskonalic, tak pod wzgledem fizycznym, jak i moralnym. Zaniechal odwiedzenia chorych, nie wychodzil z domu na krok, zyjac bez ruchu i powietrza wsród stosów starych, zakurzonych ksiąg i papierów. Zbyt wielka praca wyczerpywal siły jego poczęta, ukojenia na domowe troski nie przynoszac zadnego. Rostrojenie nerwowe doprowadzalo go ostatecznie do choroby, która wkrótce grozic jego życiu poczęta.

Rankiem, powstawszy z pościeli, Pascal czuł się teraz zawsze o wiele więcej znużony, aniżeli był przed pójściem na spoczynek. Organizm jego słabł z każdym dniem widocznie; gdy chodził, po kilku minutach czuł się z nóg ściętym, najlżejszy wysiłek męczył go do omdlenia. Zdawało mu się chwilami, że ziemia drży pod jego stopami. Szum w uszach pozbawiał go przytomności, w oczach mu się ćmiło, a gdy zamknął powieki, tysiączne iskry ogniste zasypywać go się zdawały. Stracił apetyt, do wina miał wstręt, żołądek odmawiał mu posłuszeństwa. Opanowywała go coraz zwiększająca się apatya, przerywana chwilami gwałtowną żądzą działania, bez ściśle określonego celu. Równowaga uległa wytrąceniu a ogólnemu osłabieniu ulegając, rzucał się z jednej w drugą ostateczność. Za najlżejszem wzruszeniem oczy mu łzami nabiegały. Zamykał się godzinami całemi u siebie

i płakał, szlochając bez żadnej wyraźnej przyczyny, płakał skutkiem ogólnego przygnębienia, jakie opanoowało nim całkowicie, pod naciskiem smutku wielkiego.

Wszystko pogorszyło się jeszcze po wycieczce do Marsylii, gdzie wybrał się podług dawnego swego starokawalerskiego zwyczaju. Zapewne przypuszczał, iż zanurzenie się w rozpuście, ulgę chociażby chwilową przynieść mu zdoła. Bawił dwa dni tylko w Marsylii i powrócił z twarzą bardziej jeszcze znekana, jakby przerażony utratą sił swoich żywotnych. Ze wstydem rozpamiętywał niezbite tego dowody; próby i usiłowania okazały się stanowczo próżnemi, dzikszym go jeszcze niż dotychczas czyniąc wobec kobiet. Nigdy nie przywiązywał do tego zbytcej wagi. Teraz zaś ogarnęła go rozpacz, szła rozpacz, nasuwający mu myśl samobójstwa. Naprózno uspokoić się starał myślą, iż popadł tylko w niemoc chwilową, wypływającą z ogólnego osłabienia: myśl o niedołęztwie, w które popadł, na chwilę go nie opuszczała; w obecności kobiet trwożył się jak żak w zbyt młodym wieku namiętnością owładnięty.

Z początkiem grudnia, Pascal począł cierpieć na straszliwe bóle newralgiczne. Zdawało mu się, że słyszy roztrzaskującą się czaszkę własną. Uwiadomiona o chorobie syna, stara pani Rougon przyszła go odwiedzić. Najpierw zaszła do kuchni, chcąc się sam na sam rozmówić z Marcyną. Ta opowiedziała z wielkim smutkiem i przerażeniem, że pan niezawodnie popadł w waryację; na poparcie swego twierdze-

nia przytaczała liczne dowody; pan chodził wciąż w kółko po swoim pokoju, zamykał wciąż szuflady, śledził bacznie, jakby się czegoś obawiał, czasami po nocy wstawał i krążył po domu bez przyczyny. Zalawszy się szczeremi łzami, Marcyna wyjawiała zdanie, że na pewno dyabeł wstąpił w pana i opanował go całkowicie, o czem najlepiej zawiadomić księdza proboszcza z parafii św. Saturnina.

— Taki dobry pan! Toż dla niego każdy w ogień byłby skoczył! Co za nieszczęście, że nie możemy go pojednać z kościołem, chociażby go do kościoła zaprowadzić! Jedyne to dla niego lekarstwo! Uzdrowiłby się natychmiast i na pewno...

Klotylda, usłyszawszy głos pani Rougon, weszła do kuchni. Ona też miejsca dla siebie znaleźć nie mogła, najczęściej przesiadywała w opuszczonym, na skład przeznaczonym salonie, obok stołowego pokoju. Nie rzekła słowa, tylko z uwagą słuchała rozmowy dwóch kobiet.

— Ach! to ty kochaneczko! Dzień dobry!... Marcyna opowiadała mi właśnie, że biedny Pascal już zupełnie przez dyabła opętany został. Podzielał jej zdanie w zupełności, tylko dyabłem tym jest pycha! Wyobraził sobie, że wie i zna wszystko, uznaje się za potężniejszego od papieża i cesarza, najlżejszej różnicy zdania znieść już teraz nie może.

Wzruszyła ramionami pogardliwie.

— Gdyby to nie było takie smutne, śmiałabym się do rozpuku!... Człowiek, który nie zna życia na jotę, który jak głupiec od ludzi stronił i zamykał się w o-

toczeniu książek!... Wyobraźcie go sobie w światowym salonie, też on gorzej od dziecka rady sobie nie da. A kobiety, czy on je zna chociażby trochę...

Uniesiona zapałem, pani Felicja zapominać się zdawała, przed kim czyni zwierzenia i prawiała dalej głosem zniżonym przed młodą dziewczyną i starą sługą:

— Zbyteczna wstrzeźliwość nic niewarta. Nie miał ani żony, ani kochanki, żył jak pustelnik. Oto teraz mamy tego skutki...

Klotylda stała nieporuszona. Powieki tylko zwolna opuściła na wielkie i myślące swe oczy; po chwili podniosła je znowu i patrzyła prosto przed siebie, nie wypowiadając ani słowem, ani ruchem, tajemnie nurtujących ją myśli.

— On u siebie na górze?—zapytała Felicja.—Przyszłam, żeby się z nim ostatecznie rozmówić, trzeba, żeby się raz te głupstwa skończyły!

Pobiegła na górę, podczas gdy Marcyna pozostała przy swoich rądlach a Klotylda zawróciła, snuć się w dalszym ciągu bezcelowo po domu.

W górnej sali siedział Pascal przed roztwartą księgą; patrzył na stronnice, lecz nic z nich nie rozumiał. Starał się czytać słowa, lecz znaczenie ich umykało bezładnie. Zmuszał się do ich zrozumienia i konał z bólu, spostrzegając próżne swe usiłowania, widział, że praca umysłowa staje się dlań nieprzystępną. Na tę chwilę nadeszła pani Felicja. Wyrwawszy mu książkę i rzuciwszy ją na bok, łajając go poczęła, utrzymując, że nie pracować, lecz leczyć się powinien. Powstał gniewny i już chciał wypędzić ją, jak przed

chwila wypędził Klotyldę. Zapanował wszakże nad sobą i rzekł prawie spokojnie:

— Wiesz matko dobrze, iż nigdy sprzeczać się z tobą nie chciałem... Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Pani Felicya, nie zważając na słowa syna, zaczęła czynić mu wyrzuty: dla czego stał się tak podejrzliwym. Dobrowolnie doprowadzał się do choroby, żyjąc w bezustannej obawie zdrady, której nikt nie zamierzał się dopuścić. Czyż człowiek zdrowo myślący może tego rodzaju bezzasadne czynić przypuszczenia? Albo ta wiara, że odkrył lekarstwo, wszystkie choroby usunąć mogąc! — rozgorączkowanywał się mrzonkami! Wszczępiął w swój umysł zbyt wygórowane o sobie przekonanie, z Bogiem chciał się równać! Jakże jest szkodliwe nabijanie sobie głowy podobnymi myślami! Bo jakież okrutne rozczarowania spotykają podobnych mu ludzi; uczyniła aluzję do śmierci karczmarza, tego biedaka, którego zabił: tak zapewne, niemiły to wielce wypadek, a jednak swą rozumiałością spowodował nieszczęście takiej doniosłości; rozumiała wybornie, iż sam się z tej przyczyny rozchorował, było bowiem czego żałować i nad czem boleć srodze...

Pascal wysiłał się, by nie wybuchnąć; patrzył w ziemię, raz wraz powtarzając jedne i te same słowa:

— Matko, błagam cię, zostaw mnie w spokoju.

— Nie, nie zostawię cię w spokoju, zawołała z żywością, z wiekiem jej podeszłym bynajmniej nieliczącą. Przyszłam naumyślnie, by do sumienia twego

przemówić, dopomóż ci do otrząśnięcia się z gorączki, w którą wpędzasz się z zaślepieniem... Dalej tak trwać nie może i nie chcę, by z twego powodu baśnie nam szkodliwe krążyć miały po mieście bezustannie... Chcę, byś wyzdrowiał, byś się leczył!

Wzruszył ramionami i rzekł, jakby siebie samego chcąc przekonać.

— Chory nie jestem.

Lecz pani Felicja aż podskoczyła z oburzenia.

— Jakto, nie jesteś chory! nie jesteś chory!... Ależ to chyba doktorzy nigdy choroby w sobie dopatrzeć nie umieją... Spytaj się kogokolwiek, każdy ci powie, iż niczem nieuzasadniony strach, oraz duma, do obłądu umysłowego cię doprowadziły!

Podniósł teraz oczy i utkwiał wzrok w mówiącej dalej matce.

To właśnie chciałam ci powiedzieć szczerze, ponieważ nikt się nie chciał podjąć wyjawienia ci prawdy. Przecież jesteś w tym wieku, żeś powinien wiedzieć, co ci czynić należy? Trzeba zapanować nad sobą, chronić się zwłaszcza od myślenia wciąż w kółko o jednym i tem samym. Powinieneś pamiętać, jak smutne mamy przykłady we własnej rodzinie... Wiesz, o czem mówię? Strzeż się zatem, by z tobą tak nie było.

Pobladł, słysząc te słowa i przenikając matkę wzrokiem, pytał się siebie, azali jest między nią i nim, najłżejsze chociażby podobieństwo. Wreszcie rzekł spokojnie:

— Masz rację, moja matko... I bardzo ci dziękuję.

Po chwili pani Felicja wyszła a Pascal sam pozostawszy, osunął się na krzesło przed biurkiem i chciał zmusić się do czytania. Uwaga wszakże wręcz odmawiała mu posłuszeństwa i tak jak poprzednio, wyrazy i litery, zagmatwaną i bezsensowną stanowiły plątaninę. Ostatnie słowa, wyrzeczone przez matkę, brzmiały mu wciąż w uszach, niepokój nieokreślony dotychczas przybrał wreszcie formę i zatrwał się Pascala nieochybnem swem niebezpieczeństwem. On, który tak niedawno, zaledwie dwa miesiące temu, z zadowolnioną dumą głosił, że nic nie ma z rodziną wspólnego, czyż miałby najsroższą za swą zarozumiałość i stanowczość w twierdzeniu ponieść teraz karę? Więc miał widzieć i odczuwać na sobie rozwijającą się straszną plagę choroby pień rodzinny toczącą? Wszak matka dopiero co powiedziała: strach i duma do obłądu umysłowego cię dowiodły...

A więc przewodnia myśl jego życia, cel, do którego podążał z zapałem, to jest pragnienie zmniejszenia miary cierpień ludzkich, odrodzenie rasy na silną i rozumniejszą—wszystko to było zarodkiem rozwijającego się teraz obłądu! Działał i myślał pod naciskiem istniejącej w nim od początku chorobliwie dominującej idei własnej wielkości. A ta bezustanna obawa zdrady i zasadzki, czyż nie była wyraźnym symptomatem właściwego obłądu? Szału prześladowania? Tak, niezawodnie; logicznem następstwem zła rodzinnego, które w sobie nosił: ulegnie obłąkaniu, o władnie nim paraliż i wtedy dopiero śmierć się nad nim ulituje.

Myśli te nie opuszczały Pascala na chwilę. Skut-

kiem ogólnego osłabienia, nie przychodziła mu chociażby chwilowa ochota zapanowania nad sobą, w celu pozbycia się uporczywej zmory, czyhającego nań obłąkania i śmierci. Osłabienie, ociężałość doznawana przy rannem wstawaniu, szum w uszach, złe działanie żołądka, łzy i zemdlenia, wszystko to pojedynczo i razem wzięte, stanowiło dla Pascala niezbite dowody rychłego już nieszczęścia. On tak biegle i umiejętnie stawiający dyagnozę każdej choroby, stracił jasność i trzeźwość względem oceny własnych dolegliwości; osłabienie ogólne jedyną było tego przyczyną. Stracił zupełną nad sobą władzę, popadł w prawdziwy obłąd, skutkiem bezustannego rozmyślenia, iż obłąkaniu ulegnie.

Wszystkie dni grudnia, szarem światłem swem senne, zużył na bolesne majaczenia. Co rano chciał im opór stawiać; lecz zawsze napróżno i zawsze powracał do udręczenia płaczącego mu bezlitośnie ład i spokój myśli.

Długoletnie śledzenie praw dziedziczności, wiele przyczyniało się obecnie do pogorszenia stanu zdrowia Pascala, podporządkowującego z zaciekłością dostrzegane na sobie symptomata. Czego pamięcią nie obejmował, wyszukiwał w księgach, notatkach i rodzinnych dokumentach. Lecz jeżeli się omylił, twierdząc, iż nie posiada żadnej cechy z rodziną wspólną, że zatem nie stanowi przykładu odłączości, wyrodzenia? Cóż sądzić ma o sobie? Jest-że spadkobiercą właściwości którego z dziadów, lub pradziadów? Lub może stanowi sam przez się okaz dostatecznie wyraż-

ny dla stworzenia nowej gałęzi w uprawianej z taką lubością teorii? A może przedstawia on stopniowo wykazujące się z latami podobieństwo do całego szeregu przodków i oto teraz na schyłku życia, przebywać musi okres pewien z istnienia nieznanego sobie protoplasty? Z zaciekłością gorączkową Pascal szukał ścisłego dla siebie określenia. Analizować się począł z niesłychaną drobiazgowością, z doznanych wrażeń i uczuć budował szeregi wniosków, mających posłużyć do wyciągnięcia ostatecznego wyводу. Praca to była niedołączna, niezrozumiała dla niego samego, tak dalece gorączkowo podniecona wyobraźnia wstrząsnęła jego organizmem. Co wieczór stawała myśl nieubłagana, czaszkę mu jak młotem rozsadzająca: ciąży na tobie rodowi właściwa zakąta, prawem dziedziczności — umrzesz waryatem.

W pierwszych dniach stycznia, Klotylda mimowolnym była świadkiem sceny, która boleśnie się o jej serce odbiła. Siedziała zajęta czytaniem w sali tuż pod oknem, zakryta wysoką poręczą staroświeckiego fotelu, gdy wszedł Pascal, od wczoraj w pokoju swoim zamknięty. Trzymał w obu rękach wielki, pożółkły arkusz papieru, Klotylda domyśliła się natychmiast, iż był to rysunek rodzinnego drzewa genealogicznego. Pograżonym był tak dalece w myślach, że mogła przejść tuż obok, nie zwróciwszy jego uwagi. Rozłożył na stole rysunek z drzewem i wpatrzył się weń z przerażeniem, z boleścią i jakby litości błagając, zalał się łzami. Boże mój! Dłaczego drzewo nie chciało orzec tego, czego pragnął tak gorąco, dla

czego nie mógł dociec prawdy, by zapisać właściwe określenie siebie samego dotyczące? Jeżeli obłąd czekał go zupełny, dlaczego przedtem nie miał znaleźć ukojenia, dopełniając pracy przedsięwziętej? Łzy wzrok mu zaćmiły, patrzył, nie widząc, szukał, znaleźć nie mogąc odpowiedzi zadawalniającej; odczuwał chwianie się rozumu. Nagle wstał i roztworzył szafę na rozcież a Klotylda skryła się głębiej w kryjówce swojej. Chwycił za teki z papierami rodzinnymi, rzucił je na stół, i gorączkowo, pośpiesznie przerzucał w nich kartki, szukając czegoś namiętnie. Złowroga scena w czasie nocnej burzy, powtórzyła się obecnie, wywoływał pokolenia całe i tłumy składających je postaci szalonym pędem biegly jedna za drugą, jak korowód duchów cmentarnych. Z zapyłonych papierów wywołane widma milczały, chociaż Pascal błagał każde z osobna o wykrycie dręczącej go tajemnicy. Mówił z początku niewyraźnie, oderwanymi tylko słowami, powoli płynęły mu z ust zdania urywane, myśli całkowite.

— Od ciebie?... czy od ciebie?... a może od ciebie?.. O, stara matko rodu naszego, od ciebie ja może wprost tę skłonność dziedziczę? Ty mi swój obłąd przekazujesz? A może od ciebie, wuju zbrodniarzu i nałogowemu pijaku? A może choroba Maksyma, mistycyzm jego brata, lub idiotyzm jego siostry, objaśnię mi dostarczy dla sformułowania nadwyrężenia, które się u mnie tak późno pojawia? Szukać-że mam objaśnień u ciebie, krewniaku, coś życie sobie powieszaniem przykrócił, albo u ciebie, coś zabijał, u ciebie

coś zmarła za życia z rozkładu krwi zakażonej? Czyż naprawdę tragiczność śmierci waszych przepowiednią jest mojej? Mamże skonać w klatce szaleńca w rozstroju całej mej istoty?!...

I mówił tak bez końca, widma stawały się przytomne, wirem szalonym kołując w około niego i otaczając go wałem wszystkich cierpień ludzkość dotknąć mogących.

— Ach! któż mi odsłoni prawdę, kto, kto?... Czy ten, co zmarł szaleńcem? Czy ten, co zmarł z suchot? Czy zamęczony paraliżem? Czy ta, której wady fizjologiczne dożyć lat młodzieńczych nie pozwoliły? Który z was od pokrewnej z moją, zginął trucizny? Czy histeryk, alkoholik, suchotnik, czy od skrofulów gnijący? I w jakiej formie zaraza u mnie się objawi. Mamże zginąć od epilepsyi, jako tabetyk, czy waryat. Jako waryat! Czy kto z was powiedział, że jako waryat? Tak, tak, wszyscy mi mówią, jako waryat, waryat, waryat!...

Płaczem głośnym wezbrała pierś Pascala. Głowa opadła mu wśród nagromadzonych papierów rodzinnych i płakał wciąż, cały drżąc z bólu. Klotylda powstała cichutko i wyszła, sądząc, iż wielkiej byłby doznał przykrości, spostrzegłszy, że miał świadka tej rozmowy, pełnej tragicznego wzruszenia.

Przygnębienie Pascala trwało nieustająco. Styczeń, zimniejszy tego właśnie roku, spłynął w umartwieniu. Pomimo zimna, niebo wciąż było pogodne, jasnym o-promienione słońcem; okna sali w Sulejadzie, wychodziły wprost na południe, dzięki tej okoliczności w zimę panowało w niej ciepłe, wiosenne powietrze.

Ognia nie rozniecano tu nigdy, bo dzień cały zalegające salę złote słońce ogrzewało ją dostatecznie; około okien brzęczały muchy, w błęd wprowadzone rozkoszną atmosferą sali. Ciszę przerywało jedynie ich brzęczenie.

Wśród owej pełnej wiosennego ciepła sali, spotkało Pascala cierpienie wielkie, które ostatecznie stan jego zdrowia pogorszyć miało. Nigdy teraz nie wychodził ze swego pokoju przed południem, a właśnie tego ranka Klotylda przyjmowała w sali doktora Ramonda; rozmawiali z sobą, siedząc tuż przy sobie, oblani promieniami blado złotego słońca.

Doktor Ramond przybywał dziś po raz trzeci w tym tygodniu. Osądziwszy, iż dłużej zwlekać z ożenieniem nie powinien, dla dobra wciąż polepszającego się stanowiska swego w Plassans, pragnął pozyskać stanowczą odpowiedź z ust Klotyldy. Dwie poprzednie wizyty spędził na niczem, skutkiem obecności osób trzecich, a ponieważ chciał się osobiście i szczerze porozumieć z Klotyldą w tej mierze, przeczekał aż do dnia dzisiejszego. Dawna zażyłość i koleżeńskie prawie stosunki—usprawiedliwiały w zupełności tego rodzaju postawienie kwestyi. Kończył właśnie mówić, uśmiechał się i patrzył jej prosto w oczy.

— Ręczę ci, Klotyldo, że pobierając się, uczynimy rzecz rozsądną. Wiesz, że cię kocham oddawna. Z przywiązaniem mem łączy się ściśle wielki szacunek, jaki mam dla ciebie... A jeżeliby tego jeszcze nie było dosyć, to powiem ci, że jestem najmocniej przekonany, iż zawsze porozumiemy się z sobą wybornie; tak,

niezawodnie, szczęście nasze zapewnione mamy z góry oboje.

Ona też nie spuszczała z niego oczu, patrzyła nań śmiało i szczerze, uśmiechając się przyjaźnie. Zdrowi i młodzi oboje, stanowili piękną parę w całym znaczeniu tego wyrazu.

— Dlaczego nie żenisz się z panną Lévêque, córką notaryusza?—zapytała po chwili. Ona ładniejsza i bogatsza odemnie i wiem na pewno, że niesłychanie byłaby szczęśliwą, gdybyś się o nią oświadczył... Po przyjacielsku wolę ci powiedzieć, że lękam się wielce, czy nie robisz głupstwa, chcąc się ze mną żenić...

Doktor Ramond wysłuchał słów Klotyldy spokojnie, lecz z miną człowieka pewnego siebie, iż tak jak robi, jest najlepiej.

— Ależ ja panny Lévêque nie kocham, ciebie zaś, Klotyldo, kocham bardzo. Wreszcie namyślałem się nad tem długo i wiem co robię. Powiedz mi zatem, że się zgadzasz, bo przecież i dla ciebie samej tak właśnie będzie najlepiej.

Klotylda nagle spowaźniała, cień bólu i walk, jakie przebywała, przebiegł jej po twarzy.

— Widzę, że oświadczyły twoje są bardziej seryo, aniżeli przypuszczałam; otóż kiedy tak, to pozwól, bym mogła dobrze się zastanowić, dam ci odpowiedź za parę tygodni... Mistrz jest chory, mnie to silnie niepokoi, odłóżmy zatem na później rozpoczętą dziś rozmowę... W każdym razie upewnić cię mogę, że mam wiele życzliwości dla ciebie, lecz decydować

się na coś stanowczego, dziś niepodobna, zbyt wielka w domu panuje trwoga. Zgadzasz się? Zbyt długo czekać ci nie każę.

Zmieniła kierunek rozmowy.

— Tak, zdrowie mistrza niepokoi mnie silnie... Chciałam się nawet z tobą naradzić, ale z tobą tylko. Wyobraź sobie, że widziałam go temi dniami zalanego łzami i mam pewność, iż trapi go obawa obłąkania. Za ostatniej twojej bytności spostrzegłam, żeś się starał zbadać stan jego zdrowia... Powiedz proszę, a powiedz szczerze, co mu jest? Czy stan jego jest groźny?

Doktór Ramond zaprzeczył energicznie.

— Ależ nie, zbyt wiele tylko pracował, nadwyreżył siły swoje, i oto wszystkol... Jak może człowiek tej wartości co on, lekarz przytem wybornie znający choroby nerwowe, mylić się do tego stopnia względem samego siebie! Rozpaczliwe doprawdy położenie, jeżeli najbystrzejszy umysł uledez może takiemu chwilowemu spaceniu! Własny jego wynalazek najlepiej pomódz tu może. Dlaczego nie spróbował zastrzykiwać?

A gdy Klotylda z rozpaczą wyznała, iż nikogo a jej przedewszystkiem Pascal w niczem teraz słuchać nie chce, iż nie śmie słowa do niego przemówić, nie chcąc większego rozdrażnienia w nim wywołać, doktor Ramond odrzekł:

— Kiedy tak, to ja pomówić z nim muszę.

W tej chwili właśnie wszedł do sali Pascal, posłyszawszy ze swego pokoju głos kolegi. Lecz spo-

strzegłszy młodą parę tuż przy sobie siedzącą w złotych promieniach słonecznych, zatrzymał się w proggu ak wryty. Na twarzy wyryła się boleść, poblądł i oczy rozwarł szeroko.

Nie widzieli go wcale. Ramond pochwycił właśnie rękę Klotyldy, mówiąc:

— Przyrzeczenia mi więc dziś nie dajesz? Lecz wiedz, że pragnę, byś ślub odbył się tego jeszcze lata... Wiesz, jak bardzo cię kocham, czekam więc odpowiedzi.

— Będiesz ją miał za miesiąc, odpowiedziała dziewczyna. Przyrzekam ci, że nie później.

Nogi zdrząły pod Pascalem. Więc ten oto jego uczeń, jego młody przyjaciel, zakradał się do własnego jego domu, by zabrać mu to, co miał najdroższego! Prawda, że powinien się był spodziewać takiego właśnie a nie innego rezultatu ze znajomości Klotyldy z doktorem Ramond, jednakże posłyszany projekt małżeństwa ostatecznie z nóg go teraz zwałił. Ta dziewczyna, którą wychował, wypieścił, którą za swoją wyłączną uważał własność, pójdzie od niego, opuści go bez żalu, chociażby on z bólu zamrzeć miał w samotnym swoim kącie! A przecież nie dalej jak wczoraj, zmordowany męczarnią tajemniczego z nią życia, chciał i przemyślał, jak się jej pozbyć, do brata do Paryża jaknajśpieszniej odsyłając. Maksym wciąż się o siostrę dopominał, wzywał ją do siebie i Pascal doszedł do wniosku, że co rychlej należy zadośćuczynić życzeniom Maksyma, dla dobra Klotyldy i jego samego. Dlaczegoż więc w tej

chwili, ujrawszy ją przy boku młodego mężczyzny, z którym projekty małżeństwa układała z powagą, cios śmiertelny w samo serce otrzymał?

Podszedł wreszcie ku nim, stąpając głośno dla zwrócenia ich uwagi. Młodzi ludzie spłoszyli się i zakłopotali widocznie.

— Właśnie o tobie, mistrzu, mówiliśmy przed chwilą, rzekł wreszcie z wesołością Ramond. Tak, spiskowaliśmy o tem, co nie jest tajemnicą... Ale dlaczego nie leczysz się, mistrzu? Gdybyś chciał tylko, to w dwa tygodnie zdrowie ci wróci w zupełności.

Pascal rzucił się na krzesło i patrzył na nich uparcie. Przemógł się wreszcie i niczem nie dał poznać walki, która w nim teraz wrzała. Czuł, że cios doznany ugodził go w serce śmiertelnie, lecz postanowił nawet w chwili zgonu tajemnicę całą zachować dla siebie. Dla ulżenia rozdrażnieniu, jakiego doznawał, wpadł w gniew i z gwałtownością zarzekać się począł, że nikt go namówić ani przymusić nie zdoła, do jakiegokolwiek bądź leczenia, szklanki ziółek nawet dla niczyjej przyjemności nie wypije...

— Po co się mam leczyć? Stary jestem a przeciw starości niema lekarstwa!...

Ramond nalegał łagodnie, lecz stanowczo.

— Silniejszy jesteś, mistrzu, od nas wszystkich... Wypadkowo tylko niedomagasz, lecz środek przeciwko temu masz w ręku... Zastrzykiwania podskórne...

Lecz słów domówić nie zdołał, takie niemi wywołał oburzenie ze strony Pascala. Więc radzono mu

by się uśmiercił na wzór biednego karczmarza, którego zabił niedawno! Zastrzykiwania podskórne? Oto znakomity wynalazek!... Sławy mu niezawodnie przyniesie on dużo!... Wpadłszy w zapał, Pascal oburzał się na niedołęztwo wiedzy medycznej, zaklinając, że teraz już nigdy nikogo leczyć nie będzie. Wreszcie, gdy starość nadwątlili siły, to zdechnąć jest najlepiej; po co żyć bezużytecznie i tylko drugim zawadzać? Tak, umrzeć najlepiej i oby najrychlej!...

—Daj pokój, daj pokój, mistrzu—zawołał Ramond, zegnając się, przypuszczał bowiem, że obecnością swą drażni Pascala. Pozostawiam cię z Klotyldą, ona ci te myśli z głowy wybije!...

Cios otrzymany dziś rano ostatecznie powalił Pascala. Położył się i dobę całą nikogo do pokoju swego nie wpuszczał. Zaniepokojona Klotylda napróżno do drzwi jego pukała, nawet się nie odezwał. Marcyna błagać poczęła, by pan jej choć słówkiem zechciał odpowiedzieć, czy nie potrzebuje czegokolwiek. Głucha cisza trwała nieprzerwanie, jak gdyby pokój pustym był i opuszczonym. Nazajutrz rano, Klotylda poruszyła klamkę drzwi od pokoju Pascala i drzwi się uchyliły, odryglował je, lecz kiedy?—Trudno było dociec. Weszła po raz pierwszy w życiu do zamkniętego zawsze dla wszystkich pokoju doktora. Okna wychodzące na północ mało dawały światła, w odległym kącie dostrzegła wążkie, żelazne bez firanek łóżko, niedaleko stały przyrządy kąpielowe, dalej długi, wielki stół czarny a na półkach, obiegających ściany dokoła, widniała olbrzymia ilość mózdzierzy,

butelek rozmaitej wielkości i kształtów, fajerki, maszyny i najdziwaczniejsze przyrządy. Pascal siedział ubrany na brzegu łóżka, które z widocznym wysiłkiem dopiero co słać ukończył.

— Więc zawsze odtrącasz mnie i nie chcesz, bym ci usłużyła, gdy chory nawet jesteś, mistrzu?—zapytała nieśmiało i prawie z progu Klotylda.

Ze znużeniem w głosie i postaci, odrzekł:

— O! możesz się zbliżyć, nie bój się, bić cię już siły nawet nie mam...

Od tej chwili pozwolił jej być przy sobie. Kapryśnym się stał nad miarę, chorobliwe miewał zachcianki, przez zbyt wygórowaną skromność obyczajów, nie dozwalał, by wchodziła, gdy leżał jeszcze w łóżku; Marcyna usługiwała mu podówczas. W łóżku wreszcie wytrzymać długo nigdy nie mógł; zwłókszy się z pościeli, siadał na krześle; niecierpliwiąc się, że do żadnej nie był zdolny pracy. Stan jego zdrowia pogarszał się znacznie. Zniechęcony do wszystkiego, zbolewały trapiącą go bezustannie migreną, osłabiony złym stanem żołądka, niezdolny stawiać nogi przed siebie, utrzymywał co rana, iż dziś nocować będzie w Tuilettes, skrępowany więzami jak na waryata przystało. Schudł, twarz nabrała wyrazu tragicznego i tylko pozostały zawsze jeszcze piękne siwe włosy, których czesać dotąd nie zaniedbywał. Dozwalał, by mu usługiwano, lecz lekarstwa żadnego przyjmować nie chciał, utrzymując, że przestał wierzyć medycynie.

Klotylda nim się wyłącznie zajmowała obecnie.

Wszystko inne przestało ją powoli zajmować, początkowo wybiegała na cichą mszę poranną, teraz zupełnie przestała uczęszczać do kościoła. Jakby nową wiarą w szczęście ożywiona i niecierpliwie tego szczęścia pożądając, zadawała się jaknajstaranniejszą bacznością względem chorego, którego co rychlej pragnęła ujrzeć w zdrowiu i radości. Zapominając o sobie, poświęciła się pielęgnowaniu Pascala, znajdując w tem zaparcie się zadowolenie najwyższe; działała w tym kierunku bezwiednie, ulegając kobiecej swej naturze, skłonnej do poświęcenia się dla dobra drugich; przekształcało się w niej również bezwiednie całe jej dotychczasowe usposobienie. W rozmowie unikała aluzji wszelkich, co do dzielących ich przekonań, atoli nie przyszło jej jeszcze na myśl, by rzucić się Pascalowi na szyję i wyznać, że po jego stronie, że jest jego, stanowczo jego a zatem smucić się już nie ma przyczyny. Pielęgnowała go jak córka, jak każda inna krewna w jej przekonaniu winna była pielęgnować go w chorobie. Powodowana wzniosłym uczuciem czystej i żadną myślą niepokalanej miłości, doglądała Pascala z troskliwością niezrównaną; całe dnie i wszystkie godziny i minuty poświęcone były myśli przyniesienia mu ulgi czas mijał szybko a majaczenia o życiu przyszłym ustąpiły chęci uzdrowienia chorego.

Klotylda chciała, by Pascal spróbował zastrzykiwań podskórnych, lecz on uparcie temu się opierał. Unosił się gniewem, zaprzeczał doniosłości uczynionemu odkryciu, zwał się głupcem a nie wynalazcą.

Klotylda również w gniew wpadała. Ona teraz wierzyła w wiedzę, wierzyła w doskonałość uzdrawiającą eliksiru. Długi czas opierał się zwycięzko, wreszcie uległ, by usunąć codziennie powtarzające się sprzeczki, jakkolwiek czułość przywiązania prawdziwym była ich źródłem. Zaraz po pierwszym uktuciu wielkiej doznał ulgi, chociaż przyznać tego nie chciał. Głowę miał o wiele swobodniejszą, siły powoli wracać mu zaczęły. Klotylda tryumfowała, oburzając się przytem na Pascala, iż nie oceniał się należycie; zachwycała się nad odkrytą przez niego metodą leczenia, metodą cuda czyniącą. Uśmiechał się i jasno rozpoznawać począł własną chorobę. Tak, Ramond miał rację, zbyt wielką pracą nadwyreżył i osłabił w sobie ustrój nerwowy. Lecz może złe da się jeszcze usunąć.

— Ty mnie uzdrawiasz, kochana moja dziewczeczko, zwykł teraz mawiać. Lekarstwa same przez się nie są warte, lecz jedynie ręka, która je podaje.

Powoli wracał rzeczywiście do zdrowia; przeszedł w ten sposób cały miesiąc luty. Powietrze wciąż było chłodne, lecz słońce grzało coraz silniej, wiosennem ciepłem napęłniając salę. Mimo polepszenia zdrowia, Pascal miewał jeszcze od czasu do czasu gorzkie chwile zniechęcenia i dawnego niepokoju; Klotylda siadała wówczas zdaleka i w milczeniu, nie chcąc go drażnić swoją obecnością. Nie wierzył w możliwość odzyskania zdrowia. Wypowiadał zdania pełne goryczy i drażniącej ironii.

Właśnie w czasie napadu tego rodzaju złego humo-

ru, zbliżył się raz Pascal do okna i ujrzał p. Bellombre, swego sąsiada, zdziwaczałego starego profesora, jak pilnie oglądał drzewa owocowe w swoim ogrodzie, chcąc się przekonać, o ile obficie kwitnąć będą tej wiosny. Widok p. Bellombre zawsze gniewnie usposabiał Pascala, lecz dziś, widząc sztywnego, pięknie przybranego i zdrowo wyglądającego starego egoistę, wybuchnął bardziej gorzkiemi, niż kiedykolwiek słowy:

— Oho! Ten nie spracuje się nigdy zbyt wiele; kocha się tylko w nędznym swoim kadłubie, o nic więcej nie dbając!

W ten sposób rozpoczynając, począł ironicznie opiewać chwałę egoizmu. Szczęście najwyższe stanowi: być na świecie samotnym, dbać tylko o siebie, bez ciężarów, jakie sprowadza żona, dziecko, przyjaźń i uczucie wszelkiej. Czyż ten stary skąpiec, który przez lat czterdzieści dręczył systematycznie swych uczniów a teraz żyje spokojnie u siebie bez psa nawet, w towarzystwie jedynem swego niemego ogrodnika, nie jest najszczęśliwszym z ludzi? Nie ma obowiązków żadnych, ani udręczeń i obawy innej, jak ukochane swe zdrowie. P. Bellombre wielki przykład mądrości dla nas stanowi, i żyć będzie w stanie błogiej szczęśliwości sto lat najniezawodniej!

— Życie jest rzeczą straszną i obawa życia całą pełnią — godnem szacunku jest tchórzostwem... Często żałuję, iż dziecka nie mam własnego — ale jakimże prawem powołujemy do życia istotę do cierpienia wraz z innymi nieszczęśliwymi świat

ten zaludniającymil... Przykrócić należy dziedziczność! Przykrócić życie! Tak, tak jasno teraz widzę, iż ten tchórz stary, nie tylko jest najszczęśliwszym z ludzi, lecz na pewno i najuczciwszym z nas wszystkich!

P. Bellombre spokojnie grzał się dalej na marcowym słońcu, obchodząc dokoła grusze rosnące w jego ogrodzie. Kroki stawiał zwolna, unikając zmęczenia. Napotkał właśnie kamyk na swej drodze, końcem laski usunął go na bok i poszedł dalej rozważnie.

— Patrz tylko na niego! Patrz i podziwiał, jaki prosty, jaki wymuskany; jakże mu tych wszystkich darów nieba nie pozazdrościć! Nie znam szczęśliwszego nad pana Bellombre człowieka!

Klotylda milczała, odczuwając gorycz bólu dyktującego te słowa. Zazwyczaj broniła p. Bellombre, dziś łzami tylko nabiegły jej oczy i wyrzekła wreszcie cichutko:

— Może jest i szczęśliwy, lecz go nikt nie kocha.

Słowa Klotyldy urwały nagle scenę tę niemiłą. Wstrząsnęły umysłem Pascala; zwrócił się ku dziewczynie i patrzył na nią uważnie. Wzburzony wreszcie bardzo, wyszedł z pokoju w obawie, iż łez powstrzymać nie zdoła.

Tygodnie całe tak upływały, przeplatane lepszym lub gorszym humorem chorego. Siły wracały, lecz bardzo zwolna a najbardziej niecierpliwiła Pascala okoliczność, że nie mógł się jeszcze do żadnej zabrać pracy, natychmiast bowiem potem oblewał się cały.

Gdyby przemódz się chciał choć trochę, czuł, iż zemdlałby niezawodnie. Poddawał się z niechęcią przedłużającemu się niedomaganiu. Powoli wszakże zaczął przeglądać swe papiery, odczytując ostatnie swe prace; wraz z rozbudzającą się chęcią do dalszych poszukiwań naukowych, powracała obawa o los nagromadzonych długimi latami zbiorów. W czasie choroby bowiem popadł w obojętność zupełną; dom cały, papiery, wszystko co obchodziło go najżywiej, znikło w umyśle jego całkiem; można było wówczas wszystko wynieść, spalić i zniszczyć, uwagi jego nie zwróciwszy i nie dotknąwszy go, nawet gdyby się to w jego przytomności było stało. Obecnie, podejrzenia na nowo oblegać go poczęły i macał się często po kieszeni, dla przekonania się, czy klucz od szafy znajduje się w niej.

Razu pewnego wstał nieco później, niż zazwyczaj, a wszedłszy dopiero około godziny jedenastej do sali, zastał Klotyldę, kopiującą z wielką dokładnością gałąź rozkwitłego drzewa migdałowego. Podniosła głowę na powitanie z uśmiechem i, wzięwszy klucz, leżący na stoliku, podała go Pascalowi, mówiąc:

— Patrz, mistrzul Zabierz, coś zostawił.

Zdziwiony, spoglądał na nią, nie rozumiejąc o co idzie.

— Co takiego?

— Oto klucz od szafy z papierami; upuścić go musiałeś wczoraj, bo znalazłam go dziś rano na ziemi.

Pascal, wzruszony i zmieszany wziął klucz do ręki.

Patrzył to na klucz, to na Klotyldę. A więc nie nastawała już teraz na zniszczenie, na spalenie papierów? Więc naprawdę koniec będzie istniejących dotychczas nieporozumień? Widząc, iż patrzy śmiało i z uśmiechem, pełnym szczerości, rozradował się serdecznie.

Chwycił ją w objęcia i pocałował.

— Dziewczyno moja kochana, czyż my naprawdę będziemy znów żyli spokojnie i szczęśliwie!

Zwrócił się następnie do biurka i klucz rzucił do szuflady, tam, gdzie niegdyś długie lata spoczywał.

Od tej chwili, siły wracały mu szybko; Pascal z dniem każdym widocznie do zdrowia powracał. Ostrożności wszakże zachowywać musiał wielkie, w obawie, by choroba na nowo nie wróciła. Mógł już trochę pisać; pogoda wiosenna czuć się w powietrzu dawała a słońce takiej nabierało mocy, że często przysłaniać trzeba było okiennice w sali, gdzie pracował najchętniej. Nie chciał widzieć jeszcze nikogo a gdy stara pani Rougon przyszła od czasu do czasu, by dowiedzieć się o jego zdrowiu, kazał mówić, że spać się właśnie położył; prócz Klotyldy, tylko obecność Marcyny, nie była mu uciążliwą. Coraz więcej czuł się szczęśliwszym wśród domowej ciszy i samotności, pielęgnowany przez tę, którą wczoraj jeszcze za wroga swego poczytywał a która dziś jest znów uległą i przywiązaną wychowanką jego ducha. Pogadanki ich przerywało często długie i pełne uroku milczenie. Pograżeni w swych myślach, oddawali się z rozkoszą marzeniu.

Pewnego dnia Pascal niezwykle poważnie był usposobiony. Jakkolwiek przekonany był, iż chorował skutkiem nadmiernej pracy i domowego zmartwienia a nie skutkiem dziedziczności, czuł się upokorzonym objawami swej choroby.

— Boże mój—szepnął—jakże mizernymi jesteśmy istotami! Tak byłem dumny ze swego zdrowia, ciała i umysłu! A oto trochę zmęczenia i kłopotów i powalony zostałem chorobą; niewiele brakowało, bym szaleńcem nie został...

Zamilkł i zamyślił się głęboko. Oczy jego powoli rozjaśniały się stopniowo i opanował się wreszcie zupełnie. Uczuwszy się panem siebie, zdecydował się przemówić.

— Chciałbym, zwłaszcza dla ciebie, Klotyldo, jak najprędzej wyzdrowieć.

Klotylda nie zrozumiała znaczenia słów i głowę podniosłszy ku niemu, spytała:

— Jakto?

— Tak, z powodu twego małżeństwa... Aby mój dzień ślubu oznaczyć.

Zadziwiła się bardzo, wreszcie, jakby przypominając sobie, rzekła:

— Ach, prawda, lecz nie myślałam w tej chwili o małżeństwie mojem.

— Jeżeli chcesz, to dziś oznaczymy dzień ślubu. Wybierzmy go około połowy czerwca, czy zgadzasz się?

— Tak, dobrze, około połowy czerwca.

Od chwili tej, przestali mówić; Klotylda cała odda-

ła się szyciu a Pascal zamyślony i z oczami w dal zapatrzonemi, z twarzą coraz surowszą, siedział bez ruchu w staroświeckim fotelu.

Tegoż samego dnia przybyła do Sulejady stara pani Rougon a spostrzegłszy Marcynę, zajęętą sadzeniem porów w ogrodzie warzywnym, skierowała się ku niej, by w rozmowie wybadać, co zaszło od ostatniej jej bytności.

Czas płynął i wszystko szło ku gorszemu, zdaniem Felicji. Klotylda usuwała się na bok widocznie i chyba za jej pośrednictwem nigdy nie posiadzie upragnionych papierów rodzinnych. Dziewczyna leciała na oczywistą zgubę, boć od czasu choroby Pascala zbliżyła się ku niemu otwarcie, dzięki czemu psuła się do tego stopnia, iż oddawna w kościele jej nie widziała! Po głębszem zastanowieniu się, Felicja wróciła do myśli swej pierwotnej: trzeba Klotyldę z Sulejady usunąć a wtedy na osamotnionego Pascala łatwiej wpływ wywrzeć będzie można. Ponieważ nie chce jechać do brata, należy ją jak najspieszniej wydać za mąż; pragnęła chociażby natychmiast rzucić dziewczynę w objęcia doktora Ramonda, wszystkie zwłoki niecierpliwiły ją niewymownie. Przybyła dziś w odwiedzinach do syna z silnem postanowieniem, pchnięcia biegu rzeczy naprzód.

— Dzień dobry, Marcyno... Cóż u was słyhać?...

Stara Marcyna klęczała wśród zagonów, z rękoma czarnemi od grzebania ziemi, z twarzą przysłoniętą chustką, którą zawiązała na czepek, by się zabezpieczyć od słońca; podniósłszy nieco głowę, odpowiedziała:

— Nic nowego, ot tak, żyjemy...

I wszczęła się między niemi rozmowa. Pani Felicja mówiła do niej poufnie, uważając ją więcej za członka rodziny, aniżeli za służbę. Wypytywać ją poczęła, czy czasami doktor Ramond nie odwiedził ich dziś rano. Tak, był, lecz napewno nie mówiono o żadnej rzeczy ważnej. Pani Felicja poczęła rozpaczać, boć i ona widziała niedawno doktora Ramonda, który zwierzył się jej z przykrego swego położenia, skutkiem braku decyzji ze strony Klotyldy. Trwać tak dalej nie mogło, trzeba dziewczynę zmusić do stanowczego wypowiedzenia się w tym względzie.

— Powoli, uspokojona nieco, rzekła:

— Syn mój już zdrowie odzyskał i nie potrzebuje jej nadal...

Marcyna pilnie pracowała przez cały czas rozmowy pochylona ku ziemi wciąż pory sadziła.

Posłyszawszy ostatnie słowa pani Rougon, wyprostowała się cała i stanowczo potwierdziła:

— O tak, nie potrzebuje jej nadal.

Twarz jej mizerna, zużyta długoletnią pracą i służbą, ożywiła się cała. Wypowiadała w ten sposób żal swój głęboki, ranę bolesną, zadaną jej obojętnością Pascala. Przez cały czas choroby, zaledwie że znosił jej obecność, nie przyjmując od niej prawie żadnych posług, często nawet drzwi swego pokoju wprost przed nią zamykał. Instynktem przeczuwała, co się dzieje i ogarniała ją zazdrość; od lat tak długich ślepo przywiązała się do pana swego i oto teraz usu-

niętą się czuła, wzgardzoną bez żadnej przyczyny, powtórzyła też po chwili:

— Tak, tak, nie potrzebujemy uadał panny Klotyldy! Moje usługi wystarczą panu.

Zazwyczaj milcząca i zamknięta w sobie, Marcyna poczęła rozwodzić o jej użyteczności dla doktora; bo nawet ogród obrabiała sama, chcąc panu parę groszy zaoszczędzić. A koło domu, ileż było roboty! Lecz starała się wszystkiemu sama podołać, co też dzięki swej pracowitości, czyniła z wielką ścisłością. Jak panienka ubędzie, to i roboty ubędzie sporo. Oczy jej na samą tę myśl zabłyśły radośnie, tak dalece pragnęła uwolnić się od obecności Klotyldy w Sulejadzie.

Głos teraz zniżyła.

— Przykro mi może będzie w pierwszej chwili, gdyż pan będzie zmartwiony odjazdem panienki. I nie przypuszczałam nigdy, bym sobie życzyć mogła rozstania się z panną Klotyldą... Tylko teraz, coraz wyraźniej czuję, iż duszę swoją może ona tu zatracić. I tak mi wtedy smutno, że serce z żalu o mało mi nie pęka!

— Czy oni są na górze?—zapytała Felicja—Pójdę się z nimi rozmówić i muszę ich skłonić do czegoś stanowczego.

W godzinę później, pani Rougon znów była z powrotem przy Marcynie, kończącej swoją robotę w ogrodzie, wciąż czołgającej się na klęczkach pomiędzy starannie przekopanemi zagonami. Dość była zadowolona ze swej wizyty na górze. Gdy wspomniała

o widzeniu się z doktorem Ramondem, który jej troski swe zwierzył, niecierpliwie oczekując, co Klotylda o losie swoim i jego postanowi, Pascal przytakująco poruszał głową, jakby dla wyraźniejszego zaznaczenia słuszności wymagań młodego doktora. Klotylda z powagą i uszanowaniem wysłuchiwała słów babki. Dziwiła się wszakże, dlaczego ten pośpiech? Mistrz sam oznaczył datę ślubu na czerwiec a zatem przeszło dwa miesiące czasu miała do namysłu. Musi o tem wszystkim pomówić z Ramondem. Zawarcie małżeństwa, jest aktem tak ważnym, że doprawdy mogliby jej pozwolić na głębsze zastanowienie się... Mówiła z powagą, jak kobieta, chcąc powziąć stanowczą decyzję. Na dziś, musiała się pani Felicya tem tylko zadowolnić; w duchu przyznawała, że nie spodziewała się ich zastać tak rozsądnie usposobionych.

— Zdaje mi się, że małżeństwo Klotyldy z doktorem Ramondem, można uważać za rzecz pewną—kończąc rozmowę, rzekła Felicya—widzę, że Pascal nie jest temu przeciwny a ona nie chce się tylko śpieszyć zbyt, chce się dobrze namyślić, nim się zobowiąże. Kiedy tego chce, niechże się namyśla, przez tydzień jeszcze zostawię ją w spokoju.

Marcyna siedziała teraz na ziemi w kucki, zapatrzona w punkt jakiś nieokreślony, z twarzą mieniącą się smutkiem bólu serdecznego.

— Tak, tak—rzekła z cicha—panienka coś zanadto zamyśla się i przemyśliwa od jakiegoś już czasu. Wiecznie kryje się z tem po kątach. Często mówić

do niej można a ona ani słyszy. Wygląda, jak człowiek, któremu się zbiera na wielką jakąś chorobę, takie same ma błędne spojrzenie... Dziwne się z nią dzieją rzeczy czasem, ale już to nie ta sama panienka co dawniej, oj nie ta sama...

Marcyna wzięła za motykę i znów sadziła pory zawzięcie, tak jak zwykle czyniła przy każdej robocie; pani Rougon wkrótce odeszła trochę uspokojona jak mówiła—pewnością małżeństwa, którego tak żywo obecnie pragnęła.

Zdawało się rzeczywiście, iż Pascal pogodził się z myślą wyjścia za mąż Klotyldy. Nie mówił z nią o tem nigdy, zaledwie wtrącona przypadkowo w rozmowie aluzya przypominała zmianę, jaka zająć miała w ich życiu a dwa miesiące czasu, które mieli jeszcze przed sobą, zdawały się im obojgu epoką długą, wiecznie trwać mającą. Ona zwłaszcza z uśmiechem odpędzać się zdawała wszystkie niepokojące kwestye i troski, spuszczając się na łaskę, jaką życie dobrotliwie przynosi z sobą czasami. Pascal zaś, prawie już zdrów zupełnie, wciąż dobrej był myśli, smutnym był tylko wieczorem, gdy Klotylda szła na spoczynek a on samotny powracać miał do pustką wiejącego swego pokoju. Dreszcz go przebiegał i zimno przejmowało go całego na myśl, iż wkrótce na zawsze samotnym i opuszczonym zostanie. Czyż niedołączył skutkiem starości? Przyszłość wydawała mu się wtedy straszną i bezsilnym wobec niej uczuwał się. Smutek ogarniał go wielki za żoną, za dzieckiem, które mógł być mieć, buntował się przeciw własnemu losowi, ka-

tusze cierpiąc prawdziwe pod nawałem bolesnych myśli.

Dlaczego nie użył życia przynajmniej! Zdarzały się noce bezsenne, w czasie których przeklinał wiedzę, ją winną czyniąc bezpowrotnej zatraty jałowej swej młodości. Stał się ofiarą pracy, która pochłonięła jego mózg, serce i mięśnie. Żądzą pracy opamiętany wszechwładnie, spędził przy jej pomocy sporo ksiąg, całe stosy zapisanego papieru, lecz cóż to wszystko warte! Wiatr kartki rozniesie i rozproszy, kartki zimne, ręce mu teraz mrozące, za każdym dotknięciem. Nie zastąpią one ciepłego niewieściego łona do jego tulącego się piersi, nie zastąpią główki dziecięcej, żadnej pieczyoty ojcowskiej! Jak mędrzec egoizmowi hołdujący, zamknął się w ciszy i samotności, teraz ufać jest zapóźno, jak żył dotychczas tak i żyć musi do śmierci. Więc naprawdę, do śmierci pustką tylko będzie otoczony. Nigdy, nigdy więc nie zazna radości przystępnych dla każdego, dla najbiedniejszego tragarza, lub furmana, który oto w tej chwili tak wesoło poklaskuje bitem tuż pod oknami. Jeżeli pragnie życia jeszcze pokosztować, to śpieszyć się należy. Na samą myśl tej możebności, krew żywiej w jego żyłach krążyła, całe zasoby młodzieńczych pragnień i żądz namiętych, wzburzonym potokiem pędząc, unosiły go z sobą. Musi pokochać się i odżyć skąpany miłością, musi zaznać i wyczerpać całą skalę uczuć namiętych, dotąd niezaznanych, musi pokosztować całej pełni rozkoszy przed nadejściem starości! Szukać ich będzie i posiadać je musi,

choćby miał wszystkich i wszystko na pomoc ku temu wezwać. Podniecenie w tym kierunku ustawało zazwyczaj co rano, gdy odświeżywszy ciało strumieniami zimnej wody i ubrawszy się śpiesznie, opuszczał samotny swój pokój. Lubieżne widziadła zacieirały się zupełnie a Pascal powracał do właściwej sobie nieśmiałości. Z nadejściem nocy powracały pałace go udręczenia a bezsennością podrażniony, składał sobie przysięgę użycia co prędzej owych niezaznanych rozkoszy.

W czasie bezsennych nocy, leżał w ciemnościach z otwartymi oczami i zawsze to samo widzenie majaczyło przed nim uparcie. Młoda, dwudziestoletnia nieznaną dziewczyna cudnej piękności klękała z uwielbieniem i poddaniem się przed nim a on brał ją na własność swoją wyłączną. Kto ona była? Cóż jakby wędrowną córką, miłości szukającą starego i potężnego króla, by mu swym młodzieńczym czałem zdrowie i młodość przywrócić. Królem był on sam, a starość czuł jak ustępowała pod tchnieniem miłości młodej czarodziejki. Z objęć jej powstawał odrodzony, pełen siły i otuchy.

W starej biblii, którą posiadał, zajmował go i nęcił naiwnie narysowany obrazek, przedstawiający zgrzybiałego króla Dawida, wspartego na gołych ramionach młodziutkiej Sulamitki, pięknej Abisais. Z zajęciem odczytywał tekst, znajdujący na sąsiedniej stronie: „Stary Dawid drżał z zimna i najcieplejsze oponcze i przykrycia ogrzać krwi mu nie mogły. Wierni słudzy odezwali się raz do niego: poszukamy

i znajdziemy dla króla i pana naszego dziewczę piękne i niewinne. Widok jej rozpromieni i zabawi oczy twoje, królu, a młode jej ciało ogrzeje członki pana naszego. I szukać poczęli po całym izraelskim narodzie młodej i pięknej dziewicy; wybrali Sulamitkę niewinną, Abisais, i przed króla przywiedli; spoczywała przy boku króla, zawsze gotowa go rozgrzać. A on czy nie drżał z zimna, tak jak ów król biblijny? Dreszcz przebiegał mu członki, gdy wchodził w progi samotnego swego pokoju. A piękna dziewczyna która w sennem marzeniu klękała przed nim w miłosnem poddaniu, nie byłaż to owa młoda Sulamitka, pokorna i panu swemu uległa, ku wyłącznej jego rozkoszy i dobru schodząca. Postać dziewczyny nie odstępowała go na chwilę, stała jak niewolnica, powolna na każde skinienie, na każdą zachciankę, szczęśliwa jego szczęściem jedynie, a tak cudnie piękna ciałem, że oczy w zachwyt wprawiała, słodka zaś i miła, jak kąpiel z wonnych olejków. Inne ryciny, będące w starej biblij, nęciły również Pascala, z ochotą puszczał wodze fantazyi, życie patryarchów i królów odgadując. Jakże ufano w siły mężów ówczesnych, w ich długowieczność i panowanie dowolne nad płcią słabą! Zadziwiające pozostały nam opowieści o mężach przeszło stuletnich i zapładniających młode swe małżonki, liczne nałożnice, oraz wdowy i sieroty, chroniące się pod ich opiekuńcze skrzydła! Stuletni Abraham spłodził ze starą swą siostrą, Sarą, Izaaka, z niewolnicą Agarą, Izmaela. Albo ta pełna wdzięku idylla o Rucie i Booziel! Młodo owdowiawszy, Ruć

przybywa w okolicę Betleem; po ukończonej pracy w polu przy żniwie, spoczęła u nóg Booza, który wtedy zrozumiał, jakie ma nad nią prawo; krewnym jej był a więc stosując się do przepisów, pojął ją za małżonkę. Legendy te, o niczem niekrępowanej sile żywotnej, wytworzyły naród zdolny ujarzmić świat cały; naród ten bowiem, wierząc niezłomnie w wiekuiszą młodość i niespożytą męskość swych patryarchów, oraz nigdy nieprzykróconą wiekiem płodność swych niewiast, mnożył się nieskończenie, czerpiąc niczem niewzruszoną ufność w swe losy, ku temu celowi dążąc z całych sił, niepomyślnym był na zbrodnie cudzołóstwa, kazirodztwa i wszelkie występne związki miłosne.

Rozmyślania Pascala przybierały chwilami utudną formę gorączkowej rzeczywistości. Pociągająca dlań w starej biblii rycina króla Dawida i pięknej Abisais częstokroć sprawiała, iż widział wchodzącą do jego ciemnego i smutnego pokoju, jaśniejącą czarem młodocianej piękności Sulamitkę, która obnażona, składała mu swe ciało w ofierze.

O jakże łaknął i pragnął podobnego daru! Na schyłku życia ogarnęła go żalność niezmierna i chęć powetowania sobie rozkoszy niezaznanych lub dawno minionych; usiłował je wskrzesić, chociażby tylko w marzeniu. Wskrzesić je pragnął dla niezrównanego czaru, jaki pozostaje nam w skarbnicy pamięci o pierwszych uściskach miłosnych upojeń; pragnął przytem wierzyć, iż wszystko dlań nie jest jeszcze stracone, że jeszcze zdrowia i siły pozostaje mu dosyć, by wszy-

stkie źródła rozkoszy wyczerpać i szczęściem miłości nasycić się. O gdyby mu się młodość wrócić teraz chciała, jakże namiętnie trwoniłby jej dary, trwonił, by spożyć wszystkie, nim starość niedostępnymi uczynić je zdołał. Ze wzruszeniem przypominał sobie postać swoją, gdy jako dwudziestoletni smukły młodzieniec, czarne miał włosy i białe, połyskujące zęby.

Gdyby czarodziejska siła przywrócić mu dziś zdołała te w swoim czasie zapoznane skarby! Wdzięki młodości niewieściej napawały go teraz niewypowiedzianem wzruszeniem. Wdzięki wywoływane wyobraźnią Pascala nic osobistego w sobie nie zawierały, wyrażały one jedynie promienny obraz młodości owianej czarem jaśniejących oczu, różanych ust, szyi i ramion toczonych a jedwabistą mgłą rozwianych włosów zlekka przysłoniętych; naga postać uosabiająca młodość w jego widzeniach wydawała mu się zawsze smukłą i wyniosłą, boskość rozlana była w nagej piękności. Wzrok Pascala ścigał ułudne zjawisko a serce wrzało żądzą niepohamowaną. W wywołanem upojeniu, młodość stanowiła jedyny pożądaný kwiat dobra i szczęścia, jedyne piękno i radość, które wraz ze zdrowiem naturę, jako najcenniejszy dar udzielić może. Ach! Powrót młodości otrzymać, i posiadać skarb cały rozkoszny w uścisku kobiety!..

Od chwili, jak kwietniowe ciepła kwiatem drzewa pokryły, Pascal wraz z Klotyldą odbywali rankami długie przechadzki po parku. Pierwsze po chorobie spacerowały jako cel ogrzane słońcem klepisko

później kierowali swe kroki ku sosnom, by wydostać się przed front domu, pomiędzy dwa odwieczne cypryisy, cieniem swych smukłych sylwelek przecinające szorstko światłą przestrzeń tarasu. Kamienne płyty przed domem wydawały się na słońcu białemi a w roztaczającym się ztąd szerokim widoku, oddalać się zdawał horyzont, skutkiem powodzi światła.

Pewnego ranka, Klotylda, nabiegawszy się po ogrodzie, weszła zdyszana do sali a spostrzegłszy, iż zapomniała zdjąć w sieni kapelusza i koronkowej zarzutki, śmiać się poczęła ze swego rozrzepania.

— Ach! Jakże mi gorąco, rzekła... I pomyśleć, że, mimo gorąca, zapomniałam zdjąć z siebie tych rzeczy na dole! Teraz muszę zejść naumyślnie, by odnieść je na miejsce.

Mówiąc to, zrzuciła koronkę z szyi na fotel i poczęła niecierpliwie rozwiązywać wstążki związanego pod brodą wielkiego słomkowego kapelusza.

— Masz tobic! Zasupłałam wszystko na węzeł. Niedam sobie rady, chyba ty, mistrzu, poratować mnie zechcesz.

Również jak ona zadowolniony ze spaceru, Pascal przybył na pomoc, patrząc z przyjemnością na piękną i wesołą postać Klotyldy. Chcąc rozwiązać wstążki, musiał się prawie oprzeć o nią samą.

— Poczekaj, bądź cierpliwa i podnieś trochę brodę... Oh, przestań się kręcić, bo inaczej nie dam sobie rady...

Śmiała się coraz głośniej, widząc jego brak wprawy. Palce Pascala rzeczywiście plątały się bezsku-

tecznie, może skutkiem zbyt delikatnej szyi atlasowej, powierzchni której zmuszony był mimowolnie wraz z wstążkami dotykać. Przez suknię wyciętą z przodu stanika dziewczyny, wionęły silne, odurzające wonie młodego kobiecego ciała, rozgrzanego długim spacerem po słońcu. Przez chwilę pociemniało mu w oczach, myślał, że zemdleje.

— Nie, nie! rzekł nareszcie, nie mogę rozwiązać, bo kręcisz się okropnie!

Krew uderzyła mu do głowy a palce coraz nieposłuszniej stawać się zaczęły, ona, nie widząc nic i nie przeczuwając, chyliła się w tył całym ciałem, zwiększając bezwiednie pokusę. Tymczasem Pascal poznawał w dziewczętem ciele, tuż obok niego będącym, tylokrotnie widywane nocami zjawisko. Widział promienną jej młodość, owianą czarem jaśniejących oczu, ust różanych, szyi i ramion toczonych a jedwabistą mgłą rozwianych włosów zlekka przysłoniętych. Odczuwał kształt jej smukłej młodzieńczej postaci, o drobnej piersi, kwitnącej pięknnością bogiń!

— No, wreszcie rozwiązane! — zawołał wesoło.

Rzeczywiście tak było, nie wiedzieć jak, lecz wstążki rozwiązały się jakoś. Stała teraz przed nim z gółą głową i potrząsała puklami swych złotych włosów; olśniony jej pięknnością, czuł coraz silniejszy zawrót głowy. Wysiłkiem woli starał się zawładnąć nad szaloną chęcią porwania jej w objęcia, by usta nasycić wdziękami dziewczyny. Powstrzymał się a trzymając wciąż w ręku zdjęty z jej głowy kapelusz, rzekł urywanym głosem:

— Zejdę powiesić go w sieni... Poczekaj na mnie, zaraz wrócę, tylko coś powiem Marcynie.

Zeszedłszy ze schodów, Pascal zamknął się na klucz w opuszczonym dolnym salonie, drząc, by Klotylda nie poczęła go szukać. Był prawie bezprzytomny i wyrzucał sobie doznane wrażenie, jakgdyby zbrodni się był dopuścił. Mimowolnie, głośno zawołał: „Tak, ja zawsze ją kochałem i zawsze osiąść ją pragnąłem“. Odgłos własnych słów wstrząsnął nim rozpaczliwie. Tak, od pierwszej chwili jej rozkwitu namiętnie ją miłował. Nagle przejrzał siebie samego, oraz cały szereg lat z Klotyldą spędzonych, od chwili gdy z bezpłciowej istoty przemieniać się poczęła w pełną uroku kobietę, dla pieśzcot miłosnych, jakby z lubością ukształtowaną; jakże czarownie była piękną jej wiotka postać o wysmukłych nóżkach, gibkim torsie, okrągłych piersiach, szyi i ramionach! Ciało jej białe, jakże gładkie i niezrównanie było powabne!

Żądę posiadania, nasycenia się jej młodością, jej ciałem dziewiczym i woniejącem, uznawał za uczucie potworne a jednak panujące nad nim wszechwładnie.

Osunął się teraz na stary jakiś kulawy stołek i ukrywszy twarz w obie ręce, jakby światła dziennego unikając, Pascal głośnym wybuchnął płaczem. Boże mój! Więc wychował z czułością ojcowską dziecko oddane mu w opiekę przez brata, na to, by teraz z dziecka wyrosła dwudziesięcioletnia kobieta, zawładnęła nim i kusicielską potęgą wiodła go, gdzie zechce! Czuł się rozbrojony, ujarzmiony, bezsilny, jak dziecko.

Po za namiętnością fizyczną, kochał jeszcze jej istotę moralną; kochał jej umysł pełen szczerości, prostoty i woli. Kochał nawet wszystko, co dzielić się ich zdawało; jej pociąg ku niezbadanym tajemnicom objawienia, który już tyle wlał niepokoju w ich życie a stanowił odmiennością swoją jakby dopełnienie jego samego i był widowym śladem dotychczasowej niepochwytności wielu rzeczy w wszechświecie. Pociągała go również jej buntownicza natura. Tak, była ona w całej pełni wychowanką i towarzyszką jego zarazem. On rozbudził jej serce dla szerszych horyzontów, wykształcił jej szczerość i rozsądek. Obecność jej stała mu się również niezbędną, jak powietrze; potrzebował jej technienia, szelestu kroków, jej słów i przywiązania, jej wzroku i uśmiechu, jej kobiecego wdzięku, którym zdołała dzień i chwilę każdą; czyżby stać się miała na tyle okrutną, by wydrzeć mu szczerze dotychczas udzielane dary? Myśl sama możliwego jej wyjazdu gromem przerażenia spadała na umysł Pascala, wraz z sobą i życieby jego uwiozła. Po za nią nic dla niego nie istniało na świecie, ona tylko była jedynie dobra, szlachetna, rozsądna i mądra, jedynie piękna wśród cudnych piękności. Dlaczegoż więc na tyle ją miłując i panem losu jej będąc, dlaczegoż oddaje się teraz rozpaczy, zamiast przywłaszczyć sobie dobro, dające się osiągnąć, dlaczegoż więc nie chwyci jej w objęcia i nie okryje pocałunkami, jak bóstwo, w postać ludzką przybrane? Wszak oboje są wolni, ona jest świadoma tajemników życia a latami jest już kobietą. Szczęście w jego jest moc!

Powstał, by iść ku drzwiom z oschłemi już oczyma. Lecz nagle znów osunął się na krzesło i nowym wybuchnął płaczem. Nie, nie! Niegodziwość powinna być dla mnie niemożliwością! Wspomniawszy na swe posrebrzone wiekiem włosy i krew lodem ściętą mu się w żyłach. Z przerażeniem i wstrętem myślał o różnicy wieku, jaka go od Klotyldy dzieliła, wszak on ma już lat pięćdziesiąt dziewięć, podczas gdy ona za ledwie dwudziesty piąty rok ukończyła. Pewność zupełnej zależności od niej napępiała go drżeniem przerażenia. Czyż stanie mu się na zwyczajną walkę codzienną ze sobą?... Uprzytomniał sobie chwilę dopiero co minioną, gdy przywołała go na pomoc do rozplątania zwikłanych wstążek kapelusza, przywoływała go tak codziennie, kopiując kwiaty przy swoim stoliku a on, pochylony nad nią, udzielał jej rad i wskazówek; czuł, jak dalece chwile takie przytomność wszelką odbierać mu będą teraz, kiedy jest już świadomy; widział się szalejącym namiętnością, pochłaniającym ją pocałunkami swemi. Gorzej jeszcze, gdy wieczorem o zapadającym zmroku gwarzyli przed zapaleniem światła, ciemność stawała się wtedy współniczką zbrodni, która nieuniknioną być mu się wtedy zdawała, jakąż bowiem siłą utrzymać go zdoła, od pokosztowania najwyższej rozkoszy! Oburzył się gniewny na tego rodzaju możliwe rozwiązanie a było ono nieuniknione, jeżeli na śpieszne rozłączenie się z Klotyldą nie znajdzie dostatecznej odwagi. Jakże ohydną popełniłby zbrodnię, nadużywając zaufania. Poniżyłby się do puszczenia takiego gwałtu. Oburze-

nie Pascala tak było szczere i głębokie, iż odzyskał dość siły, by pójść spokojnie na górę z postanowieniem przewycięzania się w przyszłości.

Na górze zastał Klotyldę spokojnie pracującą nad rozpoczętym rysunkiem. Nie odwróciwszy nawet głowy od roboty, rzekła do wchodzącego:

— Jakże długo zasiedziałeś się na dole, mistrzu, zaczęłam przypuszczać, iż Marcyna pomyliła się w rachunkach przynajmniej o dziesięć susów!

Zwykle żartowali ze skąpstwa starej służącej, roześmiał się i tym razem Pascal, słysząc przypuszczenie Klotyldy i usiadł spokojnie za swoim roboczym stołem. Aż do śniadania milczeli oboje. Od chwili, gdy był przy niej, uspokajał się stopniowo, jakby zanurzony w łagodzącej kąpieli. Ośmielony, wzrok ku niej rzucił; rozczulił się, widząc natężenie i uwagę, z jaką pilnie pracowała nad wiernością rysunku rozpoczętej kopii kwiatu. A może tylko dokuczliwa zmora opanowała nim na dole? Czyż zawsze z równą łatwością przewyciężyć się zdoła?...

— Jakże jestem głodny!—zawołał wesoło, gdy ich Marcyna wezwała na śniadanie.—Zobaczysz, ile zjem a w ten sposób i zdrowie wróci z szybkością.

Klotylda wzięła go pod rękę, mówiąc:

— To aż miło, mistrzu! Trzeba, byś zawsze był zdrow i wesoły!

Nocą męczarnie wróciły. Na myśl rozstania się z Klotyldą, krzyk, bólem wydarty, zgłuszyć musiał w poduszkach. Dotychczasowe niewyraźne obrazy nabierać zaczęły siły żywotnej, widział ją wyraźnie

w objęciach innego, któremu dziewicze swe ciało oddała i zazdrość straszna męczarnią wpiła musię w serce. Czuł, że nigdy na podobną ofiarę zezwolenia swego udzielić nie będzie w stanie. Przeróżne plany przyszłości snuć i roztrącać się poczęły w biednej jego głowie: wytłomaczy jej bezużyteczność wychodzenia zamaż, zachowując ją na zawsze przy sobie a żądzy swojej nigdy przed nią nie odstąpi; puści się z nią w wielką i długą podróż, która umysłami ich zawładnąwszy, dozwoli, by nadal on mistrzem a ona posłuszną pozostała uczennicą; wreszcie, gdy nie będzie można inaczej, woli posłać ją bratu na dozorczynię jego chorób, lecz drugiemu ciała jej nie wyda...

Serce szarpało mu się w piersiach przy każdym rozwiązaniu postawionego zadania, żadne bowiem nie dawało mu osiągnąć tego, czego namiętnie pożądał. Obecności jej było za mało, on pragnął jej samej z prawem bezwarunkowej wyłączności, pragnął jej ciała, ukazującego mu się w halucynacjach nocnych promiennie na tle ciemności, pokrytego jedynie rozplotłym zwojem złocistych włosów, spływających po obnażonych jej kształtach. Ręce napróżno w przestrzeń ku widziadłu wyciągnął; wyskoczył z pościeli i zatoczył się jak pijany; wtedy dopiero chłodem podłogi jakby otrzeźwiony, oprzytomniał z chwilowego szaleństwa. Gdzież skierować zamierzał swe kroki? Ku drzwiom tego uspiętego dziewczęcia? Może drzwi jej pokoju gwałtem chciał wysadzić? Poczł jakby lekki i świeży oddech jej, muskający go po twarzy i padł na wznak powiewem świę-

tym rażony. Wrócił na posłanie, pełen sromu i głębokiej rozpacz.

Po niespanej nocy Pascal wstał osłabiony, lecz pełen stanowczo powziętego zamiaru. Oblawszy się strumieniem zimnej wody, nieco się pokrzepił. Zamiarem jego było namówić Klotyldę do dania przychylniej odpowiedzi wyczekującemu na nią doktorowi Ramond. Zdawało mu się, iż jedyny to skuteczny środek dla odjęcia mu możności rojeń beznadziejnych. Małżeństwo Klotyldy z Ramondem stawi nieprzebytą zaporę. Samo jej zobowiązanie się będzie dostatecznym, by żądze zaparł w sobie głęboko, a jakkolwiek cierpienie się zwiększy, to jednak będzie tylko cierpieniem bez strasznej trwogi i lękań przed możliwością popełnienia zbrodni, kuszącej go do gwałtu, do czyhania w zasadzce nocnej, by osiąść ją dla siebie, by osiąść przed innym.

Zaraz od rana począł Klotyldzie tłumaczyć, iż dłużej zwłóczyć nie powinna z daniem odpowiedzi ucziwemu chłopcu, czekającemu od tak dawna; zrazu przyjęła słowa Pascala z zadziwieniem. Patrzała mu badawczo prosto w oczy a on zdobył się na siłę zniesienia jej wzroku z twarzą spokojną. Nalegał, jakby ze smutkiem, iż zmusza go do ganienia dziwnego swego postępowania. Uśmiechnęła się łagodnie i odwróciwszy głowę, rzekła:

— Więc życzysz sobie, mistrzu, byśmy się rozstali z sobą jaknajprędzej?

Nie odpowiedział jej wprost na pytanie.

— Bo widzisz, dziwnym się może wydać taki brak

decyzyi z twojej strony. Ramond zupełnie ma prawo czuć się obrażonym.

Poszła ułożyć papiery, rozrzucone na stoliku. Po chwili dopiero zauważyła:

— Rzecz dziwna, teraz ty stanąłeś po stronie babci, oraz Marcyny. One poprostu prześladowają mnie swojemi naleganiami w tym względzie. Myślałam, że chociaż kilka dni mam jeszcze swobodnych. Ale teraz, kiedy wszyscy troje sprzymierzyliście się przeciwko mnie jednej...

I nie dokończyła zdania a Pascal nie zmuszał jej do tego.

— A więc kiedy—zapytał—naznaczyć mam Ramondowi, by przyszedł.

— Ależ może przyjść, kiedy zechce, mnie wizyty jego nie przerażają.. Lecz nie trudź się tem, mistrzu... Zawiadomię go sama, by zaszedł do nas temi dniami.

Na trzeci dzień powtórzyło się toż samo. Klotylda nie poszła po Ramonda, Pascal, dowiedziawszy się o tem, napadł gniewnie na dziewczynę. Rozdrażniony bezsennemi nocami i katuszą, którą cierpiał, gdy Klotylda nie rzeźwiła go obecnością swą i uśmiechem, nie mógł opanować się dostatecznie i w szorstkich słowach napominał, by więcej zachowywała taktu i powagi względem człowieka, godnego szacunku a zarazem człowieka kochającego ją od dawna.

— Cóż do dyabła! Kiedy rzecz jest nieuniknioną, to po cóż zwlekać? Uprzedzam cię, że sam napiszę do

Ramonda i jutro o trzeciej musisz z nim mieć rozmowę ostateczną.

Słuchała w milczeniu, z oczami utkwionemi w ziemię. Ani on, ani ona nie rozbiegali bliżej, czy małżeństwo w zasadzie zostało zdecydowane, mówili jak o rzeczy, która kiedyś dawno była postanowioną i rozstrzygniętą. Gdy podniosła głowę, zadrżał, poczuł bowiem wyraźnie, jakby ich obojga jednakie ogarniało technienie; myślał, iż zaraz powie mu, że po bliższem zastanowieniu, projekt małżeństwa swego z Ramondem zrywa na zawsze. Cóżby się stało z nim wtedy, czego dopuściłby się, posłyszawszy słowa takie z ust jej płynące! Już, już miał wybuchnąć bezgraniczną radością, lecz obawa pomyłki utrzymała go na wodzy. Klotylda popatrzyła i uśmiechnęła się znacząco tym dziwnym uśmiechem, który obecnie z ust jej nie schodził; odpowiedziała poważnie i z szacunkiem:

— Zrobisz, jak zechcesz, mistrzu. Każ mu więc przyjść jutro około godziny trzeciej.

Pascal przepędził noc straszną, wstał też później, spędzając wszystko na powracającą stale migrenę. Tylko zimne prysznicze przynosiły mu nieco orzeźwienia. Około godziny dziesiątej wyszedł, mówiąc, że sam zajdzie do doktora Ramonda. Rzeczywiście zaś wyszedł, by kupić dla Klotyldy ślubny podarek; w czasie bezsennej i bolesnej nocy dzisiejszej, przypomniał sobie widziany u jednej z handlarek w Plassans, pyszny koronkowy stanik, ze starej koronki d'Alençon; drogocenny stanik oddawna oczekiwał napróżno dość

hojnego lub rozkochanego nabywcy, Pascal zapragnął, by Klotylda przywdziała go w dzień ślubu. Zdobyl się na ofiarę przystrojenia jej dla tego drugiego, któremu dar swojego ciała złożył miała; cierpienie i gorycz z ofiary wypływające, rozczułały Pascala nad własną niedolą. Klotylda widziała kiedyś ów stanik i tak pięknym się jej wydał, iż pragnęła, by kiedykolwiek spoczął na ramionach Matki Boskiej w katedrze św. Saturnina. Handlarka zawinęła teraz stanik w małeńkie pudełeczko, które Pascal ukrył przy sobie a wróciwszy do domu, zamknął w szufladzie swego stołu.

O godzinie trzeciej przybył doktor Ramond i zastał w sali Pascala wraz z Klotyldą; oczekiwali go z niecierpliwością, oboje nienaturalnie swobodni, chociaż starannie unikali mowy o wizycie niepokojącej ich zarówno. Powitali go z przesadzoną uprzejmością i przyjaźnią.

— Jakże jestem szczęśliwy, mistrzu, że tak zdrowo wyglądasz, rzekł na powitanie Ramond. Nigdy nie widziałem cię tak krzepkim i silnym.

Pascal potrząsnął głową.

— No tak, może jestem krzepkim i silnym, ale mi niewesoło.

Mimowolne to wyznanie zwróciło oczy Klotyldy w ich stronę i patrzyła na nich uważnie, jakby porównać chciała jednego z drugim. Ramond był piękny, jak przystało na lekarza, za którym kobiety szalały, miał czarne, obfite włosy, twarz uśmiechniętą, był w pełni męskiej urody. Dziwnie tragicznie odbijał

przy nim białowłosy Pascal z twarzą napiętnowaną cierpieniem, jakie od sześciu miesięcy na chwilę targać nim nie przestawało. Postarzał i tylko oczy pozostały jeszcze młode, pełne życia i dobroci. W tej chwili cała jego postać wyrażała dobroć nieskończoną, łagodność graniczącą z egzaltacją; Klotylda oczu nie mogła od niego oderwać, przejęta pełną wdzięczności czułością. Nastąpiła chwila milczenia i dreszcz przeszedł serca obecnych.

— No, moje dzieci—zawołał heroicznie Pascal—zdaje mi się, że macie z sobą do pomówienia... Idę więc na dół, bo mam rozpoczętą robotę, ale wrócę do was niezadługo.

I wyszedł, zdobywszy się na uśmiech wesoły i dobroduszny dla obojga.

Klotylda podeszła natychmiast do Ramonda i ująwszy obie jego ręce, szczerze, po przyjacielsku, rzekła:

— Przebacz, że muszę cię zmartwić!... Nie gniewaj się, zważywszy na przyjaźń, jaką mam dla ciebie.

Zrozumiał znaczenie słów i pobladł widocznie.

— Klotyldo, nie mów dalej, zatrzymaj się. Może chcesz więcej czasu do namysłu? Bierz, ile chcesz, lecz namyśl się...

— Już się namyśliłam i jestem zdecydowaną.

Klotylda wciąż trzymała ujęte na początku rozmowy ręce Ramonda, jakby przekonać go chciała, że nie przestała go lubić i że działa ze spokojem i zupełną świadomością. Po chwili zapytał głosem znizonym:

— A więc nie chcesz mnie?

— Nie mogę wyjść za ciebie. Nie pytaj dlaczego, dowiesz się później.

Usiadł, hamując w sobie wzruszenie, na okazanie którego nie dozwalał sobie nigdy. Była to pierwsza jego tak silna boleść. Głos zamarł mu w piersiach. Klotylda stała przed nim i mówiła dalej:

— Błagam cię tylko, byś mnie nie posądzał o płochą względem ciebie kokieterię... Jeżeli bowiem nie odpowiedziałam ci na razie nic, to jedynie dla tego, że nie widziałam we własnem sercu równie jasno, jak widzę obecnie. Ty nie możesz sobie wyobrazić, jak szalone przeszłam burze temi czasy, jeszcze i teraz nie mogę się dobrze rozeznąć wśród ciemności.

Wreszcie i on przemówił.

— Ponieważ sobie tego życzysz, więc pytać ci się o nic nie będę. Dość będzie, gdy mi odpowiesz na jedno pytanie: Czy mnie kochasz?

Nie zawahała się ani chwili i odpowiedziała z powagą i szczerą życzliwością w głosie:

— Nie, nie kocham cię, mam tylko głębokie uczucie przyjaźni.

Powstał, jakby chciał zatrzymać dalsze słowa, które pragnęła wypowiedzieć, dla złagodzenia przykrego położenia.

— Skończone, nigdy więcej mówić o tem nie będziemy. Pragnąłem twego szczęścia. Co będzie teraz zemną, sam nie wiem, bo jestem jak człowiek, na którego niespodziewanie dom się zawalił. Ale muszę się przecież jakoś wyratować...

Krew uderzyła mu do głowy, podszedł do otwartego okna, wrócił, zataczając się nieprzytomnie. Po chwili westchnął głęboko. Wśród głuchego milczenia odezwały się kroki Pascala, stąpającego umyślnie powoli i z hałasem, by ostrzedz o swem nadejściu.

— Proszę, serdecznie cię proszę, nie mów przed mistrzem, co zaszło między nami, szepnęła błagalnie Klotylda. On nie wie, jakie powzięłam postanowienie, sama mu o tem powiem powoli, nie chcąc go martwić, bo wiem, że pragnął, bym wyszła za ciebie...

Pascal zatrzymał się w progu. Chwiał się na nogach i sapał, jakby tchu złapać nie mógł, skutkiem zbyt szybkiego wejścia na schody. Znów zdobył się na uśmiech dla nich obojga.

— No cóż, moje dzieci; porozumieliście się ze sobą?

— Tak, tak, porozumieliśmy się z sobą—odpowiedział Ramond, równie jak Pascal drżący i wzruszony.

— Więc wszystko umówione?

— Zupełnie umówione—rzekła Klotylda głosem niepewnym i osłabłym.

Opierając się na meblach, Pascal doszedł do swego fotelu i usiadł nań ciężko.

— Oto widzicie, te niepocziwe nogi jeszcze nie bardzo chcą mnie nosić. Stare cielsko niełatwo wyreparować. No, ale teraz, wyzdrowieję, patrząc na wasze szczęście, bo rad bardzo a bardzo jestem, żeście się już porozumieli.

Po kilku minutach rozmowy, Ramond pożegnał

się i wyszedł a Pascal, pozostawszy z Klotyldą, zapytał z niepokojem:

— Więc wszystko już ułożone, przysięgasz mi, że tak?

— Tak, wszystko już ułożone, skończone...

Od tej chwili zamilkł i tylko znacząco potrząsał głową, jakby chciał wyraźnie zaznaczyć, że bardzo jest kontent, bo wreszcie żyć będzie można spokojnie. Przymknął oczy, niby do drzemki, lecz w piersiach serce mu biło, jakby pęknąć zaraz miało a oczy przy-
mknął, by nie wypuścić łez, gwałtem cisnących się.

Tegoż dnia około dziesiątej godziny wieczorem, korzystając z chwili, gdy Klotylda zeszła na dół dla naradzenia się w sprawach gospodarskich z Marcyną, Pascal zaniósł pudełko z koronkowym stanikiem do pokoju dziewczyny i złożył swój dar na jej łóżku. Przyszła następnie powiedzieć mu dobranoc, podług codziennego zwyczaju; Pascal wrócił do siebie, lecz zaledwie pół godziny minęło, gdy wesołe odgłosy rozległy się tuż pod jego drzwiami; prawie w połowie był już rozebrany a tu Klotylda stuknęła do drzwi, śmiała się, wołając na niego:

— Chodź, chodź, prędko, zobacz, co ja dostałam!

Rostworzył swój pokój, rozweselony szczerą, młodzieńczą jej uciechą.

— Chodź, mistrzu! Chodź, zobacz, jaki cudny podarek jakiś ptak z niebios, jakby w bajce złożył mi na łóżku!

I porwawszy go gwałtem, pociągnęła do swego pokoju.

Zapalone świeczniki jarzyły się tam jakgdyby w kaplicy a na łóżku, jakby na ołtarzu święte relikwie, ku czci wiernych ukazane, leżał rozpięty stanik koronkowy, ze staroświeckich włókien utkany misternie.

— Ty nie nie wiesz, jak się to stało!... Wyobraź sobie, że w pierwszej chwili nie spostrzegłam pudełka. Uporządkowałam swoje rzeczy, rozebrałam się, i już miałam się wsunąć do łóżka, gdy nagle ujrzałam twój podarek... Tak się zdziwiłam! Z radości serce mi aż skakało! Czułam, że do rana nie wytrzymam a więc copędzej zarzuciłam spódnicę i przybiegłam do ciebie...

Wtedy dopiero zauważył, iż rzeczywiście była tylko w krótkiej spódnicy i w na wpół obnażającej ciało koszuli, jak owej pamiętnej nocy, gdy podczas burzy, zozpatrywali historię rodzinną w papierach i notatkach zawartą. Piękną była jak bóstwo, kształtne jej ciało na wysmukłych nogach, z ramionami i kibicią wiotką, o piersiach małych a okrągłością swą wydatnych, posiadało niezrównany czar dziewiczości.

Chwyciła go za ręce i ścisnęła je pieczołtliwie w swych rączkach drobnych, pociągająco pojętych.

— Jakże jesteś dobry i jakże ci dziękuję!... Mnie taki dar, taki wspaniały dar, miał... To znaczy, żeś pamiętał, jak bardzo zachwycałam się swego czasu niezrównaną pięknością tych starych koronek, doskonałością wyrobu arcydziełom dorównywającą, pamiętałeś, żeś mówiła, iż tylko Matka Boska w kościele

św. Saturnina może coś równie wytwornego na ramionach swych nosić. Oh, jakże jestem szczęśliwa! Jak bardzo szczęśliwa! Bo prawdę powiedziawszy, lubię te gałganki. Oh tak! Lubię! Do tego stopnia je lubię, że czasami marzę o sukniach utkanych z promieni świetlnych, z czegoś niedotykalnie lekkiego i powiewnego, z tęczy niebieskiej, z lazuru niebios... Oh jak pięknie mi będzie w tym staniku z koronki d'Alençon, zobaczysz, jak śliczną w nim będę!

Uszczęśliwiona, uniesiona wdzięcznością, przytuliła się całą ciałem do niego, pobudzając go do zachwycania się wraz z nią rozpostartym na łożku stanikiem.

— Ale powiedz mi, proszę, z jakiego powodu dałeś mi ten królewski podarek?

Od chwili, jak przybiegła po niego rozweselona i szczęśliwa, Pascal był prawie nieprzytomny, pogrążony jak we śnie rozkosznym. Do łez rozczulony oznakami jej wdzięczności, stał radosny, spodziewając się czegoś nieokreślonego, lecz niosącego z sobą szczęście, jakby cudem spłynąć mające. Pokój jej, do którego nigdy nie wchodził, czynił na nim wrażenia uświęconego przybytku, mającego niezrównany dar kojenia niczem niedających się ugasić pragnień.

Na zapytanie Klotyldy, twarz Pascala przybrała wyraz zdziwienia. Po chwili odpowiedział:

— Ten podarek, moja droga, w dzień ślubu do stroju przyda ci się...

Z kolei ona się zadziwiła, jakby nie rozumiejąc do-

brze znaczenia słów postyszanych. Wreszcie uśmiechnęła się słodko i dziwnie, jak od dni kilku uśmiechać się była zwykła i z wesołością zawołała:

— Ach, prawda! W dzień mego ślubu, do stroju mi się przyda...

I z wyrazem poważnym spytała:

— Tak, pozbywasz się mnie i tylko żeby się mnie pozbyć, pragnąłeś coprędzej wydać mnie za męża.. Więc sądzisz, że wciąż jestem nieprzyjaciołką twoją?

Czuł, jak straszne będzie miał przejście. Przestał na nią patrzeć, usiłując zdobyć się na spokój.

— A czyż nie jesteś moją nieprzyjaciołką? Tyle przecierpieliśmy jedno skutkiem drugiego! Całe miesiące cierpieliśmy bardzo! Lepiej więc, że się rozstaniemy... Wreszcie nie wiem, co myślisz, dotychczas nie odpowiedziałas mi na moje pytania.

Napróżno szukała jego wzroku. Poczęła mówić o strasznej nocy nad tekami spędzonej. Prawda, dotychczas żadnej nie dała mu odpowiedzi; powinien uwzględnić jej zachowanie się, dotąd bowiem uspokoić się jeszcze nie zdołała po wysłuchaniu tajemnic rodzinnych. Lecz słusznie się domagał, by na odpowiedź wreszcie się zdobyła.

Chwyciła go znów za ręce i zmusiła do patrzenia na nią.

— Więc oddalasz mnie od siebie, sądząc, że nieprzyjaciołką twoją pozostałam?... Słuchaj więc! Nie tylko nie jestem twoją nieprzyjaciołką, lecz przeciwnie, jestem twoją sługą, twoją rzeczą, twojem dobrem, którem możesz dowolnie rozporządzać na zawsze. Czy

słyszysz? Jestem z tobą, dla ciebie, cała i tylko dla ciebie, dla ciebie wyłącznie!..

Postać Pascala jaśniała teraz szczęściem, radość niezrównana płonąć poczęła w głębi jego oczu.

— Tak, włożę te koronki, niezawodnie, że je włożę!.. Bo chce być piękną, bardzo piękną w chwili mego ślubu, ale ślubu z tobą.. Czy mnie jeszcze nie rozumiesz! Ciebie, mistrzu mój i panie, kocham jednego!..

Ruchem nieprzytomnym, gwałtownym, chciał usta jej zamknąć, nie chcąc słyszeć wyrazów, które do szaleństwa przywieść go mogły. Lecz ona w namiętnym okrzyku dokończyła myśl rozpoczętą:

— Ciebie jednego pragnę i pożądam!..

— Uspokój się! Młecz! Doprowadzasz mnie do obłądki!.. Jesteś uarzeczoną innego, jemu przyrzekałeś sobie, pocóż więc mówisz o rzeczach, których na szczęście urzeczywistnić już niepodobna?!..

— Z tamtym ciebie porównałam niedawno i wybrałam ciebie!.. Tamtemu powiedziałam, że nigdy jego nie będę, więc odszedł i już nie wróci!.. Zostaliśmy my tylko, my oboje, kocham cię, wiem że i ty kochasz mnie bardzo, wiem o tem dobrze, więc bierz mnie na wyłączną swą własność, oddaję ci się zupełnie!..

Drżał teraz cały, nie walcząc z sobą dłużej, uniesiony palącą go zdawna żądzą pochwycenia jej w swe objęcia i wychylenia z rozkoszą i lubą pieśczętą całej pełni czaru zawartego w rozkwitłej nakształt kwiatu kobiecie.

— Bierz mnie, oddaję się, tobie tylko!

Padli sobie w objęcia, uniesieni radosnem upojeniem życiodawczego tchnienia. Staroświecki pokój, różowym kretonem wybity i dawno minione lata pamiętajacemi meblami zastawiony, jaśniał łuną jasności, jakby przyjmował tajemny współudział. Na strach, cierpienie, lub opór, miejsca tu nie stało... byli wolni, pobrali się, świadomi swych pragnień; on przyjmował królewską ofiarę jej ciała, które mu oddała, jako słuszną nagrodę bezgranicznej miłości, jaką ją miłował. Czas, miejsce, otoczenie, cała rzeczywistość, wszystko znikło dla nich zupełnie. Istniała tylko natura nieśmiertelna, żądza namiętności twórczej, rozkosz zupełna... Ona, w uniesieniu, lekkim okrzykiem dziewczęcość swoją pożegnała; on, porwany wybuchem szału, ogarniając ją całą, dziękczynne składał — niezrozumiałe dla niej dzięki, za przywrócony mu przez nią dar postradanej siły życiodawczej.

Pozostali w swych objęciach, zatopieni w upojeniu rozradowani i jak niebianie tryumfujący. Noc była piękna i łagodna, równie miła jak cisza i spokój zalegający dokoła. Godziny długie mijały, godziny szczęścia, chwile po raz pierwszy zakosztowanej rozkoszy. Ona szepnęła mu do ucha głosem przyciszonym i jak pieszczota słodkim, przeciągłym:

— Mistrzu! Och mistrzu, mistrzu...

Słowa te proste, które tak często codziennie powtarzała, przybrały teraz znaczenie głębokie i wielkie, jakby hołd uznania i poddania się całej jej istoty. Powtarzała je z gorącą wiarą i miłością kobiety, oddającej się ze świadomością tego, co czyni. Mistycyzm

Klotyldy zwyciężyła obrana przez nią rzeczywistość; potęga życia i zaznanej wreszcie miłości ośwładnęła całym jej jestestwem.

— Mistrzu mój, ja muszę powiedzieć ci wszystko, muszę wypowiedać się przed tobą... Chodziłam do kościoła, bo szukałam a znaleźć nigdzie szczęścia nie mogłam. Niestety, wierzyć nie potrafiłam: chciałam zrozumieć dogmat, lecz na każdym kroku rozsądek buntował mnie przeciwko wierze, raj nawet, jakże śmieszną i naiwną jest nagrodą! Myślałam wszakże, iż musi coś istnieć po za widzialnym otaczającym nas światem i w to wierzę jeszcze dzisiaj, teraz nawet, gdy zawisłszy na twojej szyi, prawdziwego pokoszłowałam szczęścia. Lecz nim znaleźć szczęście przy tobie zdołałam, jakże ciężkie przechodziłam chwile, pragnąc zaraz, natychmiast szczęście pochwycić i na zawsze zatrzymać! Chodziłam do kościoła, bo szukałam a widzieć nie mogłam, gdzie szukać mi należy. Niepokój, jakim tak długo byłam ośwładnięta, z tego niezaspokojenia pragnień mych pochodził. Pamiętasz, mistrzu, jak często śmiałeś się z mojej potrzeby wytwarzania iluzji i życia wśród nich sztucznego. Pamiętasz noc na rozmowie spędzoną, na ogrzaniem dziennym skwarem klepisku? Wstręt wówczas czułam do wiedzy, której broniłeś napróżno, bo dla mnie była ona okrutną sprawczynią sypiących się zewsząd gruzów, bezsilną do budowania lepszych niż zwałone gmachy; odwracałam od niej oczy, by nie patrzeć na rany, przez nią zadane i bezustannie jątrzone. Chciałam wówczas, mistrzu, porwać cię i uprowadzić gdzieś

daleko, by żyć samotnie, jedno dla drugiego a oboje dla Boga... O czyż może być sroższa męczarnia niż pragnąć i walczyć dla zdobycia czegoś upragnionego a nieznanego!

Nie rzekłszy słowa, pocałował ją spokojnie i słodko w obadwa oczy.

— A potem, pamiętasz, mistrzu—mówiła dalej głosem lekkim, jak technienie, pamiętasz tę noc straszliwą, gdy przed stosami rodzinnych papierów, wyłożyłeś mi z dokumentami niezbitymi w rękę, czym jest właściwie życie? Powiedziałeś mi: „Znaj życie, kochaj je takim, jakim jest i staraj się zawsze żyć podług jego wymagań. Lecz jakże straszne i obfite są ale potoków życia, wszystkie spływające ku jednemu, nieznanego przeznaczenia morzu ludzkiemu! Od tam nie zaznałam jednej chwili spokoju. Zapragnęłam całą siłą poznać rzeczywistość, jakkolwiek gorzką była. Na razie nie zdawałam sobie jasno z tego sprawy, zamęt bowiem powstał we mnie wielki. Długo milczałam, bo sformułować pragnień swych nie umiałam. Powoli ład zaczął wracać, lecz buntowałam się przeciw niemu, nie chciałam uznać, jak dalece stałam się inną. Z każdym dniem czułam wyraźniej, jak zupełne odniosłeś nademną zwycięstwo, jak w całym znaczeniu tego słowa mistrzem się moim stałeś, jak po za tobą, twoją wiedzą i twoją dobrocią, wszystko już dla mnie istnieć przestało. Stałeś się dla mnie uosobieniem samego życia, potężnego i pobłażliwego, nieukrywającego nic i przyjmującego wszystko w imię dobra i miłości, która dzięki niestruc-

dzonym usiłowaniam, stanie się ogólną i jedyną racją istnienia! Kochać i żyć, do poprawy życia dążyć całym wysiłkiem sił naszych, żyć jeszcze, mimo nędzy i przewrotności, jaka dziś nami rządzi... Żyć, to nasze zadanie, dzieło, które naprzód posuwać winniśmy bezustannie, by ostateczną doskonałość jego co rychlej przyspieszyć.

On, wciąż milcząc, pocałował ją w usta.

— Mistrzu, kocham cię od chwili, jak tylko sięgnąć zdołam pamięcią, lecz twoją, w całości twoją poczułam się od pamiętnej owej nocy, wśród burzy nad papierami z tobą spędzonej... Czy pamiętasz, jak dziko rzuciłeś się na mnie, karcąc za występki przeciwko tobie? Ciało miałam zbolełe od razów, które mi zadałeś i krew nawet płynęła mi z ramienia... Byłam prawie naga i zdawało mi się wówczas, że ciało twoje, mojem prawie się stało. Broniałam się przed zadawaniami przez ciebie ciosami, ty okazałeś się mocniejszym, uległam zwyciężona, uznając, iż potrzebuję na tak silnem, jak twoje, wesprzeć się ramieniu. Zrazu czułam się upokorzona, następnie wydało mi się rzeczą słodką, być całkiem poddaną tobie...

— Odtąd żyłeś w połączeniu ze mną — ciągnęła dalej Klotylda — wypełniałeś całą moją istotę. Każdy twój ruch odczuwałam zdaleka, jakbym go niejako sama czyniła, tak dalece władzę wielką nademną posiadałeś. Pragnęłam, byś znów mnie pochwycił, roztał na proch, któryby się na zawsze z tobą zespolił. Czułam i odgadywałam, iż ta sama żądza ciebie ogarnęła; pewnoś miałam zupełną, że tak, jak sama czu-

łam się twoją od chwili wywartej przemocy, tak i ty zarówno moim czułeś się i bezustannie pragnąłeś mnie pochwycić, zatrzymać w objęciach swych na zawsze! Już w czasie, twej choroby miałam zadowolenia chwilowe. Zrozumiałam siebie samą. Przestałam uczęszczać do kościoła, szczęśliwą byłam przy tobie, stawałeś się tem wszystkim, za czem napróżno goniłam... Czy pamiętasz tę chwilę, gdy rzekłam na klepisku, iż takie przywiązanie, jakim było nasze, nie może dać zupełnego zadowolenia, że czegoś mu jeszcze brakuje? Tak, życie nasze było próżne a mnie ogarniała żądza przetworzenia go i zapełnienia naszą miłością. Wydawało mi się, że Boga i miłości ku niemu zwróconej, nie dostawało szczęściu naszemu. Irzeczywiście tak było, lecz pod inną postacią—nie dostawało nam bowiem boskiego zjednoczenia się w akcie miłości bezgranicznej i wzajemnej, życie wytwarzającej!

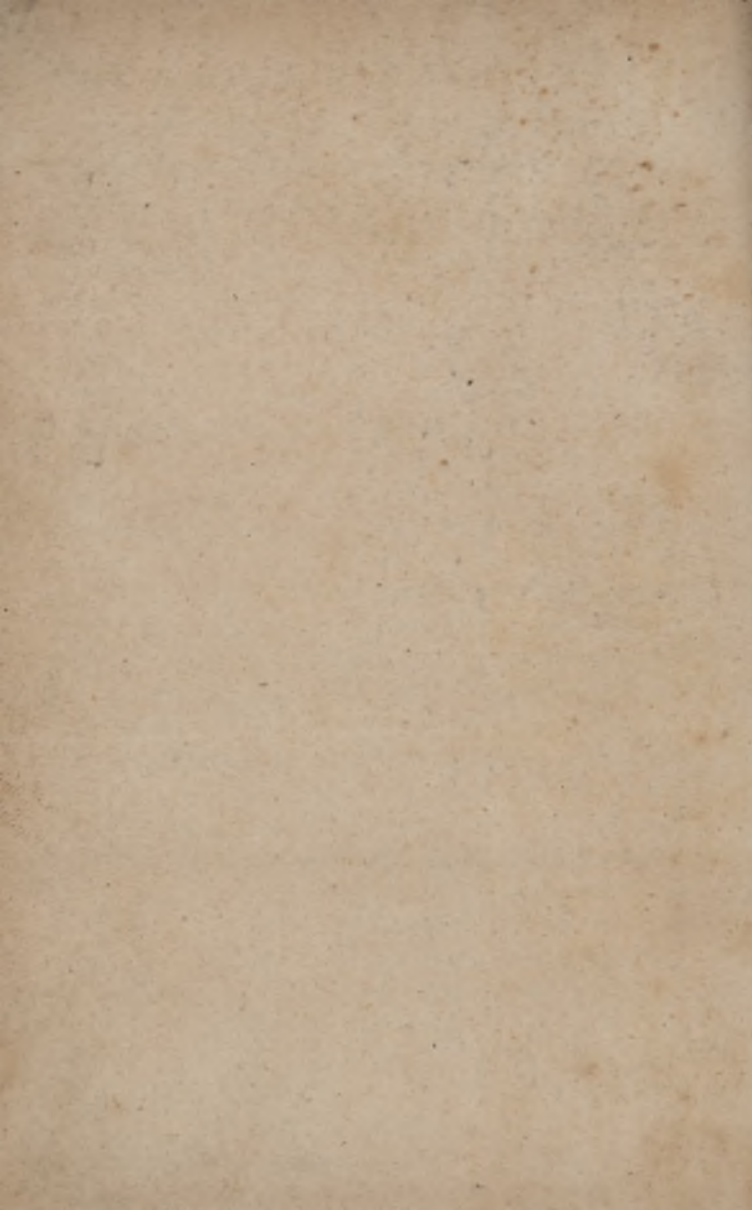
Słowa jej stawały się coraz niewyraźniejsze, radość zacierała ich bezmiernie, ucichły wreszcie w miłosnym zjednoczeniu obojga. Przez całą noc dnia tego, komnata, wybita staroświeckim różowym kretonem, brzmiała tchnieniem miłości i szczęścia. O wschodzie słońca, rozwarli okna szeroko, by wiosenne powietrze powitać i do tajemnicy swej dopuścić.

Życiodajne kwietniowe słońce wychyliło się ponad horyzont i uśmiechało ku nim wśród czystego nieba a ziemia płodami wezbrana, drżała ku promieniom oblubieńca radośnie, pocałunków jego zawsze spragniona.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.







805

346453 / 88

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

203035

Biblioteka WSP Kielce



0072281